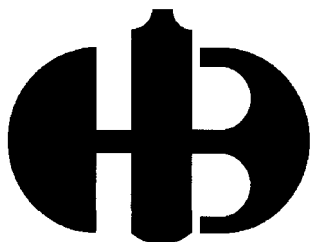


PIOTR DERDEJ  
WESTERPLATTE-  
OKSYWIE-HEL 1939





HISTORYCZNE BITWY

---

PIOTR DERDEJ

**WESTERPLATTE-  
OKSYWIE-HEL 1939**

 **BELLONA**  
Warszawa

Bellona SA prowadzi sprzedaż wysyłkową wszystkich swoich książek z rabatem.

[www.ksiegarnia.bellona.pl](http://www.ksiegarnia.bellona.pl)

Nasz adres:

Bellona SA

ul. Grzybowska 77

00-844 Warszawa

Dział Wysyłki tel.: (22) 45 70 306, 652 27 01

fax (22) 620 42 71

Internet: [www.bellona.pl](http://www.bellona.pl)

e-mail: [biuro@bellona.pl](mailto:biuro@bellona.pl)

Ilustracja na okładce: Łukasz Mieszkowski

Redaktor merytoryczny: Janina Snitko-Rzeszut

Redaktor prowadzący: Kornelia Kompanowska

Redaktor techniczny: Andrzej Wójcik

Korektor: Sylwia Pieciewicz

© Copyright by Piotr Derdej, Warszawa 2009

© Copyright by Bellona Spółka Akcyjna, Warszawa 2009

ISBN 978-83-11-11585-9

## WSTĘP

---

Obrona polskich twierdz morskich na wybrzeżu bałtyckim: Westerplatte, Gdyni i Kępy Oksywskiej oraz Helu we wrześniu i na początku października 1939 r. była już przedmiotem wielu badań i wielu publikacji. Pisali o nich historycy wojskowości tej miary, co: Mariusz Borowiak, Tadeusz Jurga, Edmund Kosiarz, Andrzej Rzepniewski oraz Paweł Piotr Wieczorkiewicz. Z ich opracowań korzystałem przy pisaniu tej monografii. Największe znaczenie miały dla mnie prace autorstwa Edmunda Kosiarza oraz Mariusza Borowiaka, dotyczące obrony Westerplatte, Gdyni i Helu oraz wojny na Bałtyku we wrześniu 1939 r. Poza tym bardzo przydatne okazały się świetne książki historyczno-wspomnieniowe, jak np. *Westerplatte. Wspomnienia, relacje, dokumenty*, które zebrał, opracował i wstępem opatrzył Zbigniew Flisowski, *Wspomnienia z obrony Westerplatte* Franciszka Dąbrowskiego oraz *Alarm dla Gdyni* Stanisława Strumph-Wojtkiewicza.

W kwestii bitwy o Westerplatte po długich przemyśleniach postanowiłem oprzeć mój opis na najlepszej i — co najważniejsze — najuczciwszej monografii obrony tegoż półwyspu pióra Mariusza Borowiaka pt. *Westerplatte — w obronie prawdy*. Postąpiłem tak, gdyż na temat siedmiodniowej epopei Westerplatte nagromadziło się w latach powojennych bardzo wiele

mitów i przekłamań. Świadomie odrzuciłem najpopularniejszy i chronologicznie pierwszy opis walk na tym półwyspie, jakim jest książka-reportaż pióra niezrównanego publicyście Melchiora Wańkowicza pt. *Westerplatte*, która miała kilka różnych wydań krajowych i emigracyjnych. Posługuję się reprintem wydania londyńskiego w ramach zbioru *Wrzesień żagwiący*. Z przykrością należy tu stwierdzić, iż wizja Melchiora Wańkowicza nie ma nic wspólnego z rzeczywistą bitwą 0 Westerplatte, ponieważ jest oparta wyłącznie na jednostronnej i nieprawdziwej relacji mjr. Henryka Sucharskiego, który miał powody, by ukrywać prawdę o swoim „dowodzeniu” tą placówką<sup>1</sup>. Z innych opracowań na temat Westerplatte, a było ich w okresie PRL bardzo dużo, korzystam tylko, by wykazać kłamstwa i nedorzecznosci na temat tej bitwy. A niestety, peerelowscy publicyści i pozał się Boże historycy robili przez lata wszystko, aby przeciętny człowiek nie wiedział o prawdziwej epopei obrońców tego skrawka polskiej ziemi w Wolnym Mieście Gdańsku<sup>2</sup>. Z publikacji ściśle naukowych korzystałem z cyklu książek wydanych w Londynie przez Instytut Historyczny im. gen. Władysława Sikorskiego

<sup>1</sup> Temat ten szerzej rozwinę w rozdziale o Westerplatte. Wspomnę tu tylko, że wbrew utartym przez lata mitom, mjr Sucharski bynajmniej nie był postacią tak spiszową, jak uważaliśmy dotychczas. Na pewno nie dowodził obroną Westerplatte.

<sup>2</sup> Świadkowie wydarzeń żyli zarówno w Polsce, jak i na emigracji, ale ani poczciwy, lecz bezkrytyczny Melchior Wańkowicz, ani jego polscy następcy nigdy nie chcieli słuchać prawdy o Westerplatte, i to jest tragiczne. Jej uczestnicy z dowódcą kpt. Dąbrowskim na czele żyli przez lata w zapomnieniu i poniżeniu, głęboko ukrywając to, co zachowała ich pamięć, bo za to groziły im represje. Wszyscy wiedzieli tylko o niezłomnym mjr. Sucharskim, którego propaganda i literatura wykreowały niemal na nowego Herkulesa, przez siedem dni samotnie opierającego się niemieckiej przewadze. Do dziś prawda o Westerplatte jest niebezpieczna dla tych, którzy odważają się głośno o niej mówić. Dzieje się tak, ponieważ zbyt wielu ludzi po wojnie zbudowało swoje kariery na legendzie Westerplatte. Na ten temat patrz szerzej: M. Borowiak, *Westerplatte — w obronie prawdy*, Warszawa 2008.

pt. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, t. I, *Kampania wrześniowa 1939*. Znalazłem w nich wiele ciekawych z czysto wojskowego punktu widzenia informacji i analiz dotyczących obrony Gdyni, Westerplatte i Helu, a także wiele relacji świadków i uczestników wydarzeń.

Największą szkodą dla historyka jest to, że trzej dowódcy obrony polskiego Wybrzeża: płk Stanisław Dąbek z Gdyni i Oksywiu, mjr Henryk Sucharski z Westerplatte i kontradm. Józef Unrug z Helu nie pozostawili po sobie spisanych rzetelnych wspomnień. Za Henryka Sucharskiego zrobił to Melchior Wańkowicz, ale jak wspominałem, jego opis to bardziej esej literacki niż rzetelny zapis tego, co działo się na Westerplatte przez siedem dni niemieckiego oblężenia. Wspomnienia napisał po wojnie rzeczywisty dowódca obrony Westerplatte w dniach 2-7 września, kpt. Franciszek Dąbrowski, ale jego publikacja od początku — od 1957 r.

— była na indeksie i dziś jest mało znana. Płk Stanisław Dąbek wspomnień nie zostawił, gdyż podczas kapitulacji Oksywiu popełnił samobójstwo — nie chciał przeżyć swojej klęski. Powojenne wypowiedzi kontradm. Józefa Unruga na temat walk na Helu, zachowane tu i ówdzie, są bardzo lakoniczne, gdyż Unrug — typowy pruski oficer, był przyzwyczajony do zwięzłych wypowiedzi. Pisać też nie za bardzo umiał, a w przeciwieństwie do Sucharskiego nie miał szczęścia trafić na Wańkowicza, który zapewne po mistrzowsku przelałby na papier jego wspomnienia. Wobec tego, że mjr Sucharski zmarł w 1946 r. we Włoszech, płk Dąbek już dawno nie żył, a kontradm. Unrug pozostał po wojnie na emigracji i niewiele o obronie Helu mówił, jesteśmy skazani na relacje innych uczestników wydarzeń.

Wielką pomocą są również wydane po wojnie wspomnienia, a wśród nich na największą uwagę zasługują zapiski i relacje zastępcy mjr. Sucharskiego na Westerplatte — kpt. Franciszka Dąbrowskiego, który w nieco innym świetle niż Wańkowicz (a właściwie Sucharski) relacjonuje wydarzenia w Polskiej

Składnicy Tranzytowej. Ze wspomnień kpt. Dąbrowskiego niedwuznacznie wynika, że opromieniony legendą bohatera z Westerplatte mjr Sucharski załamał się nerwowo po pierwszym niemieckim nalocie bombowym i rozkazał poddać placówkę już 2 września, ale kpt. Dąbrowski, przy pomocy lekarza kpt. Mieczysława Słabego, zdołał odizolować załamane psychicznie dowódcę w koszarach, co przed większością załogi utrzymywano w tajemnicy, i sam przejął dowodzenie placówką na kolejne cztery dni obrony, dzięki czemu Westerplatte przeszło do legendy<sup>3</sup>.

W Gdyni i na Oksywiu praktycznie bito się na sposób japoński, tj. do końca i bez zwracania uwagi na straty. Płk Dąbek, jak się zdaje, przypominał późniejszych japońskich i sowieckich oficerów, którzy, wbrew rozsądkowi i logice, prowadzili swoich ludzi na śmierć. Z obrońców Gdyni i Oksywiu poddały się dosłownie resztki, ściśnięte w ostatnich dniach obrony na malutkim skrawku Kępy Oksywskiej, kiedy już zabrakło żywności, wody, amunicji, środków opatrunkowych i wszelkiej nadziei. Taki przynajmniej obraz wyłania się ze wspomnień obrońców Gdyni i Oksywiu, które zebrał w swoich książkach Edmund Kosiarz<sup>4</sup>.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sytuacja obrońców Helu. Jako jedyny był on twierdzą morską z prawdziwego zdarzenia. Jego umocnienia, wzniesione w latach dwudziestych i trzydziestych dużym nakładem kosztów i bardzo solidne, zdolne były wytrzymać wielomiesięczne oblężenie i blokadę. Załoga Helu, głównej bazy Polskiej Marynarki Wojennej na Bałtyku, była przygotowana na samodzielne utrzymanie się, bez

<sup>3</sup> Gdyby Henryk Sucharski poddał Westerplatte już 2 września wieczorem, jak usiłował, nikt by dziś nie słyszał o tej bitwie, a obrońcy Wojskowej Składnicy Tranzytowej zapewne podzieliliby tragiczny los obrońców Poczty Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku. To Franciszek Dąbrowski i jego podkomendni faktycznie stworzyli legendę Westerplatte i wymusili na Niemcach honorowe warunki kapitulacji.

<sup>4</sup> E. Kosiarz, *Obrona Gdyni*, Warszawa 1976 oraz *Obrona Kępy Oksywskiej 1939*, Warszawa 1984.

jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz, przez wiele tygodni. Samo podejście do Helu od strony lądu było niezwykle trudne dla Niemców. W razie potrzeby mógł on być natychmiast zamieniony w ufortyfikowaną wyspę na Bałtyku (wystarczyło tylko wysadzić tamy w okolicy Chałup).

Niemcy, po pierwszych próbach wzięcia Półwyspu Helskiego z marszu, ograniczyli się *de facto* tylko do jego blokady oraz nękania ogniem z morza i z powietrza. W związku z klęską polskiej Armii „Pomorze” i jej chaotycznym odwrotem w głąb kraju, co miało miejsce począwszy od 3 września, Hel Niemcom w niczym nie przeszkadzał. Byli zajęci na innych kierunkach, więc ten półwysep pozostawili sobie na koniec wojny z Polską, bo nie było sensu tracić ludzi w samobójczych atakach na polskie bunkry. Obrońców Helu nie zginęło zatem aż tak wielu jak w Gdyni i na Oksywiu, gdzie bito się o każdy dom i metr ziemi.

Tutaj raczej o kapitulacji zdecydowała, podobnie jak na Westerplatte, beznadziejność dalszego oporu, która stała się jasna pod koniec września wobec klęski całej armii polskiej, z czego dowództwo obrony Helu doskonale zdawało sobie sprawę dzięki nasłuchowi radiowemu. Konradm. Unrug wiedział o klęsce poszczególnych armii polskich i o zajęciu przez Niemców i Sowieców wszystkich newralgicznych punktów Rzeczypospolitej. Wobec kapitulacji Warszawy, Modlina, Lwowa i Grodna, wobec braku jakiegokolwiek odsieczy z Francji i Wielkiej Brytanii, wobec panowania Kriegsmarine na Bałtyku i Luftwaffe w powietrzu oraz wobec zbliżającej się zimy — odpowiedzialny wódz uznał, że dalsza obrona Helu nie ma sensu. Zdecydował tylko o wytrzymaniu do października, skoro wszyscy skapitulowali we wrześniu<sup>5</sup>. W zasadzie Hel mógłby walczyć z powodzeniem nawet do listopada, bo wystarczyłoby zapasów, ale ogólnej klęski Polski i tak by to nie zmieniło.

<sup>5</sup> Tenże, *Obrona Helu w 1939 r.*, Warszawa 1971.



Dotychczasowi badacze albo opisywali obronę polskich redut morskich osobno (Edmund Kosiarz i Mariusz Borowiak), albo traktowali ją jako część całego opisu wojny obronnej Polski we wrześniu 1939 r. (Tadeusz Jurga, Paweł Piotr Wieczorkiewicz). Obie te metody powodują, że o obronie polskiego Wybrzeża w 1939 r. przeciętny Czytelnik wie stosunkowo niewiele. Gdy potraktujemy sprawę jako część całej kampanii wrześniowej, pozostanie nam tylko w pamięci hasło-legenda: Westerplatte, i poza tym praktycznie nic. Gdynia i Oksywie walczyły z większym poświęceniem i dłużej niż załoga Westerplatte, ale o nich się od dawna nic nie mówi i nie pisze (książki Edmunda Kosiarza oraz Stanisława Strumph-Wojtkiewicza pochodzą jeszcze z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i do dzisiaj nie były wznawiane). Hel walczył samotnie dłużej niż Warszawa, Modlin, Lwów czy Brześć oraz dłużej niż którakolwiek z armii polskich (wyjąwszy gen. Franciszka Kleeberga i oddział mjr. Henryka Dobrzańskiego — „Hubala”), ale w zbiorowej świadomości historycznej większości Polaków praktycznie nie istnieje. Stało się tak również dlatego, że w okresie PRL wybiórczo traktowano wiedzę o działaniach wrześniowych. Nie dotyczyło to tylko walk z Sowietami po 17 września, lecz także oporu odizolowanych jednostek polskich przeciwstawiających się Niemcom. Samo to, że prawie wszyscy obrońcy Gdyni i Kępy Oksywskiej zginęli, walcząc w osamotnieniu i odcięciu od reszty kraju przez 19 dni, a Hel pozostał w rękach polskich aż do 2 października i Niemcy nigdy go nie zdobyli, lecz sam się poddał z braku nadziei na odsiecz, burzyło propagandowy obraz klęski wrześniowej jako bezsensownej, choć bohaterkiej hekatombi.

Dziś wiemy na ten temat znacznie więcej niż 20 lat temu. Znamy wspomnienia i dokumenty, o których autorzy dawniejszych opracowań nie wiedzieli lub nie mogli swobodnie z nich korzystać. Obrona Wybrzeża we wrześniu 1939 r. wymaga nowego, rzetelnego i całościowego opracowania, czego podjąłem się w niniejszej monografii. Jest

to tym bardziej konieczne, iż — moim zdaniem — nie można pisać o samym Westerplatte w zupełnym oderwaniu od sytuacji w Wolnym Mieście Gdańsku (obrona Poczty Polskiej), a także na całym polskim Wybrzeżu (Gdynia i Hel) oraz bez połączenia z działaniami obronnymi Armii „Pomorze” w pierwszych dniach września 1939 r.

Podziwiać należy bohaterstwo żołnierzy i marynarzy mjr. Henryka Sucharskiego i kpt. Franciszka Dąbrowskiego na Westerplatte, płk. Stanisława Dąbka w Gdyni i na Oksywiu oraz kontradm. Józefa Unruga na Helu, którzy pomimo klęski i odwrotu wojsk gen. Władysława Bortnowskiego w głąb kraju podjęli wbrew logice wojskowej samotną obronę w izolacji od siebie. Każdy z nich walczył na własną rękę z przytłaczającą przewagą niemiecką. Oni wszyscy, może z wyjątkiem obrońców Helu, którzy do końca liczyli na odsiecz floty brytyjskiej, doskonale zdawali sobie sprawę, że mogą zginąć. Los pocztowców polskich z Gdańska, którzy ośmielili się przez kilka godzin ostrzeliwać Niemców, a po poddaniu się wszyscy zostali rozstrzelani, stanowił groźne memento dla wszystkich obrońców polskiego brzegu Bałtyku. To, że akurat z wojskowymi Niemcy obchodzili się po rycersku i brali ich do niewoli zamiast rozstrzeliwać, nie od razu było dla wszystkich jasne. Po prostu wojskowi niemieccy mieli jeszcze wtedy resztki honoru, czego nie można powiedzieć o policji, w której ręce trafili bohaterscy pocztowcy.

Niech zatem ta książka, napisana w przededniu 70. rocznicy tych wydarzeń, będzie hołdem dla wszystkich, którzy mieli odwagę bronić polskiego morza.

Na zakończenie chciałbym serdecznie podziękować wszystkim, którzy pomogli mi w napisaniu tej monografii, a przede wszystkim pani Jadwidze Staszewskiej, która ułatwiła mi skompletowanie literatury. Pani Elżbiecie Zdulskiej, mojej sekretarce, składam wyrazy największego uznania.

## POLSKIE WYBRZEŻE W LATACH 1919-1939

---

Polska, odrodzona po 120 latach niebytu na mapie Europy, odzyskała w lutym 1920 r. dostęp do Morza Bałtyckiego. Nie był to jednak powód do zbytnej radości, ponieważ tereny, jakie przyznały nam sprzymierzone mocarstwa na konferencji pokojowej w Wersalu, obejmowały zaledwie wąski pasek Wybrzeża długości 142 km piaszczystej plaży od Helu po rogatki Sopotu, gdyż Gdańsk z przyległościami ogłoszono Wolnym Miastem, które, choć formalnie związane z Polską i pozostające pod międzynarodową kontrolą, było przecież niemieckie. Nie takiej Polski domagali się w Wersalu przedstawiciele rządu Rzeczypospolitej — Ignacy Jan Paderewski i Roman Dmowski<sup>1</sup>. Polska była zbyt słaba, ażeby mogła sama siłą zbrojną wywalczyć z Niemcami lepsze granice. Wąski pasek polskiego Pomorza, który rozciągał niemieckie Pomorze Zachodnie i niemieckie Prusy Wschodnie, w najwęższym miejscu liczył około 40 km i prawdę mówiąc, był nie do obrony na wypadek wojny z Niemcami<sup>2</sup>. Kiedy 10 lutego 1920 r. oddziały polskie, którymi dowodził gen. Józef Haller, dotarły nad Bałtyk, okazało się, że Brytyjczycy

<sup>1</sup> Szerzej: R. D m o w s k i, *Polityka polska i odbudowanie państwa*, t. I-II, Warszawa 1988.

<sup>2</sup> Szerzej: E. K o s i a r z, *Obrona Helu*, s. 14—15.

i Francuzi przyznali Polsce zaledwie płachetek plaży nad Bałtykiem i kilka wsi rybackich, gdzie jedynym portem (rybackim) był Puck. Niemcy zadbali o to, żeby Polakom pozostawić pustą ziemię, ogołoconą ze wszystkiego, co mogłoby posłużyć Rzeczypospolitej do odbudowy własnej floty oraz gospodarki morskiej z prawdziwego zdarzenia. Przez pierwsze lata istnienia II Rzeczypospolitej nasze panowanie nad morzem było bardziej iluzją niż rzeczywistością.

W tych warunkach podziwiać należy, że Polska tak szybko, zdecydowanie i z takim rozmachem przystąpiła do utwierdzenia swojej pozycji nad Bałtykiem. Powołana do życia już na początku 1919 r. w Modlinie Polska Marynarka Wojenna niemal natychmiast po objęciu Pomorza przez Wojsko Polskie pojawiła się nad Bałtykiem. Pierwszą jej bazą był Puck, gdzie cumowało początkowo kilka kutrów i kanonierek odziedziczonych po byłej armii carskiej i byłej armii niemieckiej. Takie były mizerne początki polskiej floty wojennej, która z czasem miała urosnąć do poważnej siły w naszej części Morza Bałtyckiego (4 niszczyciele, 5 okrętów podwodnych, 1 stawiacz min i kilkanaście jednostek pomocniczych w 1939 r.). Hel stał się tymczasowo polskim portem przeładunkowym, a wydzielona część Gdańska (Westerplatte) odgrywała rolę polskiego portu tranzytowego o charakterze czysto wojskowym, aczkolwiek szybko z obu z nich zrezygnowano, kiedy władze Rzeczypospolitej rozpoczęły w 1923 r. budowę nowoczesnego, całkowicie polskiego i niezależnego od nikogo portu w Gdyni. Już pod koniec lat dwudziestych ubiegłego wieku Gdynia była największym, oprócz Szczecina, portem w południowej części Bałtyku. W bezpośrednim sąsiedztwie Gdyni powstał w latach 1925-1926 nowoczesny port wojenny na Kępie Oksywskiej, dokąd przebazowano całą polską flotę wojenną z Pucka, gdzie pozostawiono jedynie

dywizjon lotnictwa morskiego i lotnisko dla wodnosamolotów.

Sytuacja geopolityczna polskiego Wybrzeża, które było wciśnięte pomiędzy terytoria niemieckie, wręcz wymuszała jego obronę i koncepcje należytego umocnienia tych terenów na wypadek spodziewanej wojny z Niemcami, którzy nigdy nie wyrzekli się ziem utraconych w Wersalu na rzecz Polski. Wystarczy poczytać polskie gazety z lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku (zwłaszcza pomorskie i wielkopolskie), żeby z przerażeniem stwierdzić, że temat zagrożenia niemieckiego dla polskiego panowania nad Bałtykiem był w nich niemal stale obecny. Strona niemiecka również nie kryła swoich żalów do Ententy i nienawiści do Polski za rzekomo niesłuszne odebranie jej rdzennie niemieckich ziem nad Bałtykiem i odcięcie Prus Wschodnich oraz Gdańska od macierzy. Gdy czyta się np. *Na tropach Smętka*, świetny reportaż pióra Melchiora Wańkowicza napisany w roku 1935 po wycieczce do Prus Wschodnich, uderza fakt, jak bardzo wszyscy Niemcy — począwszy od urzędników państwowych i partyjnych, a skończywszy na szarym człowieku — tęsknili do rewizji granic z Polską. Dotyczyło to również, o dziwo, obywateli niemieckich mazurskiego pochodzenia, którzy w domu mówili gwarą polską, ale bynajmniej z Polską się nie utożsamiali<sup>3</sup>.

W tych warunkach zaiste dziwić może, że polskie władze cywilne i wojskowe, które przecież znały prasę nie

<sup>3</sup> M. Wańkowicz, *Na tropach Smętka*, Kraków 1988. Znajduje się tam aż nazbyt wiele przykładów niemieckiej propagandy na temat „zbrodni wersalskiej”, która przepolowiła niemieckie Pomorze i „polskim kordonem” odcięła Niemców od Niemców. Każdy Niemiec, stary czy młody, nazista czy nie, miał pretensje do Polaków, że musi podróżować z Królewca do Berlina z paszportem przez terytorium polskie. Wszędzie w niemieckich miastach na terenie Prus Wschodnich pełno było ulotek i plakatów wzywających do powrotu niemieckiego Pomorza Wschodniego (tj. polskiego Pomorza z Gdańskiem i Toruniem) do Rzeszy, gdyż Niemcy nie są bez tego w stanie normalnie egzystować ani się rozwijać.

tylko polską, ale i zagraniczną oraz dysponowały bardzo szczegółowymi raportami polskiego wywiadu w Niemczech, przez całe dwudziestolecie międzywojenne nie uczyniły praktycznie nic, ażeby tzw. korytarz pomorski należycie i zawnazas przygotować do obrony przed agresją niemiecką. Wina leżała niewątpliwie po stronie władz naczelnych Rzeczypospolitej, które, jak wynika z wielu relacji i świadectw, z niewiadomych powodów prawie do samego wybuchu wojny bagatelizowały zagrożenie niemieckie dla Pomorza, a zwłaszcza dla rejonu Helu i Gdyni.

Można oczywiście mówić o trudnościach młodego państwa niemal we wszystkich dziedzinach życia i gospodarki, o chronicznym braku pieniędzy, o mozolnym dochodzeniu do tego, co reszta Europy miała już od dawna. Bynajmniej nie tłumaczy to faktu, że np. kilkakrotnie opracowane przez inżynierów wojskowych plany ufortyfikowania rejonu Gdyni i obsadzenia tegoż ośrodka fortecznego silną załogą, w składzie co najmniej dywizji piechoty z licznymi jednostkami pomocniczymi, ostatecznie zakończyły się na papierze<sup>4</sup>.

Wiele się w przedwojennej Polsce mówiło i pisało o naszym morzu i o jego twardej obronie na wypadek wojny, ale — jak widać — poza propagandą w rodzaju popularnej pieśni: *Morze, nasze morze...*, niewiele się w praktyce na ten temat robiło. A przecież każdy, nawet średnio rozgarnięty, polski polityk i wojskowy musiał, po przeanalizowaniu mapy, dojść do wniosku, że ewentualna walka o polskie morze musi rozegrać się nie na morzu, lecz na polskim Wybrzeżu — i to od skutecznej obrony Gdyni i Helu, naszych jedynych baz morskich, będzie zależało utrzymanie się Polski nad Bałtykiem. Gdańsk jako miasto niemieckie, tylko stowarzyszone z Rzeczpospolitą traktatem wersalskim, był dla nas, w razie wojny z Niemcami, pozycją od razu straconą, której ani

<sup>4</sup> E. Kosiarsz, *Obrona Kępy Oksywskiej*, s. 8-12; również tegoż autora: *Obrona Helu*, s. 14-17.

skutecznie obronić, ani tym bardziej przy sobie utrzymać nie byliśmy w stanie. Zbyt słaba była pozycja Polski nad Bałtykiem, ażeby pozwolić sobie na pozostawienie jedyne go naszego okna na świat bez należytej osłony i obrony na wypadek wojny. Dlaczego tak się właśnie stało, nie jestem w stanie ani zrozumieć, ani w racjonalny sposób wytłumaczyć<sup>5</sup>. Przypomnijmy, że przygotowania, nawet te teoretyczne, do obrony terytorium Polski przed agresją niemiecką podjęto w polskim Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych stosunkowo późno, bo dopiero w latach 1937-1939, a zatem znacznie później niżby należało<sup>6</sup>.

<sup>5</sup> Ani Edmund Kosiarsz, ani Paweł Piotr Wiczorkiewicz, ani Mariusz Borowiak, którzy poświęcili temu zagadnieniu kilka opracowań i dogłębne studia, nigdy nie zdołali wytłumaczyć tego idiotycznego rozdziewu pomiędzy propagandową teorią a siermiężną praktyką naczelnych władz polskich w sprawach bałkańskich. Moim zdaniem, jawi się ponury obraz, jak gdyby Warszawa pozostawiała Wybrzeże własnemu losowi na wypadek konfliktu z Niemcami. Chyba monstrualna rozbudowa floty wojennej nie służyła obronie Wybrzeża na lądzie? Czyżby Polacy w okresie międzywojennym nie wierzyli w możliwość wybuchu wojny z Niemcami? Wiele wskazuje na to, że niestety tak właśnie było.

<sup>6</sup> Polska w okresie międzywojennym szykowała się głównie do działań wojennych przeciwko Rosji Sowieckiej. Większość gier wojennych i planów obronnych zakładała obronę przed atakiem ze wschodu. Dopiero pod koniec życia marsz. Józefa Piłsudskiego, którego przeraziło dojście Adolfa Hitlera do władzy w Niemczech, a więc w latach 1933-1935, podjęto pierwsze studia nad możliwościami obrony przed agresją z zachodu i północy. Pierwsza gra wojenna, rozegrana jeszcze za życia starego marszałka, pozostała teorią na papierze. Stworzone w tym celu centrum sztabowe o kryptonimie „Laboratorium” zostało rozwiązane przez nowego marszałka Polski, Edwarda Rydza-Smigłego, w roku 1936 i z jego badań praktycznie nie skorzystano. Szerzej: K. Głabisz, *Laboratorium „Niepodległość”*, t. VI, 1958.

Drugą próbą opracowania planu obrony Polski na wypadek agresji niemieckiej było studium, jakie w latach 1937-1938 powstało na zamówienie Rydza-Smigłego, a jego autorami byli gen. Tadeusz Kutrzeba i płk Stefan Mossor. Studium to również nie doczekało się realizacji w praktyce, aczkolwiek znamy jego treść, bo ocalało wydane po wojnie pt. *Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom*.

Wybrzeże faktycznie zaczęto przygotowywać do wojny dopiero od jesieni 1938 r. — i to niemrawo — sprawy te powierzono wyłącznie dowództwu Marynarki Wojennej. A obaj kontradmirałowie — Jerzy Swirski w Warszawie i Józef Unrug w Gdyni — nie dysponowali niezbędnymi funduszami, aby w ciągu kilku miesięcy zlikwidować wieloletnie zaniedbania. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne większość pieniędzy przeznaczonych na obronę korytarza pomorskiego i Wybrzeża była kierowana przede wszystkim na rozbudowę floty wojennej.

Sprawy lądowej obrony Wybrzeża traktowano przy tym bardzo po macoszemu, gdyż Kierownictwo Marynarki Wojennej nie przewidywało zagrożenia od strony lądu. Wskutek tego na Pomorzu w lecie 1939 r. brakowało dosłownie wszystkiego — od wystarczającej liczby żołnierzy począwszy, poprzez dotkliwy brak amunicji i broni strzeleckiej, a na artylerii i samolotach skończywszy. Doszło do tego, że polskiego brzegu Bałtyku miały bronić prawie wyłącznie formacje rezerwowe, ochotnicze i paramilitarne, nieprzygotowane do czekających ich zadań, a zwłaszcza do nowoczesnej wojny, do której *już od* kilku lat szykowali się Niemcy<sup>7</sup>. Winą za to należy przede wszystkim obarczyć Warszawę, w której prawie do wybuchu drugiej wojny

Trzecią próbą opracowania planu obrony Polski przeciwko Niemcom były wysiłki podjęte przez gen. Wacława Stachiewicza i płk. Józefa Jaklicza już w 1939 r., a zatem w przededniu wojny. Plany te nigdy nie zostały dopracowane, a ich realizacja przypominała rozpaczliwe zabijanie deskami okien i drzwi na 5 minut przed włamaniem. Więcej na ten temat: W. Stachiewicz, *Wierności dochować żołnierskiej. Przygotowania wojenne w Polsce 1935-1939 oraz kampania 1939 w relacjach i rozważaniach szefa Sztabu Głównego i szefa Sztabu Naczelnego Wodza*, Warszawa 1998, oraz J. Jaki i c z, *Plan operacyjny Naczelnego Wodza w: Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach*, Warszawa 1989. Analiza polskich planów wojny z Niemcami nie wystawia naszym sztabowcom z otoczenia Edwarda Rydza-Smigłego zbyt dobrego świadectwa. Wszystko wskazuje na to, że do wojny z Niemcami szykowaliśmy się w roku 1939 v zbyt pośpiesznie i bez spójnej koncepcji obrony.

v ' E . K o s i a r z , *Obrona Kępy Oksywskiej*, s. 8-12.



światowej rozumowano przestarzałymi kategoriami wojny z bolszewikami z lat 1919-1921, a nie brano pod uwagę, że myśl oraz technika wojenna od tamtego czasu bardzo się zmieniły<sup>8</sup>.

Z kolei na samym Wybrzeżu rządziła niepodzielnie Marynarka Wojenna, która uważała się za „mądrzejszą” broń od wojsk lądowych. Z tego powodu aż do wybuchu wojny praktycznie nie było porozumienia ani koordynacji działań pomiędzy oficerami odpowiedzialnymi za obronę Wybrzeża z Marynarki Wojennej oraz z armii lądowej, co tak boleśnie odczuwał chociażby płk Stanisław Dąbek w sierpniu 1939 r. Kontradm. Unrug i jego otoczenie traktowali oficerów Dąbka z nieukrywaną pogardą, często

<sup>8</sup> Bardzo ciekawe uwagi na ten temat zawarł w swoich powojennych rozważaniach Stanisław Żochowski. Jego artykuł pt. *Czy Polska mogła uniknąć klęski?* opublikowany w roku 1966 na łamach „Zeszytów Historycznych” paryskiej „Kultury” nie pozostawia suchej nitki na marsz. Edwardzie Rydzu-Smigłym oraz jego otoczeniu. Stanisław Żochowski, który w tym czasie był majorem w sztabie Rydza i stykał się bezpośrednio z większością ówczesnej polskiej generalicji, oceniał tych ludzi w większości przypadków jako słabych wojskowych, którzy całe swoje doświadczenie zawodowe wynieśli jedynie z Legionów. Cechowało ich, jego zdaniem, wojskowe nieuctwo i przekonanie o własnej wielkości i nieomyślności. Ponieważ wojnę z bolszewikami w 1920 r. wygrała piechota i kawaleria, polscy generałowie (z wyjątkiem Władysława Sikorskiego i Kazimierza Sosnkowskiego) nie uważali za słuszne rozwijać nowych broni, czyli oddziałów pancernych i zmotoryzowanych oraz lotnictwa. Nie sądzili też, że potrzebne jest rozbudowanie fortyfikacji stałych na granicach Polski, gdyż — ich zdaniem — przyszła wojna miała być wyłącznie manewrowa z przewagą rajdów kawaleryjskich i piechoty walczącej w oparciu o umocnienia polowe, czyli okopy i zasieki. Taka wizja wojny opanowała prawie wszystkie umysły w Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych w Warszawie. Wszelkie braki pokrywano milczeniem lub niezbyt optymistycznym szumem „patriotycznym”, gdzie każda uwaga o naszej słabości była traktowana jako objaw defetyzmu i braku zaufania do władz państwowych i wojskowych. Brak logicznego myślenia wykazała dopiero klęska wrześnieowa, której nie mogło odwrócić nawet największe bohaterstwo i poświęcenie żołnierza polskiego. S. Żochowski, *Ostatnia wojna a Polska. Czy Polska mogła uniknąć klęski?*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1966, z. 9, s. 52-74.

lekceważąc ich postulaty i prośby. Każdy faktycznie bronił się na własną rękę. Marynarze zadbali tylko o umocnienie Helu — głównej bazy floty na wypadek wojny. Gdynię pozostawili płk. Dąbkowi i praktycznie nie udzielili mu żadnej pomocy, o którą wielokrotnie prosił. Jeżeli nie liczyć przestarzałej baterii nadbrzeżnej na Kępie Oksywskiej, to przygotowanie Gdyni do obrony przed atakiem niemieckim równało się zeru. Józef Unrug ze swoim sztabem już w początkach sierpnia 1939 r. przeniósł się na Hel i tam też przebazował wszystkie okręty wojenne, które pozostały na Bałtyku. W sprawę obrony Wybrzeża usiłował się jeszcze dodatkowo mieszać dowódca Toruńskiego Okręgu Wojskowego (późniejszej Armii „Pomorze”) gen. Władysław Bortnowski, ale jego interwencje i wizytacje, odbyte w sierpniu 1939 r., pogłębiły tylko chaos organizacyjny i tak panujący na Wybrzeżu.

Ostatecznie ustalono, że dowodzeniem obrony Wybrzeża ma się zająć kontradm. Unrug, któremu poza garnizonem Helu, złożonym przeważnie z marynarzy, miała podlegać również załoga Gdyni i garnizon Wojskowej Składnicy Tranzytowej w Wolnym Mieście Gdańsku, na Westerplatte. Decyzję taką podjęto w Warszawie dopiero na przełomie lipca i sierpnia 1939 r. Było to zdecydowanie za późno. Marynarze niewiele znali się na wojnie lądowej. Kontradm. Unrug nie był w stanie sam skoordynować działań obronnych na Wybrzeżu, obstawił więc tylko Hel okrętami wojennymi dla zapewnienia komunikacji z Gdynią i pozostawał w radiowym kontakcie z mjr. Sucharskim na Westerplatte.

Gdańsk był jednak poza zasięgiem polskich oddziałów z Wybrzeża oraz naszych okrętów wojennych. Wiadomo było, że załoga Westerplatte w sile nieco ponad 200 ludzi będzie skazana tylko na siebie. Słabą stroną polskiego planu obrony Wybrzeża było rozczłonkowanie sił, których i tak nie było zbyt wiele. Wyspy polskiego oporu musiały walczyć w izolacji, skazane na pojedyncze rozbijanie przez atakujące oddziały niemieckie. Z wojskowego punktu widzenia nale-

żało raczej skupić wszystkie siły polskie pomiędzy Helem a Gdynią, oddając Gdańsk Niemcom jeszcze przed wojną jako pozycję straconą. Żołnierze Sucharskiego i Dąbrowskiego o wiele lepiej wykonaliby swoje zadania w Gdyni lub w okolicach Kartuz i Wejherowa. Byli oni dobrze uzbrojeni i wyszkoleni, toteż ich przydatność na polskim Pomorzu byłaby dużo większa niż uziemienie na Westerplatte tylko z powodów propagandowo-politycznych.

Z perspektywy czasu historyk musi stwierdzić z podziwem, że obrońcy Wybrzeża spełnili z honorem niewykonalne zadanie bojowe, jakie im powierzono. Stłoczone na niewielkiej przestrzeni Wybrzeża oddziały polskie, liczące zaledwie około 3 dywizji (licząc razem załogę Westerplatte, Gdyni wraz z Oksywiem i Helu), stawily twarde opór trzykrotnie silniejszemu nieprzyjacielowi, który rozporządzał przewagą na lądzie, morzu i w powietrzu przez miesiąc i dwa dni samotnej walki. Odcięte od reszty Polski już od trzeciego dnia wojny Wybrzeże trwało w samotnym oporze, licząc tylko na pomoc floty brytyjskiej, która miała rzekomo wpłynąć na Bałtyk z odsieczą, znacznie dłużej niż inne, regularne jednostki Wojska Polskiego w głębi kraju. Westerplatte, wbrew wszelkiej logice wojskowej, wytrzymało w walce przez 6 i pół dnia, Gdynia i Oksywie walczyły 19 dni, Hel bronił się 4 tygodnie i kilka dni.

Najbardziej godne podziwu jest to, że obrońcy nie tylko trwali na swoich pozycjach, ale nawet kontratakowali, wprawiając Niemców w osłupienie i zadając im poważne straty. Tak było w Gdyni i w jej okolicach, gdzie żołnierze płk. Dąbka szarpali zniemacka mniejsze jednostki niemieckie i odbierali im stracone wcześniej pozycje. Na Helu obrona była tak twarda, że Niemcy w ogóle zrezygnowali z jego szturmowania i tylko bombardowaniami z morza i z powietrza usiłowali wymusić na Polakach kapitulację. Opór Westerplatte w pierwszym dniu obrony, gdy załamały się dwa niemieckie szturmy na Wojskową Składnicę Tranzytową, przeraził dowództwo niemieckie do tego stopnia, że przez

pozostałe dni nie ryzykowano generalnego szturmu na ten teren, ograniczając się tylko do szczelnej blokady i bombardowań oraz zwiadów bojowych wzmocnionych patroli, co Polacy brali omyłkowo za niemieckie ataki<sup>9</sup>.

Reasumując, twardy opór Polski na Wybrzeżu przeraził niemieckie dowództwo. Czegoś takiego ani Hitler, ani jego sztabowcy się nie spodziewali. Wielka w tym zasługa tych spośród dowódców polskich, którzy jak kpt. Dąbrowski na Westerplatte płk Dąbek na Oksywiu i kontradm. Unrug na Helu potrafili wytrwać do końca na straconych pozycjach, budząc tym podziw nieprzyjaciela. Wypada tylko stwierdzić, że opór ten mógłby być o wiele dłuższy i skuteczniejszy, gdyby Główny Inspektorat Sił Zbrojnych w Warszawie zawczasu przygotował Wybrzeże do obrony. Większość floty polskiej odplynęła jeszcze przed wybuchem wojny do Wielkiej Brytanii w ramach planu „Peking”, gdyż na Bałtyku czekała nasze okręty zagłada, krwawy zaś bój o polskie morze toczyli na lądzie polski piechur i marynarz, dokąd starczało amunicji, żywności, lekarstw i nadziei. Ten egzamin obrony polskiego Wybrzeża zdali na ogół celująco<sup>10</sup>.

<sup>9</sup> Jak ustalił w swojej książce *Westerplatte — w obronie prawdy* Mariusz Borowiak, rzekome 16 lub 17 szturmów niemieckich na Westerplatte, o których rozpisywano się po wojnie, to fikcja, ponieważ Niemcy nie ryzykowali kolejnych ataków po hekatombie z pierwszego dnia walk. Wszystko wskazuje na to, że dowództwo niemieckie przyjęło tu taką samą taktykę, jak na Helu: gdy nieprzyjaciel stawia niespodziewanie silny opór i straty oddziałów atakujących są zbyt duże, to należy zablokować go i bombardowaniami wykończyć psychicznie, ażeby sam się poddał. Niemiecka teoria wojny błyskawicznej stawiała na szybkie opanowanie *terytorium* nieprzyjaciela, a wtedy odizolowane punkty oporu, których nie uda się zdobyć z marszu, prędzej czy później skapitulują same. Tak było chociażby z Warszawą, Helem, Modlinem, Brześciem i Lwowem. Dlaczego więc z osamotnionym Westerplatte miało być inaczej?

<sup>10</sup> Z niechlubnymi wyjątkami mjr. Sucharskiego na Westerplatte oraz kmr. Kloczkowskiego na ORP „Orzeł”, którzy po prostu nie dojrzeli do powierzonych im zadań.

## WOLNE MIASTO GDAŃSK A POLSKA

---

W roku 1917, kiedy pierwsza wojna światowa wkraczała w decydującą fazę, gdyż do państw koalicji anty niemieckiej (Ententy) przyłączyli się Amerykanie, prezydent Stanów Zjednoczonych, Thomas W. Wilson, przedstawił politykom francuskim i brytyjskim swój plan przebudowy powojennego świata. Wśród licznych postulatów tego planu, którego celem było uniknięcie kolejnej wojny w Europie, jeden z punktów (13.) mówił o konieczności powołania do życia niepodległego państwa polskiego z dostępem do Morza Bałtyckiego przez umiędzynarodowioną Wisłę<sup>1</sup>.

Postulat ten pozostał w mocy, kiedy w rok później Niemcy skapitulowały, Austro-Węgry się rozpadły, a Rosja pogrążyła w chaosie rewolucji i wojny domowej. Na konferencji pokojowej w Wersalu (1919 r.) nikt jeszcze nie wiedział, jak ma wyglądać odrodzona Rzeczpospolita Polska. Większość polityków francuskich i brytyjskich, a także włoskich i japońskich oraz amerykańskich nie wiedziała nawet, gdzie leży ta Polska i jakie mają być jej

<sup>1</sup> Postulat ten został napisany przez prezydenta Wilsona pod wpływem rozmów z Ignacym Janem Paderewskim, który w tym czasie robił wszystko na rzecz pozyskania Amerykanów dla idei wskrzeszenia państwa polskiego oraz utworzenia oddziałów polskich w Stanach Zjednoczonych.

granice<sup>2</sup>. Większość alianckich polityków sądziła, że Polska to mniej więcej teren przedwojennej rosyjskiej Kongresówki, może nieco poszerzonej o okolice Krakowa i Torunia. Nawet Poznań, nie mówiąc już o Gdańsku, uważano powszechnie w Wersalu za miasta niemieckie, które się Polakom nie należą.

Fakty w postaci powstania Wielkopolskiego, gdzie Polacy sami zdecydowali o polskości Wielkopolski i części Pomorza, oraz wkroczenie na Pomorze Gdańskie oddziałów gen. Józefa Hallera, powracających właśnie do ojczyzny z Francji, przekonały polityków z Wersalu o tym, że Polska nie ogranicza się tylko do przedmieść Warszawy i Krakowa, lecz ma ambicje odzyskania wszystkiego tego, co pod koniec XVIII w. utraciła na rzecz zaborców. Jednakże Anglicy i Włosi jakoś nie mogli się pogodzić ze zbyt dużym — ich zdaniem — rozrostem terytorium Polski wobec Niemiec.

To, co już zdobyli orężem powstańcy wielkopolscy, i to, co już zajęli żołnierze Hallera, trzeba było przeboleć,

<sup>2</sup> Do anegdoty, aczkolwiek bardzo ponurej, przeszło pewne wydarzenie, zapisane w pamiętnikach Romana Dmowskiego oraz Ignacego Jana Paderewskiego (polskich delegatów na konferencji w Wersalu). Oto na salę obrad wbiega pewnego dnia przewodniczący delegacji brytyjskiej, Dawid Lloyd George, znany przeciwnik Polaków i obrońca Niemców. Macha gazetą nad głową i rozgorączkowany wykrzykuje, że oto Polacy chcą siłą odłączyć Cylicję od Turcji i już zaatakowali Turków w Azji Mniejszej! — „Na co tym Polakom tylu Ormian?” — wydziera się na całe gardło Anglik. Na to doradca prezydenta Wilsona, obecnego tego dnia na sali, pochyla się i szepcze mu coś do ucha. Prezydent USA natychmiast wstaje i podnosi rękę. — „Czy jest pan pewien, że to na pewno chodzi o Cylicję?” — pyta rozgorączkowanego Brytyjczyka. — Bo, z tego, co wiem, to Polacy zabiegają o Galicję i na pewno nie leży ona na terytorium Turcji, i nie mieszkają tam Ormianie”. — Na to Lloyd George milknie, następnie patrzy w gazetę, otwiera oczy szeroko i usta ze zdziwienia, a po dłuższej chwili wyszeptuje zawstydzony: „No tak... Być może...” — Ta autentyczna scena świadczy o tym, jak bardzo wiedza o Polsce była znikoma w ówczesnej Europie.

ale pozostawał problem stolicy Pomorza i największego w tym rejonie portu na Bałtyku — Gdańska, którego wojska polskie nie zajęły, czekając na korzystne dla nas rozstrzygnięcia w Wersalu. Co prawda, adiutant gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, wodza powstańców wielkopolskich, ówczesny płk Władysław Anders, gotów był zrobić nagły rajd na Gdańsk i siłą przyłączyć go do Polski, ale Roman Dmowski w Paryżu nie wyraził na to zgody, bojąc się negatywnego wrażenia, jakie mogłoby to wyrzucić na aliantach, czego potem mocno żałował, ale było już za późno.

Cały problem z Gdańskiem polegał na tym, że historycznie był on zawsze związany z Polską, ale nigdy w swoich dziejach pokrzyżackich (1466-1793) nie był miastem etnicznie polskim. Zawsze jego patrycjat był niemiecki i protestancki, częściowo szkocki, ale nigdy w większości polski. Gdańszczanie, choć najczęściej wierni królowi polskiemu i Rzeczypospolitej, zawsze u siebie w domu mówili po niemiecku. Tak było przez wieki. Tak też było w latach 1807-1815, kiedy to Gdańsk stał się na powrót niezależną republiką miejską, tym razem pod protektoratem Napoleona. Polacy w latach 1919-1921 żądali w Wersalu przyłączenia Gdańska do Polski. Roman Dmowski razem z Ignacym Paderewskim wielokrotnie argumentowali, że Gdańsk jest kluczem do Wisły i Bałtyku. Dostęp Polski do morza nie ma sensu bez portu morskiego z prawdziwego zdarzenia, a takim jest w tamtym rejonie wyłącznie Gdańsk.

Ostatecznie, pod naciskiem delegatów brytyjskich, postanowiono, że Gdańsk razem z najlepszymi okolicami, obejmującymi obszar wielkości 1893 km kw., pozostanie miastem niemieckim, ale oddzielnym od Rzeszy i powiązonym politycznie z Polską, aczkolwiek pod rządem mocarstw sprzymierzonych<sup>3</sup>. Nieszczęśliwie zbiegło się to

<sup>3</sup> E. Cieślak, Cz. Biernat, *Dzieje Gdańska*, Gdańsk 1975.

z kłeskami Polski w wojnie z bolszewikami, kiedy to w ogóle nie było pewne, czy Polska ostoi się po nawale czerwonooarmistów. Brytyjczycy narzucili światu, Polsce oraz Niemcom rozwiązanie kuriozalne, połowiczne i na tyle niedorzeczne, iż zamiast zaprowadzić zgodę i dogodzić wszystkim, wywoływało tylko ciągle napięcia między Polską a Niemcami<sup>4</sup>. Utworzony w 1919 r. organizm państwowy pod nazwą Wolne Miasto Gdańsk nie mógł zadowolić Polaków, którzy, nie mając własnego portu na Bałtyku, byli zmuszeni korzystać z niemieckiej łaski w Gdańsku; tym bardziej nie mógł usatysfakcjonować Niemców, którzy odczuwali utratę Pomorza Gdańskiego i samego Gdańska na rzecz Polski (pogardliwie nazywali ją w swojej propagandzie „państwem sezonowym”); a zatem Gdańsk musiał być zarzewiem nowej wojny polsko-niemieckiej.

Na razie osłabione po pierwszej wojnie światowej i rozbrojone postanowieniami traktatu wersalskiego Niemcy nie były w stanie ponownie włączyć Pomorza i Gdańska do Rzeszy, ale cały czas usilnie nad tym pracowały. Począwszy od roku 1920 aż po rok 1939 cała prasa niemiecka, reprezentująca praktycznie wszystkie opcje polityczne, ubolewała nad oderwaniem Prus Wschodnich i Gdańska od niemieckiej macierzy. Cały czas świat bombardowała informacjami, jak to Niemcom jest na

<sup>4</sup> Podobne błędy popełnili Brytyjczycy w XX w. w Indiach, które podzielili na Indie i Pakistan; w Palestynie, którą sztucznie rozdzielili pomiędzy Żydów i Arabów w ten sposób, że po stronie żydowskiej znalazła się spora mniejszość palestyńska, po arabskiej zaś pozostała Stara Jerozolima — święte miejsce Żydów. Podobnie podzielili brytyjscy dyplomaci Cypr, powodując długoletnie waśnie i starcia orężne między miejscowymi Grekami i Turkami. Ogólnie rzecz biorąc, chęć zadowolenia wszystkich stron konfliktu, zawsze przyświecająca działaniom dyplomacji brytyjskiej w różnych częściach świata, powodowała tylko nowe ogniska konfliktów, a to z powodu nieustającej ignorancji Brytyjczyków w kwestiach etnicznych, historycznych i międzynarodowych.



Pomorzu i w Gdańsku źle, bo rządzą nimi Polacy. Niemieckie żale przybierały czasem postać zgoła groteskową. Polacy, zgodnie z postanowieniami traktatu wersalskiego, mogli posiadać w Gdańsku nabrzeże portowe przeznaczone do przyjmowania towarów o charakterze wojskowym. Było to skutkiem doświadczeń z wojny przeciwko bolszewikom w 1920 r., kiedy to strajk niemieckich dokerów w porcie gdańskim, inspirowany przez agenturę bolszewicką, uniemożliwił dostawy broni z Francji i Wielkiej Brytanii dla walczącej z czerwonoarmistami armii polskiej.

Ów port polski znajdował się na Westerplatte, gdzie dawniej było niemieckie lotnisko. Przez całe dwadzieścia lat istnienia tej placówki w Wolnym Mieście Gdańsku powtarzała się ta sama scena, opisana przez kpt. Franciszka Dąbrowskiego w jego wspomnieniach:

„W okresie wakacyjnym, w lecie, przewodnicy stateczków wycieczkowych zwiedzających port gdański dawali bardzo często upust swemu niezadowoleniu na widok tego czerwonego muru. Objaśniali wtedy zwiedzających port, że za tym murem znajduje się polska Wojskowa Składnica Tranzytowa, wymieniali traktatowy skład i stan załogi oraz objaśnienia te opatrywali komentarzem w rodzaju: «Za ten mur muszą płacić podatnicy gdańscy» lub «Gdańsk nie tylko stracił swój Prater, ale musiał do niego dopłacić jeszcze trzy miliony guldenów gdańskich». Wygląd zaś flagi gdańskiej Rady Portu [•••] był przez przewodników komentowany i określany jako «komiczna flaga» i «najdziwniejszy twór na świecie»<sup>5</sup>.

Niemcy gdańscy mieli do Polaków pretensje niemalże o wszystko, o to, że są Wolnym Miastem i nie należą do

<sup>5</sup> F. Dąbrowski, *Wspomnienia z obrony Westerplatte. (Wspomnienia i dokumenty)*, wstęp historyczny skreślił i załączniki opracował Marian Pelczar, Gdańsk 1 IX 1957, s. 69. Flaga Wolnego Miasta Gdańska zawierała herb Gdańska oraz godło Rzeczypospolitej — Orła Białego, i to tak bardzo irytowało gdańskich Niemców.

Niemiec; o to, że ich interesy zagraniczne reprezentuje Polska; o to, że począwszy od roku 1926 wyrosła im pod bokiem konkurencyjna Gdynia itp. Od początku istnienia Wolnego Miasta Gdańska było ono *de facto* ropiejącym wrzodem w stosunkach między Berlinem a Warszawą. Niemcy w Gdańsku nic sobie nie robili ze wszystkich umów międzynarodowych, którym podlegało ich państwo. A przecież Gdańsk miał być wolnym portem, w którym Polacy i Niemcy mieli mieć równe prawa pod nadzorem Ligi Narodów. To Polsce zawdzięczali gdańszczanie swój dobrobyt, gdyż Polacy dbali o to miasto, mimo że mieszało ich tam coraz mniej. Niemcy, mający na Bałtyku wielkie porty: Królewiec z Pilawą i Elblągiem oraz Szczecin ze Świnoujściem, mimo propagandowych żalów, traktowali Gdańsk po macoszemu, gdyż był on portem starym i stosunkowo niewielkim.

Wyglądało na to, jak gdyby Niemcy z Wolnego Miasta Gdańska chcieli być bardziej niemieccy od swoich rodaków z Królewca i Berlina. Przecież to oni nieustannie prowokowali konflikty z Polską. Jednakże było to dobrze pomyślaną grą Berlina, ponieważ to nie on buntował się przeciwko polskiemu panowaniu nad Bałtykiem, ale Gdańsk. Wobec tego Niemcy zawsze mogli powiedzieć światowej opinii publicznej, że to nie oni szukają zwady z Polską, tylko sami gdańszczanie mają już dość panowania polskiego na swoim terytorium — sprytnie pomyślane. A przecież Polska nie łamała swoją obecnością w Gdańsku, zresztą bardzo ograniczoną, żadnych umów międzynarodowych, gdyż zgodnie z artykułami 190-196 traktatu wersalskiego miała tam bardzo szerokie uprawnienia:

1. Wolne Miasto Gdańsk zostało włączone do polskiego obszaru celnego.

2. Polacy wykonywali w Gdańsku mandat Ligi Narodów pod nadzorem neutralnego Wysokiego Komisarza Ligi Narodów, którym najczęściej bywał Brytyjczyk lub Włoch.

3. Polacy mieli prawo do utrzymywania na obszarze Wolnego Miasta Gdańska swoich urzędników pocztowych i celnych, całej administracji kolejowej oraz garnizonu wojskowego na terenie Polskiej Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte.

4. Zgodnie z postanowieniami traktatu wersalskiego dyplomacja polska prowadziła sprawy zagraniczne Wolnego Miasta Gdańska, a więc Gdańsk formalnie był częścią Rzeczypospolitej Polskiej, aczkolwiek o bardzo szerokiej autonomii<sup>6</sup>. Traktat wersalski nakazywał ponadto równe traktowanie gdańszczyzan polskiego i niemieckiego pochodzenia, bez żadnej dyskryminacji ani ograniczania praw językowych<sup>7</sup>.

Pomimo to i wbrew udokumentowanym historycznie i gospodarczo prawom Rzeczypospolitej Polskiej do Gdańska Polacy przez całe dwudziestolecie międzywojenne mieli z Wolnym Miastem Gdańskim nieustające problemy i siedzieli w nim jak na beczce prochu. Kpt. Franciszek Dąbrowski w swoich wspomnieniach pisze, że przejeżdżający przez Gdańsk żołnierze polscy musieli być po cywilnemu, żeby uniknąć „prowokowania awantur ze strony elementów hakatystycznych i narodowo-socjalistycznych w Gdańsku”. A przecież „dawniej, w roku 1920, można było na ulicach Gdańska spotkać mundur polski, a nawet funkcjonariusze Danziger Schutzpolizei<sup>8</sup> oddawali honory wojskowe starszym stopniem żołnierzom polskim<sup>9</sup>”.

Skoro nawet urzędnicy i wojskowi polscy przebywający oficjalnie na terytorium Wolnego Miasta Gdańska byli zmuszeni ukrywać swoją tożsamość pod ubraniami cywil-

<sup>6</sup> Stosunki pomiędzy Polską a Wolnym Miastem Gdańskiem w latach 1920-1939 przypominały położenie Królestwa Polskiego względem Rosji w latach 1815-1831.

<sup>7</sup> E. Cieślak, Cz. Biernat, *Dzieje Gdańska*, s. 490-4-91, 498-504.

<sup>8</sup> Danziger Schutzpolizei — Policja Wolnego Miasta Gdańska.

<sup>9</sup> F. Dąbrowski, *Wspomnienia z obrony Westerplatte*, s. 65-66.

nymi, aby nie drażnić i nie prowokować Niemców gdańskich na ulicach miasta, nad którym formalnie sprawowali kontrolę, to cała zależność Gdańska od Polski była tylko fikcją. Praktycznie od samego początku Niemcy w Gdańsku robili, co im się żywnie podobało, nie oglądając się ani na Polskę, ani na Ligę Narodów, Genewa zaś i Warszawa przyglądały się temu wszystkiemu bezradnie. Tylko w latach 1933-1934, kiedy marsz. Józef Piłsudski zagroził Niemcom wojną, a Gdańskowi bezpośrednią interwencją zbrojną, gdańszczanie nieco spuścili z tonu, ale rychło wrócili do starej antypolskiej propagandy i dywersji.

O stosunkach polsko-gdańskich ciekawie pisze Stanisław Mackiewicz-Cat, który w grudniu 1935 r. przedstawił projekt załatwienia sprawy Gdańska. Zaproponował, aby:

1. Nie dać się sugestionować możliwościom prędkiego spolonizowania tego miasta pod względem narodowym;
2. Ocenić Gdańsk jako wielką dla nas sprawę gospodarczą.

Stosunki i politykę naszą w Gdańsku oprzeć na cierpliwym gospodarczym związywaniu tego miasta z Polską. Uważałem, że trzeba by Polska usunęła z Gdańska Ligę Narodów i proklamowała polityczną niezależność tego miasta, związując je jednocześnie szeregiem umów gospodarczych, które by zbliżyły go do Polski<sup>10</sup>.

Stanisław Mackiewicz-Cat nie mylił się w swojej ocenie. Moim zdaniem Polacy mogli w sprawie Gdańska chwycić się jednego z dwóch rozwiązań, które w dwudziestoleciu międzywojennym były możliwe i wykonalne, a mianowicie:

1. Od roku 1919 aż po rok 1939, kiedy Józef Piłsudski zamierzał zbrojnie rozprawić się z Niemcami i siłą przyłączyć spore tereny do Polski<sup>11</sup>, mogliśmy po prostu zająć

<sup>10</sup> S. Mackiewicz z-Cat, *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.*, Warszawa 1989, s. 272-273.

<sup>11</sup> Na temat planów wojny przewencyjnej Józefa Piłsudskiego przeciwko Niemcom w latach 1932-1934 patrz: tenże, *Historia Polski*, s. 227-233.

siłą Wolne Miasto Gdańsk i włączyć je do Rzeczypospolitej. Świat wtedy nie wystąpiłby w obronie Niemiec.

2. Począwszy od roku 1935, kiedy zmarł Marszałek, a w Niemczech Hitler rozpoczął zbrojenia na ogromną skalę, Polacy mogli już tylko śledzić poczynania Niemiec i starać się jak najdłużej zachować z nimi pokój, aby dozbroić się i wygrać na czasie, nawet kosztem koniecznych w takiej sytuacji ustępstw politycznych i terytorialnych. Wobec tego, że Polacy od 1926 r. posiadali już własny port nad Bałtykiem — Gdynię, z niemieckiego Gdańska można było chwilowo zrezygnować. I tak byśmy go odzyskali w momencie klęski Niemiec w nowej wojnie światowej, która w perspektywie była do przewidzenia.

Polscy przywódcy, którzy objęli ster państwa po śmierci Józefa Piłsudskiego w maju 1935 r., tj. nowy marszałek Polski Edward Rydz-Śmigły oraz minister spraw zagranicznych Józef Beck, nie zrozumieli powtarzanych wielokrotnie ostrzeżeń starego Marszałka, ażeby możliwie długo, jak tylko się da, unikać bezpośredniej konfrontacji z Niemcami i czekać aż przyszała wojna światowa rozstrzygnie się na Zachodzie bez naszego udziału. Józef Piłsudski dobrze przewidywał, że punktem zapalnym w stosunkach polsko-niemieckich będzie Gdańsk i korytarz pomorski, bo to było widać na każdej mapie. Dlatego należało przygotować się do wojny z Niemcami, zawczasu fortyfikując Pomorze, wycofując się z Gdańska i szukając bliskiego sojusznika w podobnie zagrożonej jak my przez Niemców Czechosłowacji<sup>12</sup>. Edward Rydz-Śmigły i Józef Beck, pomimo że obaj byli doskonale świadomi narastającego zagrożenia niemieckiego, które było widoczne już od roku 1935, nie uczynili absolutnie nic, ażeby uchronić Pomorze z Gdynią i Helem oraz całą Polskę przed agresją niemiecką. Twarde postawienie przez Becka sprawy gdańskiej w maju 1939 r.

<sup>12</sup> S. Żochowski, *Czy Polska mogła uniknąć klęski?*, s. 291-296 i 30-316.

i piękne słowa o honorze i o tym, że Polska nie da się odepchnąć od Bałtyku nie mogły odmienić smutnej prawdy, że w roku 1939 Wolne Miasto Gdańsk nie było warte tego, ażeby dla utrzymania jego statusu ryzykować byt niepodległej Polski.

Nie będę tu opisywał całej historii konfliktu polsko-niemieckiego o Gdańsku i korytarzu pomorskim w 1939 r., gdyż zbyt wielu badaczy opisało ją już dokładnie i nic nowego tu nie odkryję. Powiem tylko, że jeżeli chciało się skutecznie bronić Wybrzeża przed Niemcami, to należało zawczasu ewakuować Westerplatte i w ogóle cały polski personel z Gdańska, którym już od 1932 r. niepodzielnie rządili hitlerowcy z gauleiterem Albertem Forsterem na czele<sup>13</sup>. Jeżeli się miało szczupłe siły na Pomorzu, to trzeba było je skupiać do obrony punktów najważniejszych (Gdynia i Hel), nie zaś rozpraszać na straconych pozycjach na terytorium wroga (Westerplatte). To miało się już niedługo zemścić na polskiej obronie Wybrzeża. Gdańsk był dla Polski w 1939 r. pozycją nie do utrzymania i dlatego należało wycofać się z niego jeszcze przed wybuchem wojny. Powtarzam jeszcze raz z pełną świadomością moich słów: Gdańsk w roku 1939 (niemieckie miasto wrogie Polsce) nie był wart krwi ani jednego polskiego żołnierza, a tym bardziej pocztowca. Ta krew przydałaby się natomiast w obronie polskiej Gdyni, Kępy Oksywskiej, Wejherowa, Kartuz, Pucka i Helu.

<sup>13</sup> E. Cieślak, Cz. Biernat, *Dzieje Gdańska*, s. 509-512.

## POLSKA SKŁADNICA TRANZYTOWA NA WESTERPLATTE

---

Początki półwyspu nazwanego później z niemiecka *West-Platte*, czyli Zachodnia Mielizna, sięgają X]H-XIV w., kiedy to wody wiślane oraz bałtyckie naniosły tu piasku i mułu, powodując najpierw powstanie wyspy, która z czasem zrosła się z lądem, tworząc półwysep. Położone po wschodniej stronie portu gdańskiego niewielkie terytorium naturalnie obronne było przez wieki miejscem walk o Gdańsk. Stąd wyruszała flota polska do bitwy ze Szwedami pod Oliwą w listopadzie 1627 r. Tu w roku 1734 lądowały oddziały francuskiego korpusu ekspedycyjnego, które przybyły na pomoc oblężonemu w Gdańsku królowi polskiemu Stanisławowi Leszczyńskiemu. Wtedy Francuzi nie zdołali przebić się do Gdańska przez rosyjskie okopy i w końcu skapitulowali wobec przewagi Rosjan. Potem teren Westerplatte przez kilkaset lat pełnił funkcję letniska dla mieszczan gdańskich. Powstawały tam wille i pensjonaty dla Niemców, zażywających wywczasów nad morzem. W okresie pierwszej wojny światowej wojska niemieckie zbudowały tam nadbrzeżny fort, a właściwie betonowe stanowisko dla artylerii nadbrzeżnej<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Z. Fli s o w s k i, *Tu, na Westerplatte*, Warszawa 1974, s. 6-9. Patrz również: E. Koczorowski, *Oliwa 1927*, Warszawa 2002 oraz E. Cieślak, Cz. Biernat, *Dzieje Gdańska*, s. 259-341.

Kiedy w 1919 r. Gdańsk odłączono od Rzeszy i zaczęły się przygotowania do utworzenia Wolnego Miasta, przybył tam nieoficjalny, na razie, przedstawiciel Rzeczypospolitej, którym był hrabia Mieczysław Jałowiecki. On to zorganizował polską administrację w Gdańsku i dbał o przestrzeganie praw polskich w mieście oraz w porcie. A ponieważ Niemcy gdańscy niezbyt dobrze odnosili się do Polaków i polskie interesy w porcie gdańskim były stale zagrożone, co uwidoczniło się szczególnie wyraźnie podczas wojny z bolszewikami w latach 1919-1921, kiedy to —jak już wspomniano— niemieccy portowcy otwarcie popierali bolszewików i organizowali strajki tylko po to, ażeby nie dopuścić pomocy materialowej, zbrojeniowej i medycznej do Polski, a tranzyt materiałów wojennych przez odległy Szczecin okazał się pomysłem bajecznym, hrabia Mieczysław Jałowiecki poszedł po rozum do głowy i chytrze oszukał Niemców.

W lipcu 1920 r., gdy bolszewicy szli na Warszawę, a Niemcy gdańscy wypatrywali lada dzień sojuszników z czerwonymi gwiazdami na czapkach pod fontanną Neptuna, hrabia dał upust swojej fantazji (tak się przynajmniej urzędnikom niemieckim wydawało) i kupił sobie niewielki mająteczek letniskowy na terenie Gdańska, nieopodal portu. Tym mająteczkiem było Westerplatte. Nikt z Niemców nie zwrócił uwagi na drobny fakt, że to letnisko posiadało niewielką przystań, gdzie dotychczas cumowały statki wycieczkowe. Niemieccy urzędnicy otrzeźwiali dopiero wówczas, kiedy hrabia Jałowiecki otoczył swój majątek wysokim murem i wywiesił flagę polską. Niemców omal diabli nie wzięli, ale było już za późno na cofnięcie transakcji i pozostawało im tylko bezsilne przyglądanie się, jak na Westerplatte instaluje się polski garnizon, a polscy inżynierowie rozbudowują magazyny i urządzenia portowe na terenie dawnego letniska. Chytrzy Niemcy zostali tym samym przechytrzeni przez szlachcica litewskiego ze Żmudzi i przez kolejne 20 lat mogli



tylko w bezsilnej złości zgrzytać zębami i użalać się nad utratą pięknego terenu rekreacyjnego<sup>2</sup>.

Tym samym Polska, która w pierwszych latach swego istnienia nie miała ani jednego portu z prawdziwego zdarzenia i była zdana na niemiecką łaskę i niełaskę, gdy chodziło o wszelkie dostawy z zagranicy drogą morską, uzyskała choćby namiastkę portu, w którym mogła przeladować to, co do niej przypluwało (w tym zwłaszcza materiały wojenne). Trwało to krótko, bo tylko do roku 1926, kiedy to pełną parą ruszył nowy polski port w pobliskiej Gdyni. Od tej pory Westerplatte wykorzystywano już tylko sporadycznie, ponieważ znajdowało się na terenie niepewnym dla Polski, gdzie nasze interesy stale były zagrożone. Mimo to utrzymywano tam Wojskową Składnicę Tranzytową i załogę wojskową, traktując tę placówkę bardziej w kategoriach symbolicznych niż rzeczywistych jako jedyny dowód praw Rzeczypospolitej w Wolnym Mieście Gdańsku. Składnicy pozostała już właściwie tylko nazwa. Od czasu do czasu służyła do niewielkich przeladunków. Z przyległego bezpośrednio do składnicy basenu tzw. amunicyjnego oraz z linii kolejowej korzystała od jesieni 1928 r., za zgodą rządu polskiego, Rada Portu<sup>3</sup>.

Cała prawda o przedwojennych stosunkach polsko-niemieckich w Wolnym Mieście Gdańsku oraz o dziwnym położeniu polskiej załogi Westerplatte jest, co może zabrzmieć paradoksalnie, taka, iż Rzeczpospolita, do której formalnie należał Gdańsk jako terytorium autonomiczne, czuła się na terenie Wolnego Miasta nie jak gospodarz, ale jak uprzykrzony intruz.

Polscy żołnierze z garnizonu Westerplatte, którzy stacjonowali w Gdańsku oficjalnie i legalnie na podstawie umów międzynarodowych, zmuszeni byli do przebywania w swoim garnizonie niczym w więzieniu (bez prawa

<sup>2</sup> M. Jałowicki, *Wolne Miasto*, Warszawa 2002, s. 129-208.

<sup>3</sup> F. Dąbrowski, *Wspomnienia z obrony Westerplatte*, s. 61-62.

swobodnego poruszania się po okolicy, gdy zaś opuszczali teren Wojskowej Składnicy Tranzytowej, musieli przebierać się w cywilne obrania, ażeby móc przejechać bezpiecznie przez terytorium Wolnego Miasta Gdańska do Polski<sup>4</sup>.

Wszelkie prace modernizacyjne czy remontowe należało rozpoczynać po zmroku i kończyć o świcie. Roboty ziemne trzeba było maskować, a wszystkie światła mogące ułatwić obserwację z zewnątrz — na czas pracy wyłączać<sup>5</sup>.

Jaki był zatem sens utrzymywania w Gdańsku martwego portu polskiego (Westerplatte), który już od dawna nie spełniał swojej funkcji i którego załoga bała się oficjalnie wychylić nosa zza muru, który dzielił ją od niemieckiej rzeczywistości dookoła? Czy polskim władzom w Warszawie nie przeszkadzało takie upokorzenie polskich żołnierzy w Gdańsku, którzy poza Wojskową Składnicą Tranzytową byli zmuszeni udawać cywilów, aby w ogóle móc chodzić bezpiecznie po mieście, które formalnie należało do Polski, ale którym rządili Niemcy gorsi od tych z Berlina?

Ze wspomnień zastępcy komendanta Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte, jak również z relacji innych członków załogi, którzy w większości przeżyli wojnę<sup>6</sup>, jednoznacznie wynika, iż sytuacja tejże Składnicy w Wolnym Mieście Gdańsku przypominała siedzenie na wulkanie, który w każdej chwili mógł wybuchnąć. Co najciekawsze, przez całe dwudziestolecie międzywojenne naczelne władze wojskowe nie zadbały o to, ażeby poprawić położenie polskiego garnizonu w Gdańsku. Wyjątek stanowiła akcja marsz. Piłsudskiego w latach 1933-1934, kiedy to Polacy ostentacyjnie wzmocnili załogę Westerplatte za pomocą desantu i zagrozili Gdańskowi otwartą interwencją zbrojną w razie dalszego jątrzenia w stosunkach z Rzeczpospolitą. Kpt.

<sup>4</sup> *Tamże*, s. 60.

<sup>5</sup> *Tamże*, s. 69-70.

<sup>6</sup> *Westerplatte wspomnienia, relacje, dokumenty*, zebrał, opracował i wstępem opatrzył Z. Flisiński, Warszawa 1959.

Franciszek Dąbrowski, aczkolwiek nie był świadkiem tych wydarzeń, gdyż wówczas przebywał jeszcze w głębi Polski i nie miał pojęcia, że kiedykolwiek trafi na Westerplatte i będzie kiedyś bohaterem jego obrony, tak opisuje ten moment w historii wojskowej Składnicy Tranzytowej, kiedy mogło się wydawać, iż powrót Gdańska do Polski jest kwestią godzin lub najwyżej dni:

„W marcu 1933 roku załoga Westerplatte została nawet wzmocniona dwiema kompaniami piechoty z ciężką bronią maszynową. Wzmocnienie to było zaokrętowane na polskim okręcie transportowym Marynarki Wojennej «Wilia», który wszedł do portu gdańskiego z zaskoczeniem, bez pilota. Desant okrętu «Wilia» po dziesięciu dniach odpłynął z powrotem do Gdyni, po nawiązaniu odpowiednich rozmów z czynnikami gdańskimi. Incydent ten, bez większych zresztą następstw, był powodem zwrócenia uwagi Sztabu Generalnego w Warszawie na to, że załoga Westerplatte jest bezbronna na wypadek zaskoczenia przez elementy narodowo-socjalistyczne w Gdańsku i że trzeba się zająć poważnie obronnością Składnicy. Do tego czasu bowiem załogę Westerplatte można było zaskoczyćomalże nie w łózkach i zlikwidować bardzo szybko”<sup>7</sup>.

Wówczas Gdańsk się ugiął i siły interwencyjne z Westerplatte wycofano. Niemcy woleli jeszcze wtedy nie ryzykować konfliktu z Polską, gdyż potrzebowali czasu na odbudowę i dobrojenie swojej armii. Hitler chciał przywrócić potęgę niemiecką i dlatego nakazał gdańszczanom spokój. Wszystko to było związane z planem wojny prewencyjnej marsz. Piłsudskiego przeciwko Hitlerowi<sup>8</sup>. Stanisław Mackiewicz-Cat lepiej oceniał jej szanse niż wojny toczonej z Niemcami we wrześniu 1939 r.<sup>9</sup>

Teren wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte przypomina kształtem wielką rybę, położoną pomiędzy

<sup>7</sup> F. Dąbrowski, *Wspomnienia z obrony Westerplatte*, s. 73.

<sup>8</sup> S. Mackiewicz-Cat, *Historia Polski*, s. 227-233.

<sup>9</sup> *Tamże*, s. 232-233.

Bałtykiem (od północy i północnego wschodu) a Martwą Wisłą (od południa). Jedyne połączenie z lądem możliwe jest od południowego wschodu (tj. od Wisłoujścia). Na południe od Westerplatte (za Martwą Wisłą i Kanałem Portowym) rozciąga się gęsto zabudowany teren Nowego Portu. Samo Westerplatte było dość mocno zalesione. Ściana drzew iglastych i czerwony mur, wyższy od człowieka, skutecznie utrudniały obserwację terenu Westerplatte z Kanału Portowego lub od strony otwartego morza.

Centrum systemu umocnień Wojskowej Składnicy Tranzytowej były nowoczesne koszary, zbudowane w latach trzydziestych w formie nieregularnej litery „T”. Były one tak pomyślane, żeby stanowić bezpieczne schronienie dla obsady garnizonu<sup>10</sup>. Załoga Westerplatte zmieniała swoją liczebność w różnych okresach, ale ogólnie liczyła około 200 żołnierzy i podoficerów<sup>11</sup>. Betonowe piwnice koszar były w stanie wytrzymać nawet silny ostrzał artyleryjski. Tam też umieszczono małą studnię, dającą załodze rezerwowe zaopatrzenie w wodę pitną.

Koszary zostały otoczone pierścieniem murowanych wartowni, oznaczonych rzymskimi cyframi od I do V. Wartownie były zbudowane z cegły i na pierwszy rzut oka nie wyglądały na obiekty szczególnie umocnione. Ich tajemnica kryła się

<sup>10</sup> Wszystkie dane dotyczące topografii Westerplatte podają za: Franciszkiem Dąbrowskim, Zbigniewem Flisowskim, *Westerplatte wspomnienia* oraz Mariuszem Borowiakiem, *Westerplatte — w obronie prawdy*. Tylko tam bowiem opisy omawianego terenu są najbardziej wiarygodne i wolne od błędów i przekłamań.

” Dokładnej liczby załogi Westerplatte nie znamy, ponieważ wszystkie dokumenty dotyczące spraw administracyjnych, ewidencyjnych i personalnych Wojskowej Składnicy Tranzytowej zostały na rozkaz mjr. Sucharskiego spalone 2 września 1939 r. wieczorem. Po wojnie każdy z badaczy piszących o Westerplatte podawał inną liczbę obrońców. Biorąc pod uwagę wszystkich żołnierzy oraz pracowników cywilnych, wychodzi nam zbliżona liczba między 180 a 230 ludzi, dowodzonych przez 5 oficerów. Takie dane podaje w swoim opracowaniu Mariusz Borowiak i wydaje mi się, że są one najbardziej zbliżone do prawdy.

pod podłogą: każda z nich posadowiona była na betonowym podpiwniczeniu, będącym rodzajem małego bunkra. Zakratowane okienka piwnicy były przystosowane do prowadzenia ognia z karabinów maszynowych. Koszary i wartownie wybudowano na Westerplatte po roku 1934, kiedy to władze polskie zaczęły na dobre obawiać się antypolskich prowokacji i rozruchów na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Kpt. Franciszek Dąbrowski tak opisuje zadania i przydatność bojową wartowni:

„Małe te budynki posiadały konstrukcję żelbetonową i ściany o grubości do 35 cm, które chroniły obsadę wartowni przed działaniem pocisków broni maszynowej, a także przed odłamkami z pocisków artyleryjskich, nie stanowiły jednak dużej ochrony przed bezpośrednim trafieniem pocisku artyleryjskiego, nawet tak małego kalibru jak 75 mm.

Każda wartownia posiadała piwnicę. W piwnicach tych znajdowało się od dwóch do trzech karabinów maszynowych na stałych, tzw. fortecznych postawach. Urządzenia obronne znajdujące się w piwnicach wartowni utrzymywane były w tajemnicy przed załogą. (...) Z urządzeniami obronnymi znajdującymi się pod podłogami poszczególnych wartowni zapoznani byli tylko podoficerowie zawodowi i oficerowie. Na podstawie umów Polska nie mogła budować na terenie Westerplatte żadnych fortyfikacji ani umocnień polowych, chodziło więc o to, by krąg ludzi znających te urządzenia obronne był jak najmniejszy. Tym samym zmniejszono wyciekanie wiadomości o nich na zewnątrz do minimum”<sup>12</sup>.

Koszary razem z wartowniami były w stanie wytrzymać atak niemieckich jednostek paramilitarnych, a nawet ostrzał z lekkich dział i moździerzy przez kilka dni. Gdy budowano te obiekty nikt jednak nie przypuszczał, że już niedługo załoga Westerplatte będzie musiała walczyć z regularną

<sup>12</sup> *Tamże; Westerplatte wspomnienia, zebrał, opracował i wstępem opatrzył Z. F i s o w s k i, s. 70-73.*

przewagą niemiecką na lądzie, morzu i w powietrzu. W latach 1933-1936 Niemcy nie posiadali jeszcze lotnictwa ani bombowców nurkujących typu Junkers. Nikt w Polsce nie mógł przewidzieć, że już pod koniec lat trzydziestych XX w. nowoczesne umocnienia Westerplatte okażą się niewystarczające do zatrzymania piechoty niemieckiej. Obiekty te miały powstrzymać ewentualny pucz w Gdańsku, a nie regularny, wojenny szturm, wsparty ogniem artylerii okrętowej i bombami lotniczymi<sup>13</sup>.

Początkowo liczebność załogi Westerplatte była mocno ograniczona przepisami umów międzynarodowych pomiędzy Polską a Wolnym Miastem Gdańskim. W pierwszym okresie istnienia Wojskowej Składnicy Tranzytowej załoga składała się zaledwie z kilkudziesięciu ludzi uzbrojonych jedynie w broń ręczną. Począwszy od 1933 r. była sukcesywnie powiększana i dozbrajana. Czyniono to oczywiście potajemnie, omijając zabezpieczenia ze strony niemieckich władz Wolnego Miasta Gdańska, które czyniły wszystko, aby polską obecność wojskową w Gdańsku ograniczyć możliwie do minimum lub w ogóle zlikwidować. Paradoksem w tym wszystkim było to, że samym Polakom ta placówka nie była od dawna do niczego potrzebna, gdyż przeladunek materiałów wojskowych przez Gdańsk byłby w istocie niemożliwy, skoro Niemcy i tak kontrolowali wszystkie linie kolejowe na terenie Wolnego Miasta<sup>14</sup>. Dwuosobowa załoga miałaby w istocie, zgodnie z planami Głównego Inspektoratu w Warszawie, bronić pustych magazynów i nieprzydatnych nikomu do niczego urządzeń portowych tylko dla idei — tj. dla zmanifestowania praw polskich w Gdańsku<sup>15</sup>. Szczęście w nieszczęściu strony

<sup>13</sup> Na temat systemu obronnego Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte szerzej pisze M. B o r o w i a k, *Westerplatte*, s. 30-32.

<sup>14</sup> *Tamże*, s. 23.

<sup>15</sup> *Tamże*. To zastanawiające, że większość naszych czynów zbrojnych, począwszy od końca XVIII w., a skończywszy na drugiej wojnie światowej, było podejmowanych bez rzetelnej kalkulacji realnych szans powodzenia oraz bilansu ewentualnych zysków i strat, co powinno być podstawowym zadaniem wszystkich poważnych polityków i sztabowców.

polskiej polegało na tym, że ta załoga była znakomicie wyszkolona i dowodzona przez zastępcę komendanta placówki — kpt. Franciszka Dąbrowskiego. To bohaterstwo i determinacja tych ludzi miały wyrównać braki w umocnieniach oraz uzbrojeniu placówki i sprawić, że Westerplatte przejdzie do legendy.

Dosłownie przed samą wojną na terenie Wojskowej Składnicy Tranzytowej zbudowano 6 placówek, czyli umocnień ziemnych, które miały dodatkowo wzmocnić obronność wartowni. Prace przy nich wykonywano nocą, aby uniknąć obserwacji niemieckiej prowadzonej cały czas z lądu, powietrza i morza. Te umocnienia, zwane placówkami, to: „Tor kolejowy”, „Przystań”, „Fort”, „Elektrownia”, „Łazienki” i „Prom”. Ich budowę prowadzono praktycznie od wybuchu wojny. Miały one wypełnić luki ogniowe pomiędzy wartowniami. Ponadto uzbrojenie załogi Westerplatte stanowiło 1 rosyjskie działo polo we kalibru 76 mm, pochodzące jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej, oraz 2 działka przeciwpancerne i 4 moździerze. Z tym polska załoga miała opierać się ewentualnej przewadze niemieckiej<sup>16</sup>.

W grudniu 1938 r. dotychczasowego komendanta Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte schorowanego mjr. Fabiszewskiego zastąpił przybysz z Brześcia nad Bugiem, również major, Henryk Sucharski. Był on powiązany z wywiadem wojskowym oraz pomimo czterdziestego pierwszego roku życia był zaprzysięgłym kawalerem. Najprawdopodobniej te dwie okoliczności zdecydowały o powierzeniu mu dowództwa tej straconej pozycji. Mjr Sucharski, syn szewca z Tarnowa, był — jak wynika z licznych relacji obrońców Westerplatte — człowiekiem niezbyt przystępnym, zachowującym się

<sup>16</sup> F. Dąbrowski, *Wspomnienia z obrony Westerplatte', Westerplatte wspomnienia*, zebrał, opracował i wstępem opatrzył Z. Fliśowski, s. 19-36.

wyniośle i arogancko wobec podwładnych, za to bardzo nadskakującym oficerom wyższych rang. Był to klasyczny typ sztabowego lizusa, który zawdzięczał swoją karierę raczej układom na szczytach korpusu oficerskiego niż rzeczywistym zdolnościom wojskowym. Ci, którzy się z nim zetknęli, podkreślali, że atmosfera, jaką wokół siebie wytwarzał, była na ogół sztywna i niezręczna. Krzyż *Virtuti Militari*, którego dosłużył się w 1920 r., podczas bitwy z Budionnym pod Komarowem, był jego jedynym powodem do dumy. Jednak, jak pokazała niedługo przyszłość, major okazał się najslabszym ogniwem obrony Westerplatte<sup>17</sup>.

Jego zastępca kpt. Franciszek Dąbrowski, przebywający na Westerplatte od grudnia 1937 r., był człowiekiem ulepionym z zupełnie innej gliny. Syn generała Wojska Polskiego, Romualda Dąbrowskiego, i węgierskiej hrabianki, urodzony w Budapeszcie, a wychowany w Krakowie. Potomek wielkiego przodka, jakim był gen. Jan Henryk Dąbrowski, tradycję wojskową i patriotyczną miał we krwi. Był ponadto człowiekiem bardzo miłym i wesołym. Wszyscy na Westerplatte lubili go, jako człowieka przystępnego, który nie czynił dystansu między sobą a podwładnymi. Koledzy oficerowie zwali go po prostu „Kubą”<sup>18</sup>. Miał on znacznie lepszy kontakt z załogą

<sup>17</sup> Obszerna biografia mjr. Henryka Sikorskiego znajduje się w cytowanej książce Mariusza Borowiaka pt. *Westerplatte*, s. 19-26. Miał on niewątpliwą zaletę: był dobrym gospodarzem, co wyniósł z rodzinnego domu. Zrobił wiele, aby poległą placówkę, czyli Westerplatte, dobrze zaopatrzyć i przygotować do obrony na wypadek wojny. Nie potrafił jednak być dobrym dowódcą liniowym, gdyż w jego myśleniu zbyt przeważał schematyzm i brak rzutkości w podejmowaniu decyzji. Jak wynika z licznych relacji dotyczących jego osoby, potrafił on wykonywać tylko to, co mu wyraźnie nakazano — i więcej nic.

<sup>18</sup> Informacje na temat życiorysu kpt. Franciszka Dąbrowskiego oraz jego rodziny patrz również: M. Boro w i ak, *Westerplatte*, s. 27-30. Już sam fakt, że na temat obrony półwyspu najwięcej można się dowiedzieć



Westerplatte i znacznie większą wiedzę na temat umocnień oraz możliwości obronnych placówki aniżeli jej świeżo upieczony komendant, który zresztą traktował pobyt w Gdańsku jako rodzaj zesłania. Faktem jest, że obaj panowie od początku nie darzyli się nawzajem zbytnią sympatią, a ich stosunki były aż do końca walk na półwyspie wyłącznie służbowo poprawne.

Westerplatte miało wytrwać aż sześć i pół dnia w walce z przeważającymi siłami wroga bynajmniej nie dzięki silnym umocnieniom (choć betonowe piwnice wartowni i solidne konstrukcje stropów i piwnic koszar odegrały tu niebagatelną rolę, dając schronienie szczupłej załodze, a zamaskowane przed Niemcami placówki sprawiły im solidne lanie podczas dwóch pierwszych ataków 1 września 1939 r. i zmusiły do blokady placówki przez następne dni), tylko dzięki solidnemu wyszkoleniu żołnierza polskiego, który okazał się lepszy i lepiej dowodzony niż żołnierz niemiecki. Prawie wszyscy obrońcy Westerplatte dali z siebie maksimum wysiłku, ażeby tanio skóry Niemcom nie sprzedać i powierzonej placówki zbyt szybko im nie oddać<sup>19</sup>.

właśnie ze wspomnień Dąbrowskiego, świadczy o tym, kto w rzeczywistości sprawował dowództwo nad tą placówką. Skrytego i mało mównego z natury Henryka Sucharskiego, który pozostawił po sobie tylko strzępy notatek w kalendarzyku, z których niewiele wynika, Melchior Wańkowicz musiał po latach wręcz ciągnąć za język i poić mocniejszym trunkiem, żeby cokolwiek z niego wydobyć, a i tak nie dowiedział się zbyt wiele. Samo to dobitnie wskazuje, że to szczerzy żołnierz Franciszek Dąbrowski, a nie biurokrata i salonowy major Henryk Sucharski, lepiej wykazał się, gdy przyszło wachać proch i odnosić rany na Westerplatte.

<sup>19</sup> Polski żołnierz potrafił dobrze bić nawet tam, gdzie warunki były beznadziejne. Jakże to odmienne od postawy żołnierzy francuskich w 1940 r., którzy, mając potężne umocnienia linii Maginota na granicy z Niemcami i przewagę nad nimi, przegrali wojnę w niecałe 3 tygodnie tylko dlatego, że ich dowódcy okazali się niezdolni do dowodzenia w nowoczesnej wojnie, a oni sami byli słabo wyszkoleni i nie mieli w sobie woli walki.

Już niedługo miało się okazać, że na Westerplatte, podobnie zresztą jak i na całym Wybrzeżu, dokonano się coś, czego na zdrowy rozum być nie powinno. Oto nie do końca przygotowana do odparcia regularnych sił nieprzyjaciela placówka tylko dzięki bohaterstwu oficerów i dobremu wyszkoleniu żołnierzy stawiała nieprzyjacielowi tak twardy i zdecydowany opór, że jego obrona przeszła do legendy, co uszanował nawet wróg.

## GDYNIA I OKSYWIE

---

Pierwsze wzmianki o wsi Gdynia, położonej nad brzegiem Bałtyku w niewielkiej odległości od Gdańska, pochodzą już z Xffl w. W XVI w. król Stefan Batory, tocząc wojnę ze zbuntowanym przeciwko Rzeczypospolitej Wolnym Miastem Gdańskiem, planował w tej okolicy budowę konkurencyjnego portu polskiego, który zmusiłby do uległości butny niemiecki gród nad Motławą, z którym już Zygmunt August miał spore kłopoty. Ostatecznie jednak pokonany Gdańsk ukorzył się przed królem Stefanem i plany budowy portu w Gdyni odłożono do lamusa. W niecałe 100 lat później, walczący ze Szwedami na Bałtyku król Władysław IV Waza pobudował w sąsiedztwie Gdyni dwa porty wojenne — Władysławowo i Kazimierzowo. Nie rozwinęły się one jednak w większe ośrodki miejskie, gdyż były tylko bazami floty, a po zakończeniu wojen szwedzkich zupełnie podupadły.

Po raz trzeci na rejon Gdyni zwrócili uwagę polscy inżynierowie dopiero w latach dwudziestych XX w., kiedy odrodzona Polska uzyskała dostęp do Bałtyku, ale bez Gdańska, który stał się niemieckim Wolnym Miastem. Polskie Wybrzeże z dwoma iybackimi portami w Pucku i na Helu nie dawało Polsce możliwości rozwoju handlu i gospodarki morskiej z prawdziwego zdarzenia. Dlatego też w 1923 r.

Sejm Rzeczypospolitej podjął decyzję o budowie nad Bałtykiem polskiego portu handlowego i wojennego, który pozwoliłby na uniezależnienie Polski od Gdańska. Początkowo myślano o rozbudowie Pucka, ale ta mała miejscina kaszubska ze starym portem rybackim nie bardzo nadawała się do tego celu.

Ostatecznie inżynier, późniejszy minister gospodarki i finansów, Eugeniusz Kwiatkowski zaproponował budowę nowego portu we wsi Gdynia. Prace ruszyły w 1923 r., a już trzy lata później wyrósł nowy, duży port o możliwościach przeładunkowych większych od Gdańska i Królewca z Pilawą i Elblągiem razem wziętych. W Gdyni powstały nowoczesne baseny portowe, zdolne przyjmować duże statki oceaniczne. Miasto połączono koleją z resztą Polski. Od tej pory Gdańsk popadał w marazm i zastój gospodarczy, ponieważ wszyscy handlujący z Polską zawijali do Gdyni. Na Kępie Oksywskiej, trudno dostępnej wyspie, położonej nieco na północ od Gdyni, pobudowano w tym samym okresie nowoczesny port wojenny, w którym zlokalizowano dowództwo Polskiej Marynarki Wojennej oraz magazyny i warsztaty morskie. W 1939 r. pracowało tam ponad 500 osób. Tam też mieszkali dowódcy polskiej floty na Bałtyku, kontradmirałowie Jerzy Swirski i jego zastępca Józef Unrug.

Paradoks sytuacji polegał na tym, że jedyny polski port na Bałtyku, otoczony ze wschodu i zachodu przez ziemie niemieckie, nie posiadał praktycznie żadnych stałych umocnień obronnych. Polska, odrodzona po przeszło wiekowej niewoli, miała, co zrozumiałe, ambicje udowodnienia sobie samej oraz światu, że jest wielka i że jest mocarstwem. W tym czasie wszystkie mocarstwa posiadały kolonie zamorskie, które były źródłem ich potęgi i dobrobytu. Polska też chciała dołączyć do elitarnego klubu mocarstw, a zatem musiała postarać się o kolonie dla siebie. Wychodzące podówczas pod egidą rządu Rzeczypospolitej czasopismo „Morze”, które w drugiej połowie lat trzydzie-

tych zostało przemianowane na „Morze i kolonie”, propago-  
wało wśród Polaków rządowy program morski i kolonialny.  
Kluczem do jego realizacji miała być, obok zabiegów  
dyplomatycznych o uzyskanie dla Polski terytoriów zamors-  
kich w Afryce (np. Madagaskar) lub w Ameryce Południowej  
(stan Parana w Brazylii, zamieszkały przez potomków  
polskich emigrantów zarobkowych) albo którejś z byłych  
kolonii niemieckich, budowa silnej floty wojennej, która  
miała nie tylko bronić polskiego morza, ale przede wszystkim  
zapewnić stałą łączność między Polską a jej przyszłymi  
koloniami, gdzie zamierzano osiedlać emigrantów z przelud-  
nionych obszarów Polski, dla których nie było w kraju ani  
ziemi, ani pracy.

W tym kontekście można zrozumieć, dlaczego Polacy tak  
wielkim wysiłkiem finansowym budowali gigantyczną, jak na  
nasze możliwości i rzeczywiste potrzeby, flotę wojenną, która  
składała się z tak dziwacznych dla Polski okrętów wojennych  
jak 4 niszczyciele: „Wicher”, „Grom”, „Burza” i „Błyskawica”.  
Niszczyciele to okręty duże, przeznaczone na otwarte wody,  
np. oceany, a ich głównym zadaniem jest osłona i eskorta  
konwojów. A jakież to zadania tego typu mogły wykonywać te  
niszczyciele na niewielkim akwenie bałtyckim, a ściślej na  
mikroskopijnej Zatoce Gdańskiej, będącej pod stałą kontrolą  
niemiecką? Jeżeli dodamy do tego budowę w holenderskiej  
stocznicy, za ogromne pieniądze, olbrzymiego okrętu podwodne-  
go „Orzeł” (zwodowany w 1938 r.), który nadawał się na  
Atlantyk, ale na pewno nie na Bałtyk, a także plany  
powiększenia polskiej floty wojennej o dalsze 4 niszczyciele  
i 3 krążowniki, to staje się jasne, że na budowę umocnień  
lądowych po prostu nie starczało już pieniędzy. Zacytujmy  
w tym miejscu krótką, ale bardzo znamiennej opinii historyka  
Jerzego Łojka, który tak oceniał polskie koncepcje obrony  
Wybrzeża w latach międzywojennych (a raczej ich brak):

„Tylko marginalnie można w tym miejscu stwierdzić, że  
cała polska koncepcja obrony przeciwko agresji niemieckiej

była błędna i w danej sytuacji mało przydatna. Trudno tu się wdawać w szczegółową analizę polskiej polityki zbrojeniowej w latach trzydziestych, której skutkiem było np. budowanie przez Rzeczpospolitą ze względów prestiżowych marynarki wojennej ponad możliwości kraju, marynarki o nikłej, jeżeli nie wręcz żadnej przydatności w wypadku wojny nie tylko z Niemcami, ale nawet z ZSRR — przy poważnych brakach choćby w fortyfikacjach stałych (za cenę jednego niszczyciela typu «Grom» można było np. zmienić Półwysep Helski w twierdzę zdolną do oporu przez wiele miesięcy, wiążącą znaczne siły niemieckie, której artyleria opancerzona kalibru 381 lub 406 mm, o donośności około 40 km, pokrywałaby ogniem całe terytorium Wolnego Miasta Gdańska<sup>1</sup>).

Nie oznacza to bynajmniej, żeby w okresie dwudziestolecia międzywojennego nie pojawiały się koncepcje, a nawet gotowe projekty umocnienia rejonu Gdyni i Oksywia, ale te projekty i koncepcje, ze wszech miar słuszne, potrzebne i konieczne, pozostały tylko na papierze. Tak się stało w 1924 r. z planami szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej, Kazimierza Porębskiego, a także z powstałymi w następnych latach projektami, które nie uzyskały akceptacji naczelnych władz wojskowych. Wszystkie sprawy związane z obroną Gdyni i Kępy Oksywskiej przekazały one Marynarce Wojennej, ta zaś nie miała ani dostatecznej liczby personelu wojskowego, ani wystarczających funduszy, gdyż dużą część jej budżetu pochłaniała budowa okrętów.

W latach trzydziestych Kierownictwo Marynarki Wojennej starało się stworzyć na Wybrzeżu system artylerii nadbrzeżnej. Zamiast jednak baterii złożonych z dział dużych kalibrów zdecydowano się ze względów finansowych na zakup trzech baterii o mniejszym kalibrze; dwie z nich praktycznie nie nadawały się do obrony Gdyni i Kępy Oksywskiej.

<sup>1</sup> J. Łojek (Leopold Jerzewski), *Agresja 17 września 1939. Studium aspektów politycznych*, Warszawa 1990, s. 46.

Trzecia bateria miała nowoczesne cztery działa kal. 152,4 mm. Z dział tych można było strzelać pociskami kruszącymi o ciężarze po około 45 kg na odległość do 26 600 metrów, czyli praktycznie prowadzić ogień do okrętów nieprzyjaciela przebywających w pobliżu Gdyni i Kępy Oksywskiej, a nawet do oddziałów wojsk lądowych, które wdarłyby się na oksywskie wybrzeże. Jedna bateria nie zapewniła jednak Gdyni i Kępie Oksywskiej pełnego bezpieczeństwa, tym bardziej, że stosunkowo duża odległość od Helu nie gwarantowała dostatecznej celności i skuteczności ognia<sup>2</sup>.

Należy przypomnieć, że o zagrożeniu Polski, a zwłaszcza korytarza pomorskiego, ze strony coraz potężniejszych Niemiec wiedziano w Warszawie już od roku 1935. Pierwszy plan obrony Polski przed spodziewaną agresją niemiecką powstał na rozkaz marsz. Rydza-Smigłego na przełomie lat 1937—1938<sup>3</sup>. W latach 1934—1935, już pod koniec życia, nad zagrożeniem niemieckim bardzo poważnie zastanawiał się Józef Piłsudski. A zatem dlaczego prawdziwe prace fortyfikacyjne podjęto w Gdyni dopiero w 1939 r., praktycznie od czerwca, gdy zagrożenie niemieckie stało się już jasne dla wszystkich? Przecież, jak pisze Edmund Kosiarz, czasu na ufortyfikowanie Gdyni było dość, gdyby decyzję o tym podjęto w Warszawie odpowiednio wcześniej i przeznaczono na ten cel potrzebne środki.

Dlatego że zaniedbano umocnienia polskiego Wybrzeża w okresie niepodległości, gdy przyszło do wojny w 1939 r., obrońcy Gdyni, wobec zagrożenia całej Polski, musieli radzić sobie sami. Tylko energii dowódców obrony Wybrzeża, kontradm. Józefa Unruga i płk. Stanisława Dąbka, możemy zawdzięczać to, że Gdynia, Oksywie i Hel stały tak silny opór Niemcom i nie padły już w pierwszych dniach wojny.

<sup>2</sup> E. Kosiarz, *Obrona Kępy Oksywskiej 1939*, Warszawa 1984, s. 810.

<sup>3</sup> Patrz szerzej: T. Kutrzeba, S. Mossor, *Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom*.

## TWIERDZA MORSKA HEL

Półwysep Helski, nazywany także Mierzeją Helską lub najprościej Helem, był najdalej wysuniętą na północ i na otwarte morze częścią polskiego Wybrzeża. Należał do Polski już od zarania jej dziejów i zawsze stanowił zapórę dla wszystkich nieprzyjaciół, którzy przez wieki próbowali zagrozić Gdańskowi od strony morza. Należy tu dobitnie podkreślić jego powiązania z Gdańskiem, gdyż to właśnie gdańszczanie pierwsi dostrzegli i docenili jego walory obronne. Mierzeja Helska niczym potężna maczuga wisi nad całą Zatoką Gdańską, tak że ktokolwiek zamierzałby wysadzić desant w Gdańsku, musiał najpierw zdobyć Hel, a to nie było łatwe. Półwysep Helski liczy około 70 km długości. Podejście do niego zarówno od strony lądu, jak i otwartego morza nie jest łatwe, ponieważ z Helu można w porę dostrzec nieprzyjaciela i powiadomić resztę polskiego Wybrzeża o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Nie należy się zatem dziwić, że gdańszczanie już od wczesnego średniowiecza utrzymywali na Helu bazę okrętów wojennych, która miała ich chronić przed napadami piratów ze Skandynawii lub innych nieprzyjaciół nadciągających od strony morza<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Wszelkie informacje na temat topografii i historii Półwyspu Helskiego czerpię z książki najlepszego znawcy polskiej problematyki wojennej na



Pierwsza wzmianka o miejscowości Hel na Mierzei Helskiej pochodzi z 1020 r. W następnym stuleciu osada uzyskała prawa miejskie (w 1128 r.), ale nigdy nie rozwinęła się w większy ośrodek miejski. Panowanie krzyżackie nad Pomorzem Gdańskim (1308-1466) nie sprzyjało rozwojowi tej miejscowości, która *de facto* pełniła funkcję małego portu rybackiego na przedpolach Gdańska. Dopiero w latach wojny trzynastoletniej (1454-1466), kiedy Gdańsk razem z innymi miastami pruskimi opowiedział się jednoznacznie po stronie króla polskiego przeciwko Krzyżakom, Hel zaczął odgrywać rolę bazy floty gdańskiej, zwalczającej flotę zakonną oraz okręty Hanzy. Po oficjalnym powrocie Prus Królewskich do Korony (1466) Hel zaczął mocno zyskiwać na znaczeniu jako wysunięty na północ przyczółek gdański, przez który szedł cały handel zamorski do Wolnego Miasta Gdańska — ówczesnego okna Polski na świat. Okres świetności Helu trwał jednak stosunkowo krótko, bo już w połowie XVII w. Polska zaczęła tracić swoją pozycję na Bałtyku.

Ostatnim z władców polskich, który interesował się sprawami bałtyckimi i nawet zamierzał wystawić na Bałtyku stałą flotę wojenną, był Władysław IV Waza. W pobliżu Helu umiejscowił on dwa forty morskie — Władysławowo i Kazimierzowo, o których pisałem już w poprzednim rozdziale, i dla ich obsady ściągnął z dalekiego Zaporozża kilka tysięcy Kozaków na postrach Szwedom i Brandemburczykom. Brak pieniędzy w pustym skarbie Rzeczypospolitej, śmierć króla Władysława w roku 1648 i wojny kozackie na Ukrainie spowodowały załamanie się tych ambitnych planów.

Od tej pory Hel dzielił tragiczne losy całego Pomorza Gdańskiego, ustawicznie zagrożonego to przez Szwedów,

morzu, Edmunda Kosiarza, *Obrona Helu w 1939 roku*, Warszawa 1971, s. 719.

to przez Brandemburczyków, którzy chcieli zagarnąć te ziemie do swoich włości. Sytuacja poprawiła się nieco pod panowaniem Jana III Sobieskiego, który pragnął umocnić obecność Polski nad Bałtykiem, ale król Jan panował zbyt krótko i zbyt nieszczęśliwie, ażeby mu się to udało. Potem były już tylko kolejne przemarsze wojsk saskich, szwedzkich i rosyjskich podczas wojny północnej (1700-1721), które zamieniły terytorium całej Rzeczypospolitej w zrujnowaną pustynię. Później przyszły czasy rozbiorów; Hel razem z Gdańskiem nie podniósł się już z upadku i ostatecznie trafił pod panowanie pruskie.

Prusacy niespecjalnie dbali o rozwój gospodarczy ziem złupionych na Polsce. Przez ponad 100 lat ich panowania Gdańsk spadł do roli podrzędnego portu na Bałtyku, a Hel utracił prawa miejskie i spadł do roli małej, rybackiej wioski, gdzie z rzadka tylko zaglądali niemieccy letnicy.

O nędzy Helu pod panowaniem pruskim niech świadczy fakt, że port helski, budowany w latach 1802-1892, doczekał się zaledwie jednego basenu portowego głębokości dwóch i pół metra i dwóch lichych mol łącznej długości zaledwie 480 m, co pozwalało na zawijanie doń jedynie małych jednostek rybackich. Prusacy wystawili na Helu jedynie latarnię morską — i to wszystko.

Sytuacja zmieniła się dopiero 10 lutego 1920 r., kiedy na Hel dotarły oddziały polskie gen. Józefa Hallera, które objęły Pomorze Gdańskie w imieniu odrodzonej Rzeczypospolitej. Niemcy pozostawili po sobie na Helu pustynię, zabierając ze sobą to, co mogłoby się Polakom przydać do uruchomienia portu. Dosłownie wszystko trzeba było zaczynać od zera.

Brak Gdańska w granicach Polski spowodował, że i Hel pełnił teraz zupełnie inną niż przed wiekami funkcję. Był dla Polski na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku jedynym punktem naturalnie obronnym, flankującym od północy polskie Wybrzeże i Zatokę Gdańską, punktem,

który nadawał się na umocniony rejon stacjonowania przyszłej Polskiej Marynarki Wojennej, a tę należało dopiero stworzyć od podstaw. Na razie bazą polskiej floty wojennej był Puck, ale wszyscy wiedzieli, że może być to tylko baza tymczasowa. Nawet gdy w 1923 r. podjęto decyzję o budowie nowoczesnego portu w Gdyni i bazy Marynarki Wojennej na Oksywiu, uznawano, że w razie wojny bazą naszych okrętów wojennych musi być Hel, bo Gdynia i Oksywie leżą zbyt blisko Niemiec (czyli Wolnego Miasta Gdańska i Prus Wschodnich) oraz nie są umocnione i dlatego mogą być miejscem stacjonowania polskiej floty tylko w okresie pokoju. Zanim zbudowano Gdynię, port helski odgrywał tymczasowo rolę drugiego, obok Westerplatte, polskiego portu przeładunkowego materiałów wojennych z Europy Zachodniej.

Z tego powodu już w latach 1920-1921 podjęto pierwsze próby modernizacji i fortyfikacji półwyspu. Między innymi zbudowano wtedy linię kolejową i linię telegraficzno-telefoniczną. Rozstawiono też w różnych częściach półwyspu kilka baterii artylerii nadbrzeżnej do walki z okrętami niemieckimi lub sowieckimi. Jednakże kiedy podpisano pokój z Rosją Sowiecką w Rydze (1921), zrezygnowano z planów dalszego umacniania Helu, mylnie mniemając, że niebezpieczeństwo od strony Bałtyku już Polsce nie grozi. Do tego działa baterii nadbrzeżnych okazały się przestarzałe, niedostosowane do walki z okrętami (gdyż były to działa typu lądowego) i o niewielkim zasięgu. W następnych latach, z braku funduszy i ogólnych potrzeb kraju, który na nowo trzeba było dźwignąć z niebytu, nie podejmowano na Helu żadnych inwestycji o charakterze obronnym.

Dopiero rozpoczęta już niedługo (w latach 1923-1926) niedaleko od Helu budowa portu gdyńskiego wymusiła na dowództwie Marynarki Wojennej przekształcenie Półwyspu Helskiego w wojenną bazę polskich okrętów wojennych i morską osłonę dla Gdyni, Oksywia i Pucka. Postanowiono

wtedy zaopatrzyć Hel w nowoczesne baterie artylerii nadbrzeżnej, przeciwdesantowej i przeciwlotniczej. Opracowano nawet szczegółowe plany fortyfikacji nie tylko samego Półwyspu Helskiego, ale i całego polskiego Wybrzeża od miasteczka Hel aż po granicę z Wolnym Miastem Gdańskiem.

Plany takie opracowywano zwłaszcza w latach 1930-1931, co wiązało się pośrednio z planami wojny prewencyjnej Józefa Piłsudskiego przeciwko Niemcom. Już wtedy przewidywano, że Wybrzeże może być, w razie ataku niemieckiego, odcięte od reszty Polski, a więc musi dać sobie radę o własnych siłach. Należało zatem tak ufortyfikować Hel i okolice, aby wytrzymał on co najmniej trzy miesiące blokady. Marynarka Wojenna była jednak w nie lada kłopotcie, gdyż nie starczało jej pieniędzy na wszystko. Budowa nowoczesnych okrętów wojennych pochłaniała gros jej corocznego budżetu, także na rozbudowę umocnień lądowych dla obrony Wybrzeża brakło już pieniędzy. A trzeba było robić jednocześnie i to, i to.

Pierwsze prace fortyfikacyjne na Półwyspie Helskim podjęto już w latach 1932-1936. Najpierw zajęto się rozbudową i modernizacją portu helskiego (1932-1933), gdyż stary port rybacki nie nadawał się na bazę nowoczesnych okrętów wojennych. Budowę basenu i urządzeń portowych prowadziła polsko-francuska firma pod nadzorem polskich oficerów Marynarki Wojennej: inż. Stanisława Żukowskiego, kmdr. ppor. inż. Zygmunta Horyda i kmdr. ppor. inż. Tadeusza Kinela. W 1934 r. port helski posiadał już obszerny basen portowy, w którym mogły cumować nawet nowoczesne niszczyciele, krążowniki oraz okręty podwodne. Był wyposażony w nowoczesny dźwig elektryczny do przeładunku amunicji i min, poruszający się na szynach kolejowych wokół nabrzeża. Kosztowało to wszystko aż 3 300 000 złotych, co było, jak na tamte czasy i możliwości Rzeczypospolitej, wydatkiem ogromnym, ale

opłacalnym w perspektywie przewidywanej w przyszłości wojny z Niemcami o Bałtyk. Oprócz portu wojennego zbudowano obiekty zapewniające mu działalność i samowystarczalność na wypadek oblężenia. Wzniesiono elektrownię i magazyny paliwa. Prace prowadzono etapami z powodu ciągłego braku pieniędzy na inwestycje.

Do wybuchu wojny w 1939 r. Polska Marynarka Wojenna zdołała jednak zrealizować około 1/3 z planowanych obiektów obronnych na Helu. Tak więc wybudowano podziemną elektrownię o dużej mocy, zlokalizowaną około półtora kilometra na północ od portu w Helu; miała ona być awaryjną bazą zasilania elektrycznego dla portu oraz urządzeń obronnych i okrętów na wypadek blokady i bombardowań Mierzei Helskiej, z czym się już w latach trzydziestych poważnie liczone. Poza tym w 1935 r. między Helem a wsią Bór wzniesiono 3 murowane hale, wkopane w grunt dla zabezpieczenia przed bombardowaniami artyleryjskimi lub lotniczymi; hale te miały służyć jako składy min morskich. W 1936 r. ukończono schrony żelbetowe — magazyny torped, w 1937 r. powstało 5 betonowych składów amunicyjnych. Wszystkie te obiekty były przykryte grubą warstwą ziemi dla zamaskowania i ochrony przed pociskami i bombami nieprzyjaciela. Były one nowoczesne i spełniały wszystkie ówczesne standardy, jakie przewidywano dla tego typu budowli obronnych. W latach 1934-1935 opodal Jastarni zrealizowano duże podziemne składy paliwa o pojemności 1000 m sześć, każdy. Miały one służyć magazynowaniu paliwa dla nawodnych okrętów wojennych (przede wszystkim dla niszczycieli). Podobne 2 zbiorniki o pojemności 400 m sześć, każdy z przeznaczeniem dla okrętów podwodnych zbudowano w pobliżu Helu. Były one jednak nie do końca sprawne z powodu braku odpowiednich pomp, których nie zdołano na czas zakupić, bo nie wystarczyło na to funduszy.

Zbudowano też całą sieć dróg i kolejkę wąskotorową, co zapewniało w miarę sprawną komunikację pomiędzy tymi obiektami obronnymi. Łączna długość torów kolejowych na Helu wynosiła przed samą wojną 28 km. Od Juraty aż do cypla Mierzei Helskiej biegła betonowa droga, która w czasie wojny miała spełniać funkcję głównej szosy transportowej. W celu zapewnienia łączności telefonicznej pomiędzy Gdynią a Helem położono podmorski kabel telefoniczny długości 22 km. Dzięki temu już podczas wojny Lądowe Dowództwo Obrony Wybrzeża w Gdyni mogło kontaktować się bez przeszkód z Dowództwem Morskiej Obrony Wybrzeża na Helu.

Budowle obronne na Półwyspie Helskim nie mogły zapewnić skutecznej obrony artyleryjskiej, przeciwdesantowej i przeciwlotniczej. Do tego celu potrzeba było wyposażać Hel w silną artylerię. W planach zakładano budowę na półwyspie licznych stanowisk dla ciężkich dział, zdolnych walczyć z pancernikami, ale niewiele z tego wyszło. Na przeszkodzie stanęły, brak pieniędzy oraz aparat biurokratyczny w Warszawie. W Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych, po śmierci marsz. Piłsudskiego, przez bardzo długi czas odrzucano jakąkolwiek myśl o bliskiej wojnie z Niemcami i dlatego aż do 1938 r. nie robiono praktycznie nic, ażeby umocnić granice Rzeczypospolitej na zachodzie i północy (w tym i na Wybrzeżu). Wynikało to z dwóch powodów: po pierwsze, umacnianie Helu uważano w Warszawie za niepotrzebne marnotrawstwo pieniędzy, a po drugie, to mogło zadrażnić dobre stosunki polsko-niemieckie, które zamierzano utrzymać jak najdłużej.

Takie postępowanie było unikaniem rozwiązania problemu, gdyż od początku, czyli od 1920 r., wiadomo było, że do wojny Polski z Niemcami musi dojść prędzej czy później. Cóż zatem szkodziło przekształcić Wybrzeże w twierdzę? Przecież Niemcy też fortyfikowali granice z Polską, i to przez cały czas, nawet w okresie dobrych

stosunków Warszawy z Berlinem w latach 1934-1938. Wszyscy w Europie i poza nią umacniali wtedy i fortyfikowali swoje granice. Na przykład zupełnie neutralni Czesi ufortyfikowali się na wszelki wypadek na wszystkich granicach, nie zamierzając zagrazać żadnemu ze swoich sąsiadów. Skoro oni mogli zrobić to w Sudetach, dlaczego my nie mogliśmy zrobić tego porządnie chociażby na Wybrzeżu? Zacytuję tu jeszcze raz opinię Jerzego Łojka, iż za cenę kilku naszych okrętów wojennych, całkowicie zbędnych na zamkniętym i małym akwenie bałtyckim, mogliśmy spokojnie zamienić Hel w morską twierdzę, zdolną do twardego oporu przez wiele miesięcy. Jej dalekosiężne armaty, na przykład kalibru 155 mm, byłyby w stanie przyjść ze skuteczną pomocą nie tylko Puckowi i Gdyni, ale nawet Westerplatte<sup>2</sup>. Mieliśmy na to prawie 20 lat pokoju.

Nie mówmy więc, jak to czynią niektórzy uczestnicy wydarzeń i niektórzy historycy, że przekształcenie chociażby Helu w twierdzę z prawdziwego zdarzenia przekraczało nasze możliwości finansowe. Czesi byli biedniejsi niż my, a jednak stać ich było na umocnienia sudeckie, które były tak solidne, że na jesieni 1938 r. wzbudziły zachwyt samego Hitlera, który je wizytował po przyłączeniu Sudetów do Niemiec. Bez „Wichra”, „Błyskawicy”, „Gromu”, „Burzy”, „Gryfa”, „Wilka” i „Orła”, w których utopiliśmy majątek, zapewne Polska Marynarka Wojenna nie straciłaby wiele ze swojego prestiżu, gdyż i tak niewiele miała do zdziałania na niemieckim Bałtyku w razie wojny z Niemcami.

To, co piszę, zabrzmi dla wielu jak bluźnierstwo, ale taka jest prawda. W okresie międzywojennym nie była nam potrzebna duża flota oceaniczna, która na Bałtyku nie mogła nawet manewrować, bo i gdzie, lecz solidne umocnienia obrony wybrzeża na lądzie. Przecież nie szykowaliś-

<sup>2</sup> J. Łojek (Leopold Jerzewski), *Agresja 17 września 1939*, s. 46.

my się wówczas do wojny z Duńczykami ani ze Szwedami, ale z Niemcami, którzy mogli nas zaatakować przede wszystkim od strony lądu. Wyszadanie desantów morskich na Hel albo Gdynię było dla nich nieopłacalne i Dowództwo Polskiej Marynarki Wojennej w Warszawie oraz na Helu doskonale o tym wiedziało. Pieniądze były, tylko kierowano je w zupełnie ślepą uliczkę, jaką była monstrualna rozbudowa floty kosztem obrony lądowej. W tej wojnie okręty nie przydały się Polsce na nic, za to solidne baterie nadbrzeżne o dużym zasięgu oraz kalibrze i żelbetowe schrony dla obrońców owszem.

Kilkakrotnie podejmowane przez Marynarkę Wojenną wysiłki, ażeby zaopatrzyć Hel w ciężką artylerię morską, spелzły na niczym<sup>3</sup>.

W 1936 r., w *związku z narastającym zagrożeniem* wojennym ze strony Niemiec, wprowadzono na Półwyspie Helskim specjalne środki ostrożności dotyczące poruszania się po terenie półwyspu. Jednostki Straży Granicznej oraz Marynarki Wojennej uzyskały specjalne uprawnienia do kontrolowania ludzi — zarówno miejscowych, jak i przybywających na Hel. Te nakazy utrzymywały się jeszcze długo po wojnie, gdyż Hel był zamkniętym terenem wojskowym specjalnego znaczenia<sup>4</sup>. Od 1936 r. był nazywany, nieco na wyrost, Rejonem Umocnionym Hel. Co prawda, umocnienia półwyspu nie były jeszcze ukończone i na przykład od strony lądu Hel był praktycznie dostępny dla nieprzyjaciela. Gdyby Niemcy zaatakowali Polskę na jesieni 1938 r., to łatwo by go zdobyli, gdyż miejscowa załoga, złożona głównie z marynarzy, nie była wówczas ani wielka liczebnie, ani dobrze uzbrojona<sup>5</sup>.

Główną siłą ogniową Półwyspu Helskiego była, przeznaczona do ostrzału okrętów zbliżających się od strony

<sup>3</sup> E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 18-20.

<sup>4</sup> Sam jeszcze doskonale pamiętani taką kontrolę w 1975 r.

<sup>5</sup> E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 23-24.



morza, a w razie konieczności — także ostrzału wód przybrzeżnych w rejonie Gdańska oraz Zatoki Puckiej, bateria cypłowa, zwana też baterią Laskowskiego<sup>6</sup>. Była to największa z baterii armatnich, jakie w ogóle posiadała Polska na Wybrzeżu w okresie międzywojennym, jednakże za słaba, żeby walczyć z pancernikami i krążownikami przeciwnika. Poza tym była to tylko jedna taka bateria na całym Półwyspie Helskim. Tymczasem jeden niemiecki pancernik dysponował podówczas większą siłą ognia niż wszystkie działa polskiej artylerii nadbrzeżnej i okrętowej razem wzięte<sup>7</sup>.

Jeszcze gorzej przedstawiała się sytuacja w obronie przeciwlotniczej. Niemcy już od 1936 r. dysponowali stale rozbudowywanym, nowoczesnym, bombowym lotnictwem morskim i lądowym, bazującym wokół Zatoki Gdańskiej. Mogli oni w dowolnej chwili rzucić przeciwko Helowi oraz Gdyni kilkaset bombowców, podczas gdy Dywizjon Lotnictwa Marynarki Wojennej w Pucku posiadał w przededniu wojny zaledwie 20 przestarzałych maszyn obserwacyjnych, a całe polskie lotnictwo miało do dyspozycji zaledwie 400 samolotów. Z opinią, że obrona przeciwlotnicza na Helu pozostawiała wiele do życzenia, zgadza się Edmund Kosiarz, gdy pisze:

„Równoległe z budową baterii nadbrzeżnej trwały na Helu prace nad stworzeniem stanowisk dla trzech baterii artylerii przeciwlotniczej celem zapewnienia obrony bazy przed atakami z powietrza oraz mogącymi uczestniczyć w odbieraniu lekkich jednostek desantowych na morzu. (...) Łącznie te trzy baterie wraz z plutonem ciężkich karabinów maszynowych i plutonem łączności utworzyły na przełomie lat 1935-1936 2 morski dywizjon artylerii przeciwlotniczej. Siła tego dywizjonu była jednak niewielka,

<sup>6</sup> Kmdr Helioder Laskowski był wybitnym artystą i jednym z inicjatorów powstania baterii.

<sup>7</sup> E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 49-51.

baterie miały bowiem tylko po dwa działa, a pluton liczył 3 przeciwlotnicze karabiny maszynowe”<sup>8</sup>.

Od marca 1939 r. Niemcy zlikwidowali Czechosłowację i zajęli Kłajpedę, na Wybrzeżu — w tym i na Helu — rozpoczęto intensywne przygotowania obronne. Jednakże w ciągu kilku miesięcy wiosennych i letnich nie dało się nadrobić zaległości ostatnich dziewiętnastu lat. W czerwcu tego roku przystąpiono pełną parą do prac nad dodatkowym umocnieniem Półwyspu Helskiego, zwłaszcza od strony lądu. Były to jednak z konieczności jedynie umocnienia ziemne, które mogły stawić nieprzyjacielowi jedynie tymczasowy opór opóźniający. Składały się tylko z rowów strzeleckich, odkrytych stanowisk dla broni maszynowej oraz zasieków z drutu kolczastego. Jedynie przed główną pozycją obronną wybudowano przeszkodę dla czołgów w postaci trzech rzędów ustawionych pionowo szyn kolejowych. Pozycje wykonywano dniem i nocą z dużym pośpiechem i w gorączkowej atmosferze, a w robotach oprócz żołnierzy gremialnie uczestniczyła miejscowa ludność<sup>9</sup>.

Wiadomo było niemalże od samego początku przygotowań obronnych, że Hel dysponuje zbyt słabą artylerią, ażeby skutecznie odpierać ataki nieprzyjaciela z morza i z powietrza. Flota polska zaś była za słaba, ażeby zapewnić swojej bazie skuteczną ochronę. W ogóle jej możliwości na Bałtyku były żadne. Zwrócono się więc o pomoc do sojuszników, czyli Francji i Wielkiej Brytanii, w nadziei, że skoro dali nam w marcu 1939 r. gwarancję obrony naszych granic przed zakusami III Rzeszy, to zapewne nie odmówią pomocy w sprzęcie wojskowym, który mógłby wzmocnić obronność naszego Wybrzeża. Liczono także na interwencję flot sojuszniczych na Bałtyku. Jednakże Polacy gorzko się zawiedli, gdyż nasi „sojusznicy” jeszcze przed wybuchem wojny wyłgali

<sup>8</sup> *Tamże*, s. 22-23.

<sup>9</sup> *Tamże*, s. 28-30.

się od wszelkiej pomocy w obronie polskich baz morskich, wobec czego nasza Marynarka Wojenna została osamotniona w obliczu wielokrotnie przeważającej floty niemieckiej na Bałtyku<sup>10</sup>.

W takich warunkach Rejon Umocniony Hel pod bezpośrednim dowództwem kontradm. Józefa Unruga miał stawić opór przewadze nieprzyjaciela. Już w lecie 1939 r. dowództwo Marynarki Wojennej zdawało sobie sprawę, że Hel, podobnie jak i całe Wybrzeże, stanie w spodziewanej wojnie z Niemcami na pozycji straconej. Będzie się bronić do końca, dokąd starczy sił, ale bez realnych szans na zwycięstwo, bo w tych warunkach nie jest ono możliwe. W związku z tym Kierownictwo Polskiej Marynarki Wojennej wydało w sierpniu rozkaz (pod kryptonimem „Peking”) ewakuowania do Wielkiej Brytanii jeszcze przed wybuchem wojny — trzech najnowocześniejszych niszczycieli naszej floty wojennej, aby uchronić je od pewnego zniszczenia na Bałtyku przez flotę niemiecką. Zgodnie z tym planem 30 sierpnia po południu „Burza”, „Błyskawica” i „Grom” wyszły z Gdyni, minęły Hel i na pełnej prędkości popłynęły ku cieśninom duńskim i dalej na Morze Północne. Następnego dnia wieczorem szczęśliwie dotarły do Wielkiej Brytanii, aby walczyć przeciwko Niemcom razem z Brytyjczykami<sup>11</sup>. Od tej pory załoga Helu mogła już liczyć tylko na własne siły. Następne tygodnie miały pokazać, że żołnierze i marynarze z Helu bronili się ponad to, czego od nich oczekiwano.

Uzupełniano też na gwałt braki w załodze Helu. Samych marynarzy było do obrony za mało, a szczupłe siły lądowe w postaci batalionów morskich były daleko niewystarczające.

<sup>10</sup> *Tamże*, s. 35.

<sup>11</sup> *Tamże*, s. 44-45.

## BOHATERSKI EPIZOD POCZTA POLSKA W GDAŃSKU (1 WRZEŚNIA)

---

Na mocy postanowień międzynarodowych powołujących do życia Wolne Miasto Gdańsk Polacy mieli zapewnione szerokie prawa i przywileje. Jednym z nich było posiadanie osobnej polskiej poczty, której budynek mieścił się przy placu Heweliusza. Polscy listonosze, począwszy od 1920 r. aż do 1 września 1939 r., doręczali listy i przesyłki nie tylko Polakom zamieszkałym na obszarze Wolnego Miasta, lecz również tym wszystkim, którzy chcieli korzystać z usług Poczty Polskiej.

Pomimo normalizacji stosunków polsko-niemieckich w latach trzydziestych w Gdańsku, gdzie od 1932 r. rządili naziści, ataki na Polaków i polskość w ogóle były na porządku dziennym<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Sam przypominam sobie z opowiadań mojego ojca, Mariana Derdeja, następujący epizod: Mój dziadek, Stefan Derdej, był zapalonym koniarzem i czasami jeździł do Sopotu, aby przyglądać się wyścigom konnym. Latem 1939 r. (był to bodajże początek sierpnia) wybrał się ze swoimi dziećmi nad polskie morze, a w drodze powrotnej z Gdyni musiał przejechać pociągiem przez terytorium Wolnego Miasta Gdańskiego, gdyż innej drogi do centrum Polski nie było. W powietrzu czuło się już nadciągającą wojnę. Kiedy pociąg zbliżał się do gdańskiego terytorium, polscy kolejarze szczerlnie pozamykali wszystkie drzwi i okna, informując pasażerów, żeby byli przygotowani na wszystko i w razie zagrożenia

Prawie codziennie zdarzały się jakieś incydenty, gdyż gdańszczanie spod znaku swastyki usiłowali być bardziej niemieccy niż Niemcy z Królewca i samego Berlina. Ofiarami tej antypolskiej nagonki padali przede wszystkim polscy urzędnicy w Gdańsku — listonosze, kolejarze i celnicy. Na listonoszy napadano, przecinano im torby z listami, bito i wyzywano od „polskich świń” i „przybłędów”. Wielokrotnie niszczone polskie skrzynki pocztowe, zamalowując je smołą itp. preparatami. Oczywiście za każdym razem gdańska policja, która normalnie czepiała się byle prostytutki na ulicy, była w takich przypadkach dziwnie opieszła i bezradna. Gdy działa się krzywda Polakom w mundurach, wszystko jedno jakich: pocztowych, kolejowych, celnych czy harcerskich, policjanci gdańscy nagle głuchli, ślepli i stawali się słupami soli. Za każdym razem sprawcy napadów na polskich urzędników w Gdańsku zdołali niepostrzeżenie umknąć, a policja twierdziła, że poszkodowany Polak sam jest sobie winien, bo po co prowokuje polskim mundurem zranione uczucia subtelnych gdańszczan, którzy mają prawo u siebie w domu nie tolerować „obcych okupantów”. Polacy, zdaniem władz gdańskich, powinni chodzić po cywilnemu, nie rzucać się w oczy i najlepiej zbyt głośno nie mówić po polsku, bo to obraża Niemców. Oczywiście, kiedy władze polskie, rozjątrzone tym do żywego, robiły międzynarodowe larum i groziły ostrymi sankcjami za bezczelne łamanie umów międzynarodowych, gdańscy Niemcy natychmiast miękli i potulnie przepraszały władze polskie za „wybryki nieodpowiedzial-

kładli się na podłogę. Była noc. Pociąg bez zatrzymywania mknął przez terytorium Wolnego Miasta, gdy nagle ciszę rozdarł dźwięk tłuczonych szyb. To Niemcy gdańscy, zaczajeni wzdłuż torów, obrzucali polski pociąg kamieniami. Dziadek ze starszym rodzeństwem mojego taty natychmiast rzucił się na podłogę i wczolgał pod siedzenia, które jako tako uchroniły ich przed obrażeniami.

nych chuliganów”, tyle tylko, że ci „chuligani” nadal pozostawali nieznani policji gdańskiej i bezkarni.

W 1939 r., kiedy Hitler oficjalnie zażądał od Polski zgody na przyłączenie Wolnego Miasta Gdańska do terytorium Prus Wschodnich oraz przeprowadzenia eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej nad lub pod terytorium polskiego Pomorza do Rzeszy, w Gdańsku sprawy przyjęły ostrzejszy niż dotychczas obrót. Już w lutym hołota w mundurach SA<sup>2</sup> wdarła się do sal wykładowych Politechniki Gdańskiej i wyrzuciła stamtąd polskich studentów, którzy przecież, w myśl umów międzynarodowych, mieli prawo tam studiować na równi z Niemcami. Incydent ten odbił się bardzo szerokim echem w prasie światowej, a przede wszystkim polskiej. W całym kraju zawrzało, a był to akurat czas, gdy Warszawę wizytowali czołowi Niemcy notable — Ribbentrop i Himmler. Warszawiacy, w odwet za to, powybijali wszystkie szyby w ambasadzie niemieckiej. Podobne demonstracje oraz incydenty miały miejsce we Lwowie, w Krakowie i Poznaniu, gdzie zaatakowano kamieniami konsulaty niemieckie. Interweniowała policja. Od tej pory stosunki polsko-niemieckie w Gdańsku stawały się coraz bardziej napięte, a ofiarami tego stanu byli oczywiście tamtejsi Polacy<sup>3</sup>. Wobec widocznego już na wiosnę 1939 r. konfliktu z Niemcami strona

<sup>2</sup> SA — nazistowskie bojówki szturmowe, które wyniosły Hitlera do władzy i pierwotnie były jego gwardią przyboczną. Bojówkarze ci chodzili w brunatnych koszulach z opaskami ze swastyką na rękawach. Byli to najczęściej prymitywni i brutalni osobnicy o skłonnościach do szukania zwady z tymi wszystkimi, których Hitler akurat kazał im bić.

<sup>3</sup> Prasa polska z 1939 r. wręcz roi się od coraz to nowych doniesień o brutalnych prześladowaniach Polaków w Gdańsku i łamaniu polskich praw na obszarze Wolnego Miasta. Żądania Hitlera, przy których strona niemiecka obstawała ze szczególnym uporem, co było dziwne, gdyż stary port w prowincjonalnym Gdańsku nie był Rzeszy do niczego potrzebny, ponieważ Niemcy mieli na Bałtyku trzy nowoczesne porty: Szczecin, Lubekę i Królewiec, tylko dolewały oliwy do buzującego ognia.

polska podjęła w Wolnym Mieście, oczywiście nieoficjalnie, pewne przygotowania obronne na wypadek nieprzewidzianych wydarzeń.

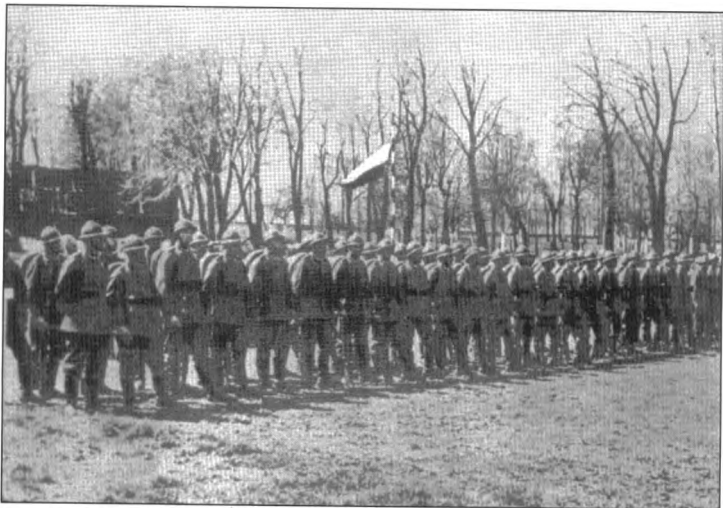
Latem tego roku, kiedy ulicami Gdańska przeciągały z głośnym śpiewem różne nazistowskie formacje, w polskich sklepach i urzędach coraz częściej wybijano szyby, a Niemcy gdańscy ostentacyjnie sprowadzali drogą morską broń i sprzęt wojskowy z Rzeszy, polskie władze wojskowe w Warszawie podjęły decyzję o wzmocnieniu obronności niektórych polskich placówek na terenie Wolnego Miasta. Celnikom polskim wydano, dla obrony osobistej, broń krótką (pistolety). Na punkt ewentualnego schronienia i obrony dla gdańskich Polaków wyznaczono bardzo solidny budynek Poczty Polskiej, który, jak zakładano, mógł wytrzymać kilka godzin niemieckiego oblężenia. W lipcu do Gdańska przemycono, jako pocztowców, kilku oficerów i podoficerów rezerwy Wojska Polskiego, którzy — w razie jakichś zamieszek w Gdańsku — mieli za zadanie bronić budynku poczty i zgromadzonych tam Polaków. Na czele planowanej obrony stanął ppor. rez. Konrad Guderski, oficjalnie zatrudniony jako urzędnik pocztowy oraz instruktor wychowania fizycznego<sup>4</sup>. Był on także jak gdyby nieoficjalnym opiekunem, obrońcą i organizatorem ludności polskiej w Gdańsku. Utrzymywał stały kontakt z polskimi władzami wojskowymi i często wyjeżdżał do Gdyni, skąd przywoził rozkazy i instrukcje. Wszystko to działo się oczywiście nieoficjalnie, gdyż władze niemieckie w Gdańsku pilnie śledziły wszystkie posunięcia polskie i o byle co robiły

<sup>4</sup> Jego nazwisko oraz stopień wojskowy podaje prof. Paweł Piotr Wieczorkiewicz w swoim opracowaniu pt. *Kampania 1939 roku*, seria: *Dzieje Narodu i Państwa Polskiego*, Warszawa 2001, s. 44. Pocztowcy polscy znali go jako „Konrada” lub „pana Konrada”. Jego prawdziwego nazwiska i roli, jaką odgrywał na Poczcie Polskiej, nikt podówczas, ze zrozumiałych względów konspiracji, nie znał.



Brama wejściowa na Westerplatte, ok. 1933 r.





Załoga Westerplatte, 1935 r.

Od lewej: sierż. Ozimek, kpt. Dąbrowski, por. Pająk, chor. Gryczman





Defilada w Kielcach oddziałów 2. DP. Na czele kompanii por. Leon Pająk, 1938 r.

Westerplatte 1939 r. Przeglądu dokonuje ppłk Sobociński. W szeregu pierwszy od lewej chor. Gryczman, trzeci plut. Buder

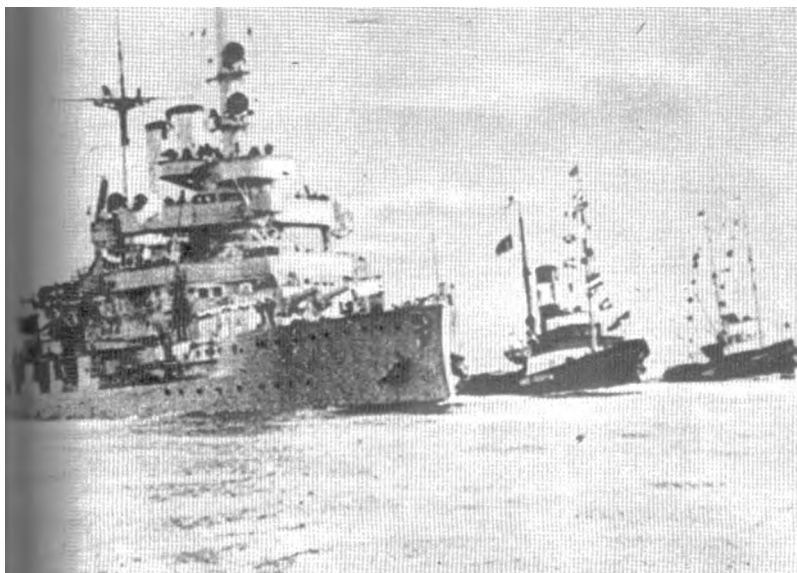




Elektrownia na Westerplatte

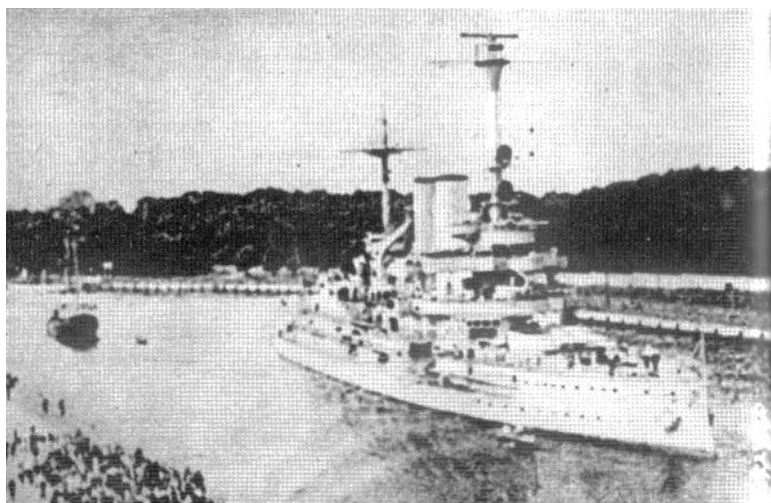
Generator, który służył do przetaczania pociągów





25 sierpnia 1939 r. – dwa gdańskie holowniki podprowadzają pancernik „Schleswig-Hoistein” do kanału portowego

Pancernik za chwilę zacumuje naprzeciw wartowni nr 2. Po drugiej stronie widać mur okalający





Żołnierze „Landespolizei-Regiments I”, którego pododdziały walczyły na Westerplatte

Gdańskie oddziały SA





Wręczenie mjr. Sucharskiemu szabli przez dowódcę niemieckiego

larum na arenie międzynarodowej. Mimo to udało się przemycić do Gdańska pewną liczbę karabinów, broni maszynowej oraz pistoletów. Ukryto je na poczcie, a w dniach 28-30 sierpnia „pan Konrad” zwołał kilka pilnych odpraw dla wszystkich pracowników zdolnych do noszenia broni i na jednej z nich zakomunikował, że obecnie wszyscy są zmilitaryzowani i aż do odwołania mają obowiązek bronięcia polskiego urzędu pocztowego przed napadem Niemców. Nadmienił przy tym, że jest dostateczna ilość broni i amunicji, wystarczająca do stawiania oporu przez 6-8 godzin<sup>5</sup>.

W tym czasie na odsiecz Polakom w Gdańsku, a także obrońcom Westerplatte miał przyjść Korpus Gdański gen. Stanisława Skwarczyńskiego, sformowany na rozkaz marsz. Rydza-Smigłego w składzie Armii „Pomorze”. W Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych zakładano teoretycznie, że owej wydzielonej jednostce interwencyjnej Wojska Polskiego, składającej się z dwóch dywizji piechoty, wspartych batalionem czołgów, uda się opanować Wolne Miasto Gdańsk w ciągu od 5 do 12 godzin od rozpoczęcia działań wojennych<sup>6</sup>. Dlatego właśnie Poczta Polska w Gdańsku dostała rozkaz obrony do pięciu godzin, a Westerplatte, jako znacznie silniejsza placówka wojskowa, nawet do trzech dni; po tym okresie mieli ich wyzwolić z oblężenia niemieckiego żołnierze gen. Skwarczyńskiego oraz desant morski z Oksywia, który miał równocześnie opanować gdański port. Plan ten był teoretycznie dobry, ale już po kilku dniach ktoś mądry w Warszawie zorientował się, że wobec przewagi niemieckiej taka akcja byłaby samobójstwem i 30 sierpnia Korpus Gdański rozformowano. Nikt jednak nie był łaskaw powiadomić o tym ani ppor. Guderskiego w Gdańsku,

<sup>5</sup> A. Śnieżko, *Poczta Polska w Wolnym Mieście Gdańsku. Zarys historyczny*, Wrocław 1964, s. 92.

<sup>6</sup> P.P. Wiczorkiewicz, *Kampania 1939 roku*, s. 21.



ani mjr. Sucharskiego na Westerplatte<sup>7</sup>. W dniu 1 września obie placówki polskie podejmą nierówną walkę z Niemcami, ale odsieczy się nie doczekają. W Warszawie postanowiono zataić przed Polakami w Gdańsku decyzję o nieudzieleniu im pomocy zapewne dlatego, aby świat potem nie powiedział, że Polacy oddali Niemcom Wolne Miasto bez walki. Była to decyzja błędna, nieetyczna i tragiczna w skutkach, gdyż Polacy w Gdańsku naprawdę uwierzyli w tę pomoc, której nie było, i krwawo za to zapłacili.

1 września 1939 r. zgromadzeni w gmachu poczty Polacy w liczbie 110 mężczyzn, wśród których byli nie tylko pocztowcy, ale też kilku kolejarzy szukających tu schronienia przed bojówkami niemieckimi, usłyszeli huk dział pancernika „Schleswig-Holstein” ostrzeliwującego Westerplatte. Była godzina 4.45 i było jeszcze ciemno. Ppor. Guderski dał rozkaz pobrania broni z magazynu i zajęcia stanowisk przy oknach. Natychmiast zabarykadowano drzwi. Pocztowcy z bronią w rękę i na stanowiskach bojowych oczekiwali tego, co miało niebawem się stać.

Niemcy nie docenili tej placówki. Sądziли, że polscy pocztowcy, niezbyt liczni i pozbawieni broni, a na dodatek zaskoczeni w półśnie, poddadzą się sami, bo przecież budynek Poczty Polskiej przy placu Heweliusza nie jest twierdzą i długo bronić się nie może. Dlatego do opanowania tego obiektu przeznaczili jednostki paramilitarne i policyjne. Do szturm na pocztę skierowano oddziały Policji Gdańskiej oraz gdańskie formacje SS. Już po chwili od ogłoszenia alarmu w gmachu poczty obrońcy dostrzegli napastników usiłujących wskoczyć do środka przez okna na parterze (na szczęście były one zakratowane), sforsować ogrodzenie przed budynkiem i wyważyć drzwi wejściowe. Pocztowcy próbowali dodzwonić się do biura Komisarza Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku, którym podówczas

<sup>7</sup> *Tamże.*

był minister Chodacki. Telefon jednak milczał, bo Komisarz był już aresztowany przez Niemców, którzy najpierw trzymali go w areszcie domowym, a następnie przewieźli do więzienia. Jego losy opisał po latach Melchior Wańkowicz<sup>8</sup>.

Skoro próby skontaktowania się z Komisarzem zawiodły, pozostawała obrona. Gdy tylko niemieccy agresorzy przesadzili ogrodzenie i zaczęli łomotać w bramę, Polacy dali ognia z karabinów i erkaemów. Ppor. Guderski otworzył kopertę z tajnym rozkazem na wypadek wojny, oznaczoną kryptonimem „Tj”. — „Musimy wytrzymać od 4 do 6 godzin” — stwierdził. — „Za 5 godzin powinni tu być nasi i nas wyzwolić. — Wytrzymamy!”

— chórem odpowiedzieli pocztowcy i ruszyli do walki. Polskie Radio w Warszawie nadawało przez cały czas komunikaty wojenne. To nie był pucz w Gdańsku, to była otwarta wojna. Polskę zaatakowano na całej granicy — od Helu aż po Lwów.

Działa „Schleswiga-Holsteina” huczały w oddali coraz bardziej, gdy tymczasem w okna Poczty Polskiej uderzył grad niemieckich pocisków karabinowych. Do pomieszczenia na parterze wpadło kilka granatów. Na podłogę posypało się tłuczone szkło. Byli pierwsi ranni. Walki jednak nie zaprzestano, gdyż pocztowcy doskonale wiedzieli, że kapitulacja będzie oznaczała dla nich śmierć. Nie byli żołnierzami i nie atakowały ich oddziały wojskowe. Któż zatem będzie wobec nich przestrzegał Konwencji Genewskiej? Przecież nie barbarzyńscy esesmani. Ci na pewno ich wymordują, gdy tylko wywieszą białą flagę. Ogień Polaków zaskoczył niemieckich napastników. Wielu z nich padło przed budynkiem lub za ogrodzeniem. Rozległy się zewsząd przekleństwa i wołania: *Hilfe, Hilfe!* Niemcy uciekli i poukrywali się w okolicznych bramach. W Polaków wstąpiła nadzieja. — „Skoro odparliśmy atak — krzepiono

<sup>8</sup> M. Wańkowicz, *Pierwsze trzy dni wojny w Gdańsku*, w: *Wrzesień żagwiący*, Warszawa 1990, s. 26-59.

się nawzajem — to wytrzymamy aż do przyjścia naszych. Niemcy nie są tak silni, jak się chwala. Widzieliście, jak wiali?”. — Ppor. Guderski chodził pomiędzy obrońcami i dodawał im ducha. — „No panowie, jeszcze tylko kilka godzin — powtarzał”<sup>9</sup>.

Tymczasem już się całkiem rozwidniło. Nad miastem wstało piękne słońce. Niemcy przegrupowali siły. Szykowali nowy atak. Problem polegał na tym, że gmach Poczty Polskiej w Gdańsku graniczył przez ścianę z niemieckim urzędem pracy. Wkrótce doniesiono dowódcy obrony poczty, że na piętrze Niemcy kują ścianę. Podporucznik chwycił pistolet i granat, i natychmiast razem z kilkoma ochotnikami pobiegł schodami na górę, gdzie zastał już spory wyłom w murze. Niektórzy esesmani zdołali już przeleźć przez dziurę w ścianie, a inni szli za nimi. Guderski nie myślał wiele i rzucił granat w głąb korytarza. Niemcy zginęli od wybuchu, a pozostali cofnęli się w głąb urzędu pracy. Atak został odparty, ale kiedy opadł dym i kurz po rozerwaniu się granatu, okazało się, że jego odłamki zabiły również ppor. Guderskiego, bo odległość między nim a napastnikami była za mała. Obrońcy stracili zawodowego oficera — dowódcę z prawdziwego zdarzenia. Po nim dowodzenie obroną przejął podreferendarz Alfons Flisykowski, stary Kaszub, były podoficer rezerwy, który razem z Konradem Guderskim przygotowywał pocztę do działań obronnych. W chwili objęcia dowodzenia był on już ranny i chodził o lasce. Mimo wszystko bardzo energicznie kierował dalszą obroną placówki.

Niemcy na nowo rozpoczęli ostrzeliwanie budynku poczty z okien przeciwległych domów. Nie ryzykowali już

<sup>9</sup> Przebieg wydarzeń z obrony Poczty Polskiej w Gdańsku możemy odtworzyć na podstawie relacji trzech obrońców, którym udało się uciec przez dachy z płonącego budynku. Tylko oni przeżyli wojnę. Bezценne są też wspomnienia członków rodzin tych, których Niemcy potem zamordowali.

otwartego szturm, gdyż bali się celnego ognia Polaków. Za dużo policjantów i esesmanów zginęło w porannym ataku. Dowódcy niemieccy woleli złamać obrońców metodycznym ostrzałem z bezpiecznej odległości i dopiero potem zaatakować. Mieli czas. Na razie wprowadzili do walki armaty, które ustawili w odległości około 50 m od budynku Poczty Polskiej (w okolicach mostu na Raduni). Pod ogniem strzelających z okna budynku esesmani i policjanci podeszli pod sam gmach. Wśród dymu i kanonady było słycać ich wrzaski po niemiecku i łamaną polszczyzną. — „Wyrzniemy was wszystkich, pierońskie Poloki!”

— usłyszeli obrońcy tuż za oknami. Powiało grozą. Minęło już kilka godzin, więcej niż sześć, a polskich oddziałów na ulicach Gdańska jakoś nie było widać. Ale cóż było robić? Poddać się i dać się zabić tym bandytom zza okien? Pozostawał desperacki opór do końca.

Liczba obrońców stale topniała. Coraz więcej było rannych i zabitych. Ubywało amunicji. Lekarstw nie było wcale. Sytuacja obrońców Poczty Polskiej stawała się coraz bardziej dramatyczna. Wszędzie było pełno gryzącego dymu i pyłu gruzowego, trudno się oddychało. Pokrwawieni pocztowcy w strzępach odzieży i na ślaniających się nogach wciąż się bronili. Brakowało wody. W tych warunkach podreferendarz Flisykowski rozkazał przenieść się do piwnic i tam kontynuować obronę. Około godziny 17.00 obrońcy zeszli do piwnic budynku poczty razem z bronią i rannymi. Stamtąd razili Niemców celnym ogniem z broni ręcznej. Ale ich sytuacja stawała się coraz gorsza. Pod ścianami leżeli ranni, którym nie można było pomóc. Dym i różnego rodzaju pył roznosił się wszędzie. Ludzie dusili się. Tymczasem Niemcy, wsparci przez artylerię i samochód pancerny, zaatakowali jeszcze raz, ale i ten szturm odparto ostatnim wysiłkiem. Miało się ku wieczorowi. Obrońcy łudzili się, że może noc przyniesie im trochę wytchnienia.

Niemieccy dowódcy oblężenia mieli już tego dość. Ta przeklęta poczta walczyła całe czternaście godzin. I jak tu potwierdzić propagandowe informacje, jakoby Gdańsk był już opanowany, skoro ci Polacy nadal strzelają? Podjęto decyzję o użyciu miotaczy ognia. O godzinie 19.00 pod Poczta Polską podjechała motopompa z ropą i oblała nią budynek, a następnie miotacze ognia podpaliły zrujnowany gmach. O przedłużeniu obrony już nie mogło być mowy. Dalszy opór groził śmiercią wszystkim obrońcom. Podreferendarz Flisykowski z ciężkim sercem, gdyż zdawał sobie sprawę, na co naraża swoich podkomendnych, podjął decyzję o kapitulacji.

Z piwnic płonącego budynku Poczty Polskiej wyszło tylko 45 rannych obrońców. Mimo że się poddali, Niemcy strzelali do nich, łamiąc wszelkie konwencje wojenne cywilizowanego świata. Kiedy dyrektor Poczty i Telegrafów, dr Jan Michoń ukazał się w drzwiach budynku z białą flagą w ręku, niemiecki snajper położył go trupem na miejscu. Już po kapitulacji esesmani podpalili żywcem z miotaczy ognia naczelnika Urzędu Poczтового Gdańsk I

— Józefa Wąsika, bo zbyt wolno, ich zdaniem, opuszczał piwnicę. Była to druga ofiara śmiertelna już po kapitulacji poczty<sup>10</sup>. Poddających się natychmiast obskoczyli niemieccy policjanci i esesmani. Po brutalnym zrewidowaniu popędzili ich ulicami miasta wśród gwizdów i urągania tłumów. Obecni przy tym niemieccy fotoreporterzy i dziennikarze udokumentowali „wzięcie do niewoli polskich dywersantów, którzy z okien budynku Poczty Polskiej ostrzeliwali bezbronną ludność odwiecznie niemieckiego miasta Gdańska” — bo takie właśnie hasło szerzyła przez cały okres

<sup>10</sup> Cały opis obrony Poczty Polskiej w Gdańsku zaczerpnąłem z przywołanej tu książki Aleksandra Śnieżki, *Poczta Polska w Wolnym Mieście Gdańsku*, s. 93-132. Wiele informacji na ten temat zawiera również publikacja Mirosława Azembskiego, *Krzyże i korona*, Warszawa 1956, s. 57-106.

wojny hitlerowska propaganda<sup>11</sup>. Niemcy przedstawiali wydarzenia odwrotnie niż było w rzeczywistości, usiłując przekonać samych siebie oraz cały świat, że to nie oni rozpoczęli tę wojnę, lecz Polacy.

Pocztowców polskich przez następne tygodnie przetrzymywano w więzieniu. 3 października 1939 r. przeprowadzono parodię procesu sądu wojskowego, w którym wszystkich pozostałych przy życiu skazano na śmierć pod zarzutem terroryzmu. Wyrok wykonano dwa dni później; na Zaspie koło Wrzeszcza (dziś dzielnica Gdańska) rozstrzelano 39 polskich pocztowców. Miejsce ich pochówku do dziś pozostaje nieznane, gdyż Niemcy celowo zatarli jego ślady<sup>12</sup>. Pamięć o ich bohaterstwie przetrwała jednak wojnę i jest żywa do dziś.

<sup>11</sup> Jeszcze i dziś tu i ówdzie w Niemczech pojawiają się głosy, jakoby żołnierze z Westerplatte to byli godni, honorowi przeciwnicy Wehrmachtu w mundurach, podczas gdy pocztowcy z placu Heweliusza, którzy stawili opór niemieckiej policji i jednostkom paramilitarnym, to w istocie uzbrojeni terroryści, którzy w pierwszych godzinach wojny strzelali do niemieckich cywilów. Dlatego też władze niemieckie potraktowały ich jako dywersantów, gdyż na status jeńców wojennych nie zasługiwali. Takie opinie wygłasza do dziś wielu gdańskich ziomków, a nawet wielka sława, pisarz Gunter Grass — autor *Blaszanego bębna*.

<sup>12</sup> A. Śnieżko, *Pocztą Polska w Wolnym Mieście Gdańsku*, s. 101-102.

## WESTERPLATTE BRONI SIĘ (1-7 WRZEŚNIA)

---

Pierwszym akordem niemieckiego ataku na Polskę miało być opanowanie Gdańska i przywrócenie go wielkim Niemcom. Nie na darmo na wiosnę 1939 r. Hitler rozpętał propagandową awanturę z Polską, która miała być pretekstem do wywołania wojny właśnie o powrót Wolnego Miasta Gdańska w granice „niemieckiej macierzy”. Gdańsk był podówczas ukochanym miastem Hitlera i jego obsesją. Doszło do tego, że Führer nosił przy mankietach swojej partyjnej brunatnej koszuli złote spinki z herbem Gdańska, co zawsze przypominało mu gród wyrwany Rzeszy przez złych aliantów w Wersalu<sup>1</sup>.

W celu przyłączenia Gdańska do Niemiec należało jednak działać podwójnie — z jednej strony szybko i brutalnie, aby wojna z Polską nie ciągnęła się zbyt długo, a z drugiej — bardzo ostrożnie, by nie sprowokować przeciwko Niemcom światowej opinii publicznej (wszak Wolne Miasto Gdańsk podlegało kontroli Ligi Narodów).

<sup>1</sup> Hitler był romantykiem i bardzo lubił patetyczne gesty. W sprawie Gdańska pozował na mściciela Zakonu Krzyżackiego i króla Prus Fryderyka Wielkiego, którzy mieczem przyłączyli słowiański Gdańsk do pruskiej, a potem niemieckiej dziedziny. Anegdota o spinkach jest autentyczna.

Trzeba było zatem rozegrać całą sprawę tak, żeby Niemcy zaatakowały Polskę i wkroczyły na terytorium Wolnego Miasta dopiero na prośbę zbuntowanych przeciwko polskiemu rządowi Niemców gdańskich, którzy wcześniej muszą wywołać „zbrojne powstanie” przeciwko „okupantom polskim” w ich mieście<sup>2</sup>.

Z tego powodu w Gdańsku przez całe lata rozbudowywano niemieckie formacje paramilitarne, których zadaniem miało być opanowanie miasta jeszcze przed wkroczeniem tam regularnych wojsk, ażeby wszystko to wyglądało nie na agresję, ale na pokojową akcję stabilizacyjną. Pomimo że bojówkarze niemieccy w Gdańsku byli tuż przed wybuchem wojny bardzo dobrze uzbrojeni, gdyż dysponowali artylerią i bronią maszynową, przemycaną na terytorium Wolnego Miasta z Prus Wschodnich, Hitler bał się, że mogą sobie sami z Westerplatte nie poradzić, bo Polacy to bitny naród. Dla większej pewności powodzenia akcji „powstańczej” postanowił wysłać na pomoc bojówkarzom pancernik „Schleswig-Holstein”, który — choć już stary — posiadał artylerię pokładową, zdolną obrócić polskie koszary i umocnienia na Westerplatte w gruzy.

<sup>2</sup> Takich prowokacji było przygotowanych przed wojną wiele. Abwehra szkolila po niemieckiej stronie bojówki złożone z Niemców mówiących świetnie po polsku. Ich zadaniem było przenikanie na polskie tereny przygraniczne i na terytorium gdańskie, aby tam zabijać niemieckich kolonistów, palić ich domy itp., co potem niemiecka propaganda przedstawiała światu, jak to rzekomo dzicy Polacy prześladowają biednych i spokojnych Niemców. Dlatego kanclerz Adolf Hitler już nie może znieść cierpień swoich braci w Polsce i w Gdańsku i musi rozpocząć działania wojenne przeciwko Polsce, żeby położyć kres temu słowiańskiemu barbarzyństwu. W Gdańsku miało wybuchnąć antypolskie powstanie. To samo miało nastąpić w Bydgoszczy, Toruniu, Łodzi oraz na Górnym Śląsku. Nie na darmo w przeddzień wybuchu wojny opanowana przez rzekomych „polskich dywersantów” radiostacja w nadgranicznych niemieckich Gliwicach nadała w eter wezwanie w języku polskim do antyniemieckiego powstania na Śląsku, Mazurach i Pomorzu. Chodziło o to, by przekonać świat, że to Polacy, a nie Niemcy, wywołali tę wojnę.



Pancernik „Schleswig-Holstein” rzeczywiście wszedł do portu w Gdańsku z „kurtuazyjną wizytą”, która miała zamaskować jego agresywne zadanie; było to 25 sierpnia. Nazajutrz rano miało się rozpocząć niemieckie powstanie w Gdańsku, a z nim agresja Wehrmachtu na Polskę. Pech jednak chciał, że tego samego dnia Wielka Brytania oficjalnie potwierdziła i podpisała antyniemiecki układ sojuszniczy z Polską<sup>3</sup>. Hitler się przeląkł i postanowił odwlec atak na Polskę o kilka dni, do wyjaśnienia sytuacji na linii Warszawa-Londyn, ponieważ chciał wojny tylko z Polską, a nie z polsko-brytyjską koalicją, wobec której był faktycznie bezsilny<sup>4</sup>. W związku z tym trzeba było zatrzymać pancernik w Gdańsku pod byle wiarygodnym pretekstem, ażeby użyć go zgodnie z przeznaczeniem, gdy nadejdzie właściwy czas agresji. Kazano więc dowódcy okrętu, kmdr. Kleikampowi, symulować awarię uniemożliwiającą bezpieczne odpłynięcie do Rzeszy. „Schleswig-Holstein” oczekiwał zatem na nowe rozkazy z Berlina i manewrował po gdańskim kanale portowym, trzymając się cały czas na odległość wzroku w pobliżu Westerplatte. W końcu, późnym popołudniem 31 sierpnia, nadszedł zaszyfrowany radiogram o wszczęciu akcji przeciwko Polskiej Składnicy Tranzytowej następnego dnia o godzinie 4.45<sup>5</sup>. Przygotowania rozpoczęto natychmiast.

Ranek 1 września 1939 r. był dla polskiej załogi na Westerplatte czasem wzmożonego pogotowia bojowego. Już od kilku miesięcy załoga Składnicy spodziewała się jakiegoś ataku lub prowokacji ze strony Niemców gdańskich, którzy, począwszy od kwietnia, domagali się głośno i bezczelnie powrotu do Rzeszy Wolnego Miasta Gdańska i usunięcia stamtąd wszelkich oznak polskiego panowania. Odkąd Adolf Hitler pod koniec kwietnia oficjalnie zerwał

<sup>3</sup> P.P. Wieczorkiewicz, *Kampania 1939 roku*, s. 6.

<sup>4</sup> *Tamże*, s. 27.

<sup>5</sup> *Tamże*.

pakt o nieagresji z Polską, a minister Józef Beck 5 maja odpowiedział mu oficjalnie, że Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da, ataku niemieckiego na Polską Składnicę Tranzytową spodziewano się niemal z dnia na dzień.

31 sierpnia przybył na Westerplatte oficjalny przedstawiciel wojskowy Rzeczypospolitej w Wolnym Mieście Gdańsku, ppłk Wincenty Sobociński, któremu załoga półwyspu formalnie podlegała. Spotkał się ze wszystkimi oficerami tej placówki i zachęcał ich do czujności w najbliższych dniach i do wytrwania przez pierwsze dwanaście godzin ewentualnego niemieckiego ataku, bo potem nadejdzie pomoc z głębi Polski lub z Gdyni. Z zachowanych relacji z wydarzeń i rozmów, które odbyły się tego dnia, niedwuznacznie wynika, iż wesoły zwykle Sobociński był wówczas dziwnie poważny i spięty, jak gdyby wiedział coś więcej, niż mógł i chciał powiedzieć swoim podkomendnym<sup>6</sup>.

Ppor. Zdzisław Kręgielski, najmłodszy z oficerów na Westerplatte, wspomina po latach coś jeszcze bardziej zastanawiającego, co każe podejrzewać, że mjr Sucharski i być może kpt. Dąbrowski tego dnia poznali — przynajmniej w ogólnych zarysach — beznadziejność polskiego położenia w Wolnym Mieście Gdańsku. Oto fragment jego relacji, który każe nam powątpiewać w to, jakoby dowództwo Składnicy Tranzytowej rzeczywiście poważnie liczyło się z odbiciem Gdańska przez korpus gen. Skwarczyńskiego lub podkomendnych płk. Dąbka z Gdyni:

„31 sierpnia, gdy przyszedłem na obiad do kasyna, zastałem tam również podpułkownika Sobocińskiego. Pod koniec obiadu pułkownik jeszcze raz zwrócił się do nas z ostatnim apelem: «Pamiętajcie, nie dajcie się zaskoczyć, a jeżeli wytrzymacie 12 godzin, to, gdy losy na to pozwolą, całą załogę ozłocimy». Następnie poprosił mnie do osobnego

<sup>6</sup> F. Dąbrowski, *Wspomnienia; Westerplatte wspomnienia*, zebrał, opracował i wstępem opatrzył Z. Flisowski, s. 91-92.

pokoju i tam w bardzo serdecznych słowach zwrócił się do mnie: «Słuchaj 'Mały', mówię z tobą jak z oficerem i mężczyzną — mała nadzieja na uratowanie życia. Bijcie się o honor żołnierski i polski Gdańsk. (...) Przewaga po tamtej stronie jest olbrzymia. Jestem przekonany, że potrafisz wspólnie z innymi udźwignąć i wypełnić to trudne zadanie, że będziecie bronili się 12 godzin»<sup>7</sup>.

Wydaje się, że z ustaleń Mariusza Borowiaka wynika, dlaczego ppłk Sobociński zjawił się tak nagle na Westerplatte i wzywał załogę do czujności oraz do wytrwania dwanaście godzin w obronie, nawet gdyby miało to oznaczać śmierć dla wszystkich. Borowiak dotarł bowiem do nieznanych dotychczas relacji na temat wiedzy polskiego wywiadu o zagrożeniu niemieckim dla Westerplatte pod koniec sierpnia 1939 r. Okazuje się, że ekspozytura II Oddziału Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w Bydgoszczy, którą dowodził podówczas mjr Żychoń, weszła w posiadanie dokładnego terminu ataku niemieckiego na Westerplatte i całą Polskę. Dlatego właśnie Sobociński, poinformowany o tym z Warszawy, przyjechał na Westerplatte w przeddzień wybuchu wojny i wzywał wszystkich do czujności w dniu następnym, gdyż Niemcy zaatakują z zaskoczenia<sup>8</sup>. Istnieje również nieznana dotychczas szerszej relacja adiutanta mjr. Sucharskiego, plut. Wróbla, który tego dnia był w pomieszczeniu obok gabinetu komendanta Westerplatte i słyszał rozmowę obu oficerów przez niedomknięte drzwi. Z jego relacji wynika, iż Sobociński powiedział wtedy Sucharskiemu bez ogródek, że Gdańsk jest odcięty i na żadną pomoc z zewnątrz nie ma co liczyć. Nakazał mu bronić się, dokąd się da, a potem skapitulować, aby niepotrzebnie nie narażać ludzi na śmierć. Decyzję o kapitulacji miał komendant Westerplatte podjąć sam.

<sup>7</sup> Relacja por. Z. Kręgielskiego, w: *Westerplatte wspomnienia*, zebrał, opracował i wstępem opatrzył Z. F i s o w s k i, s. 164—165.

<sup>8</sup> M. B o r o w i a k, *Westerplatte*, s. 33-36.

Sobociński odjechał, a Sucharski był tak załamany po tej rozmowie, że całą noc nie mógł spać<sup>9</sup>.

Nasuwa się pytanie, skoro ppłk Sobociński w przeddzień wojny już wiedział, że żadna pomoc dla Westerplatte oraz Poczty Polskiej w Gdańsku nie nadejdzie, to dlaczego zachęcał i mjr. Sucharskiego na Westerplatte, i ppor. Guderskiego w budynku Poczty Polskiej w Gdańsku do stawiania oporu Niemcom przez kilka godzin, łudząc ich świadomie nadzieją na pomoc z zewnątrz? Było to z jego strony nieuczciwe i niehonorowe, a nawet — nie bójmy się użyć tego słowa — zbrodnicze, ponieważ świadomie narażał swoich podkomendnych na pewną śmierć bez sensu. Gdyby istotnie był człowiekiem honoru, a nie tchórzem, to powinien był przedstawić oficerom i podoficerom na Westerplatte całą prawdę o ich położeniu i nakazać opór dla honoru żołnierza polskiego, dokąd będzie to miało sens.

Powinien nawet 31 sierpnia pozostać na Westerplatte i przejąć dowodzenie placówką z rąk mjr. Sucharskiego, jako starszy od niego stopniem polski oficer w Gdańsku. Gdyby obroną Westerplatte dowodził ppłk Sobociński, świadomy grozy sytuacji i biorący na siebie pełną odpowiedzialność za ewentualną kapitulację, to nawet poddanie się w drugim dniu wojny nie byłoby w oczach jego podkomendnych żadną hańbą, lecz smutną koniecznością, którą każdy by zrozumiał. Mjr Sucharski też zapewne zachowywałby się inaczej, gdyby miał wsparcie starszego stopniem i nie musiał sam podejmować decyzji. Sobociński doskonale wiedział, że Sucharski nie podoła samodzielnej obronie placówki, gdyż był słaby psychicznie i słabego zdrowia, a mimo to zostawił mu Westerplatte na głowie i pojechał sobie do Gdańska, gdzie jego misja dyplomatyczna nie miała już sensu<sup>10</sup>.

<sup>9</sup> *Tamże*, s. 33 oraz J. Żebrowski, *Zanim poddał się Hel. Niemiecki dokument z 1939 r.*, Łódź 2003, s. 49.

<sup>10</sup> Następnego dnia, czyli 1 września rano, ppłk Wincenty Sobociński został aresztowany przez Niemców razem ze wszystkimi polskimi

Inna rzecz to zachowanie się Warszawy wobec Polaków w Gdańsku i na Westerplatte. Fakty wskazują na to, że kazano im się bronić, jednocześnie po cichu skazując na zagładę. Wszystkich ich bowiem jeszcze przed wybuchem wojny można było spokojnie ewakuować z Wolnego Miasta do Gdyni i na Hel, gdzie ich doświadczenie wojskowe przydałoby się bardziej niż w niemieckim mieście. Ich rodziny natomiast powinny być zawczasu wysłane w głąb Polski, gdzie nie groziłoby im bezpośrednie niebezpieczeństwo w razie wybuchu wojny. Gdyby Sobociński, Sucharski, Dąbrowski i Guderski bronili Kępy Oksywskiej pod komendą płk. Dąbka, miałoby to sens, gdyż broniliby polskiej ziemi. Natomiast samotna walka w Gdańsku mogła być od początku jedynie krwawą demonstracją praw Polski do Bałtyku oraz Gdańska, a tej manifestacji świat i tak najprawdopodobniej nie zauważyłby, bo nikt ani we Francji, ani w Wielkiej Brytanii nie chciał wtedy umierać za Gdańsk w interesie Polski.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września niemieckie oddziały desantowe z pancernika „Schleswig-Holstein” wylądowały się po cichu na plaży w pobliżu muru otaczającego Westerplatte i zajęły dogodne pozycje do ataku. Niemcy zamierzali wziąć Polską Składnicę Tranzytową z zaskoczenia, przypuszczając, że jej załoga będzie na tyle przygnięciona ogniem dział okrętu liniowego, zaskoczona atakiem i nieliczna, że podda się w ciągu kilku pierwszych godzin wojny. Przewaga niemiecka była przygniatająca. Przeciwno nieco ponad dwustu Polakom stanęło kilka tysięcy doskonale uzbrojonych żołnierzy i marynarzy niemieckich, których wspierała potężna artyleria i lotnictwo<sup>11</sup>. Nie wszystko jednak poszło od początku tak, jak zamierzano. Któryś z żołnierzy niemieckich nie wytrzymał

dypłomatami, którzy reprezentowali Rzeczpospolitą w Wolnym Mieście Gdańsku, i osadzony w areszcie. Żadnej roli już w Gdańsku nie odegrał. Na temat jego losów patrz: M. Wańkowicz, *Pierwsze trzy dni wojny w Gdańsku*, w: *Wrzesień zagwiony*, s. 26-59.

<sup>11</sup> M. Boro w i ak, *Westerplatte*, s. 43<sup>14</sup> oraz 49-50.

nerwowo i o godzinie 4.17 wystrzelił w kierunku muru otaczającego Westerplatte. Wartownicy polscy usłyszeli to i natychmiast przekazali wiadomość mjr. Sucharskiemu i kpt. Dąbrowskiemu, który tej nocy obszedł wszystkie wartownie i placówki<sup>12</sup>. Zaobserwowano też wzmożone ruchy oddziałów niemieckich za murem. Wobec tego komendant Westerplatte nakazał (przez telefon) wszystkim posterunkom wartowniczym wzmożoną czujność i obserwację przedpoła Składnicy. Tymczasem na pancerniku „Schleswig-Holstein” załadowano działa i zajęto pozycję bojową. O godzinie 4.47 1 września padł rozkaz otwarcia ognia artyleryjskiego przeciwko Westerplatte<sup>13</sup>. Wojna się rozpoczęła.

W trzy minuty później, o 4.50, zerwany z łóżka kanonadą mjr Sucharski zameldował przez radio Dowództwu Floty na Helu, czyli kontradm. Józefowi Unrugowi, którego rozkazom podlegał: „Pancernik «Schleswig-Holstein» rozpoczął o godz. 4.45 ostrzeliwanie Westerplatte ze wszystkich dział. Bombardowanie trwa”<sup>14</sup>. Po latach historycy i publicyści przyjmują tę godzinę w dniu 1 września 1939 r. za oficjalny moment wybuchu drugiej wojny światowej<sup>15</sup>.

<sup>12</sup> Z. F i s o w s k i, *Tu, na Westerplatte*, Warszawa 1974, s. 48-49.

<sup>13</sup> M. B o r o w i a k, *Westerplatte*, s. 49-50. W starszych opracowaniach dotyczących rozpoczęcia walk na Westerplatte, jak np. w książce Zbigniewa F i s o w s k i e g o, *Tu, na Westerplatte*, utarło się przekonanie, jakoby była to godz. 4.45, która miała być w ogóle terminem rozpoczęcia ataku niemieckiego na Polskę. Dziś wiemy, że „Schleswig-Holstein” rozpoczął ostrzeliwanie Westerplatte jakieś dwie do trzech minut później. Zresztą w różnych miejscach granicy niemiecko-polskiej wojna rozpoczęła się w różnych porach, bo trudno zgrać tak wielką operację co do sekundy. Ogólnie były to minuty pomiędzy godziną 4.34 (bombardowanie Wielunia przez Luftwaffe) a godziną 5.00 (pierwsze bombardowanie Gdyni i Pucka).

<sup>14</sup> P.P. W i e c z o r k i e w i c z, *Kampania 1939 roku*, s. 27.

<sup>15</sup> *Tamże*, s. 27. Problem polega na tym, że Niemcy też nie byli punktualni. Według ustaleń prof. W i e c z o r k i e w i c z a pierwsze strzały w wojnie polsko-niemieckiej oddano już w nocy z 25 na 26 sierpnia pod Jabłonkowem na Zaozniu, gdzie jednostki polskiej Straży Granicznej

Załoga Westerplatte była bardzo dobrze wyszkolona przez kpt. Dąbrowskiego, toteż pomimo kanonady i początkowej dezorientacji jak to zwykle nad ranem bywa, wszyscy byli gotowi do walki w trzy minuty. Zaskoczenie się Niemcom nie udało. Nie była to dla nich pierwsza przykra niespodzianka tego dnia.

Wszystkie polskie placówki i wartownie na Westerplatte, wbrew temu, co się Niemcom obserwującym z daleka teren Polskiej Składnicy Tranzytowej mogło wydawać, były gotowe do walki<sup>16</sup>. Nie załamało ich to, że na półwysep spadło w ciągu kilku minut 8 potężnych pocisków kalibru 280 mm (każdy o masie przeszło 300 kg), 59 pocisków kalibru 150 mm i około 600 kalibru 20 mm. Gdy oddziały szturmowe desantu por. Henningsena wysadziły w powietrze mur otaczający Westerplatte i wdarły się na teren polskiej placówki w Wolnym Mieście Gdańsku — powitał je celny ogień broni maszynowej i snajperów ze świetnie zamaskowanych umocnień „Prom”, „Fort” i „Przystań”<sup>17</sup>. Niemcy ginęli jak muchy. Powody tego były trzy: po pierwsze, Polacy byli dobrze ukiyci przed atakującymi, po drugie, byli dobrze wstrzelani w punkty, z których nadbiegali napastnicy, a po trzecie, żołnierze niemieccy odnosili rany i ginęli w dużej mierze od własnego ognia, gdyż niemiecka artyleria i karabiny maszynowe były po terenie Westerplatte na oślep (gęsty las i poranna mgła utrudniały widoczność)<sup>18</sup>. O godzinie 6.22 przerażony sytuacją por. Henningsen dał rozkaz do odwrotu i zameldował

odparły napaść oddziału niemieckiego na ważny strategicznie tunel jablonkowski. Stało się tak, gdyż nie do wszystkich jednostek niemieckich w porę dotarł rozkaz o odwołaniu pierwotnego terminu agresji na Polskę. Dziś oficjalnie już przyjmuje się, że pierwsze bomby niemieckie spadły na bezbronny Wieluń 1 września 1939 r. o godzinie 4.34, a na Westerplatte walki zaczęły się około dziesięciu minut później.

<sup>16</sup> M. Borowiak, *Westerplatte*, s. 50-51.

<sup>17</sup> *Tamże*, s. 51-52; F. Dąbrowski, *Wspomnienia, Westerplatte wspomnienia*, zebrał, opracował Z. Flisowski, s. 93-95; Z. Flisowski, *Tu, na Westerplatte*, s. 54—59.

<sup>18</sup> M. Borowiak, *Westerplatte*, s. 52-53.

na „Schleswiga-Holsteina”, że straty są za duże, a Polacy żyją i strzelają nie wiadomo skąd — chyba nawet z drzew. Po półtoragodzinnym ataku, wspartym lawiną ognia, niemieccy szturmowcy opuścili w popłochu teren Westerplatte, tracąc około 50 zabitych i rannych. Kmdr Kleikamp patrzył na to wszystko z pokładu swego pancernika z bezsilną złością. Tyle wysiłku, taki ogień artyleryjski, który mógłby na morzu zatopić inny pancernik, a efekt tego wszystkiego bardziej niż mizerny! — Co na to wszystko powie Fuhrer? — Jak mu to wszystko wytłumaczyć?

W tym momencie okazało się, że niemiecki plan ataku na Westerplatte, pomimo że teoretycznie dopracowany w najdrobniejszych szczegółach, był jednak niedoskonały i przeprowadzony w sposób skandaliczny. Niemcy nie mieli dokładnych map terenu, który zamierzali atakować. Nie wiedzieli zatem, gdzie dokładnie znajdują się jakie obiekty, a gęsty las porastający półwysep utrudniał im jakiegokolwiek rozeznanie w terenie. Okazało się także, iż pomimo przeprowadzenia przed wojną wielu lotów zwiadowczych nad terenem Składnicy, niemieccy sztabowcy nie umieją czytać zdjęć lotniczych, więc nie mają pojęcia o polskich umocnieniach oraz przeszkodach terenowych, jakie zbudowali Polacy w ciągu ostatnich miesięcy przed wojną. Stąd tak duże straty wśród nacierających, gdyż atakowali na ślepo.

Tymczasem około godziny 7.00 przybył na teren Mewiego Szańca sam prezydent Senatu Wolnego Miasta Gdańska, członek NSDAP, Artur Greiser, który zapragnął osobiście obserwować bohaterskie wyczyny niemieckich żołnierzy na Westerplatte, aby potem donieść o tym Ftihrerowi. Kiedy dowiedział się o dotychczasowych „sukcesach” desantowców z pancernika, wpadł w szał, zwymyślał Kleikampa i zdecydował, że w następnym ataku marynarzy ze „Schleswiga-Holsteina” wesprą jego dzielni chłopcy z gdańskiego SS „Heimwehr Danzig”. Sądził, że podniesie to prestiż,



gdyż gdańskie SS to była jego chluba, którą sam przez lata szkolił do walki z Polakami.

Tak więc o 7.40 zarządzono wznowienie działań wojennych przeciwko Westerplatte. Tym razem jednak Niemcy byli znacznie ostrożniejsi. Dla stuprocentowej pewności powodzenia ataku postanowili poprzedzić go półgodzinnym ogniem z dział pancernika na odkryte już placówki „Prom”, „Przystań” i „Fort”, które tak skutecznie zagroziły napastnikom drogę w głąb półwyspu. Plan niemiecki był prosty i brutalny: najpierw pół godziny ostrzału najcięższymi pociskami, potem kwadrans przerwy, następuje kolejny dłuższy ostrzał — dla zupełnej pewności, że się Polaków wgniotło w ziemię, a dopiero po tym wszystkim natarcie marynarzy i SS<sup>19</sup>.

Tymczasem po drugiej stronie muru Polacy, pomimo iż stracili w porannych walkach kilku rannych, których odniesiono do prowizorycznego lazaretu w piwnicach koszar, gdzie zajął się nimi kpt. doktor Mieczysław Słaby, ochłonęli już z pierwszego zaskoczenia. Na rozkaz Sucharskiego i Dąbrowskiego wytoczyli z garażu w koszarach stare, rosyjskie działo polowe kalibru 75 mm, które już w pierwszych godzinach walki okazało się kolejnym zaskoczeniem dla atakujących, ponieważ jego ogniem udało się zniszczyć kilka niemieckich stanowisk obserwacyjnych i ogniowych w Nowym Porcie. W pogotowiu stanęły też opodal koszary polskie moździerze z obsługą<sup>20</sup>. Wsparły one skutecznie ogień placówki „Prom”, która odrzuciła nacierających Niemców<sup>21</sup>.

Zaskoczenie nieprzyjaciela musiało być ogromne, skoro podjął decyzję o tak długim przygotowaniu ogniowym kolejnego natarcia. Wywiad niemiecki nie rozpoznał, że

<sup>19</sup> *Tamże*, s. 53.

<sup>20</sup> *Tamże*, s. 52-53.

<sup>21</sup> Relacja F. Dąbrowskiego, w: *Westerplatte wspomnienia*, zebrał, opracował i wstępem opatrzył Z. Flisiński, s. 14.

Polacy mają w Składnicy Tranzytowej działa i moździerze. Kleikamp i Greiser sądzili, że tym razem ogień z pancernika rozbije w drzazgi polską artylerię, ale czekał ich bolesny zawód. Kiedy między godziną 7.40 a 8.15 kanonada z pancernika, jak się mogło wydawać, rozwaliła placówkę „Prom” oraz polskie działo, które istotnie w tym czasie zostało zniszczone, niemieckie oddziały znowu ruszyły do gwałtownego szturmu. Po kilkunastu metrach utknęli jednak w zasiekach oraz potykaczach na przedpolach placówki „Prom”, o których nie mieli pojęcia. Polski ogień znowu kosił ich niemiłosiernie, ale najgorsze dla atakujących zaczęło się w momencie, gdy por. Leon Pająk, widząc zbliżających się do placówki Niemców, wezwał (przez telefon) na pomoc ogień moździerzy spod koszar. Kpt. Dąbrowski przyjął meldunek i natychmiast sprawił napastnikom krwawe lanie. Ogień moździerzy zaskoczył atakujących Niemców. Po takim ostrzale, jaki urządzili Polakom przed kilkoma minutami, polskie pozycje powinny już być tylko przemieszаныmi grudami ziemi i krwi, tymczasem Polacy mają czelność jeszcze żyć i masakrować niemieckich nadludzi. W trakcie walki, około godziny 12.33 w południe, zginął dowódca szturmowców ze „Schleswiga-Holsteina”, por. Henningsen, padło też wielu niemieckich marynarzy i esesmanów<sup>22</sup>. Gdy poległ dowódca, napastnicy wycofali się w popłochu za zrujnowany mur, porzucając w panice broń i rannych, a pierwsi podali tyły „dzielni chłopcy Greisera” z SS. A ten szalał i jednocześnie wyobrażał sobie, jak wściekły będzie Hitler, kiedy mu usłużny Forster doniesie o jego „zwycięskich bojach” na Westerplatte.

Dla Niemców pierwsza połowa dnia 1 września skończyła się na Westerplatte krwawą jatką i totalną kompromitacją hitlerowskiej maszyny wojennej. Straty były ogromne,

<sup>22</sup> M. Borowiak, *Westerplatte*, s. 53-55.

żołnierze przerażeni, niemiecki pancernik w zasadzie tylko przeszkadzał w atakach, gdyż jego pociski czyniły więcej szkody w niemieckim Gdańsku niż na Westerplatte, nad którym po prostu w większości przelatywały, trafiając w miasto. Wielomiesięczne przygotowania poszły na marne. Na dodatek okazało się, że Niemcy desantowcy ponieśli już tak duże straty w ludziach i sprzęcie, że nie są w stanie dalej walczyć przez najbliższe dni, a gdańscy esesmani boją się i chcą natychmiast wracać do domów, bo takiej wojny to oni się nie spodziewali i nie umieją walczyć w takich warunkach. Jeżeli dodamy do tego bohaterski opór Poczty Polskiej w Gdańsku i ciężkie lanie, jakie w tym samym czasie urządził gdańskim Niemcom płk Dąbek na przedpolach Gdyni — to istotnie niemieckie koła wojskowo-polityczne w Gdańsku nie miały się czym poszczycić. Biorąc pod uwagę totalną przewagę Niemców nad Polakami we wszystkich rodzajach broni od pierwszych godzin wojny, to już samo opieranie się kompanii wartowniczej na Westerplatte takiej potędze przez tyle godzin zakrawało na cud. Po raz kolejny, już w pierwszym dniu wojny, okazało się, że polski żołnierz jest dużo lepiej wyszkolony i zdyscyplinowany od żołnierza niemieckiego. Tam, gdzie Polacy, jak na Westerplatte, walczyli w oparciu o jakiegokolwiek solidniejsze fortyfikacje, Niemcy mieli duże trudności z przełamaniem naszej obrony<sup>23</sup>.

Przerażenie sztabowców niemieckich na pokładzie „Schleswiga-Holsteina” oraz na Mewim Szańcu było ogro-

<sup>23</sup> Pomyślmy, ile warta byłaby ta sama armia polska, gdyby posiadała w 1939 r. więcej nowoczesnej broni. Plan modernizacji uzbrojenia Wojska Polskiego z pierwszej połowy lat trzydziestych XX w. zakładał osiągnięcie pełnej gotowości bojowej przez nasze siły zbrojne na lata 1943-1944. Na ten temat patrz szerzej: P.P. Wierzchowski, *Kampania 1939 roku*, s. 7-12. Gdyby wojna z Niemcami wybuchła tak, jak spodziewano się w polskim Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych na przełomie lat 1943-1944, czyli po wygaśnięciu paktu o nieagresji z Niemcami z 1934 r., Wojsko Polskie byłoby trudnym przeciwnikiem dla Wehrmachtu.

mne. Niemcy byli przekonani, że Polska Składnica Tranzytowa jest silnie umocnioną twierdzą. Uwierzyli, jakoby na Westerplatte były betonowe bunkry, połączone między sobą podziemnymi tunelami, że otacza je pole minowe, że koszary mają wbudowane stanowiska artyleryjskie w piwnicach, które są rozbudowane na kilka pięter w dół. Przeceniali liczebność załogi, sądząc, że musi tam być kilka tysięcy po zęby uzbrojonych fanatyków itp. Podobne nonsensy, które po kapitulacji placówki okazały się zwykłym kłamstwem propagandowym, powtarzali 1 września nie tylko prości żołnierze niemieccy, ale przede wszystkim oficerowie najwyższego szczebla i oficjalne czynniki, które gęstymi oparami propagandy usiłowały zamaskować wobec świata klęskę swoich wojsk w pierwszych dniach tej wojny<sup>24</sup>.

Sztabowcy niemieccy postanowili wczesnym popołudniem 1 września zaniechać frontalnych ataków na Westerplatte, aby uniknąć dalszych strat w ludziach. Gdańsk i tak był już niemiecki, a polska załoga niewielkiego półwyspu całkowicie odciętego od świata w niczym nie mogła tego zmienić. Cokolwiek by Polacy na Pomorzu i Wybrzeżu robili, Westerplatte i tak musiało się poddać. Było to tylko kwestią godzin lub najdalej dni. Dowódcy niemieckiego oblężenia postanowili zatem przeprowadzać tylko ostrzał nękający polskie terytorium, aby zniszczyć budynki i nerwowo wykończyć obrońców. Bombardowania artyleryjskie i lotnicze w połączeniu ze ścisłą blokadą od lądu i od morza miały dokonać tego, co nie udało się piechocie — zmusić Polaków do kapitulacji.

<sup>24</sup> Właśnie dlatego Niemcy nie podawali w świat informacji z pola bitwy pod Mokrą, gdzie brygada polskiej kawalerii ze zwykłymi działami polowymi i karabinami maszynowymi, wsparta przez pociąg pancerny, wiele godzin powstrzymywała natarcie niemieckiej dywizji pancernej i potrafiła zmasakrować silniejszego od siebie przeciwnika. Natomiast chętnie rozpowszechniali bajki o polskich ulanach, którzy szarżują na niemieckie czołgi z lancami, szablami i butelkami z benzyną.

W tym miejscu wypada zrobić małą dygresję: niemiecka doktryna wojny błyskawicznej, czyli *Blitzkrieg*, która została opracowana teoretycznie na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku, w założeniu nie miała polegać na obleganiu twierdz i innych redut przeciwnika. Wojna błyskawiczna, wzięta z doświadczeń wojen prowadzonych w dawnych czasach przez ludy koczownicze, np. Hunów, Tatarów i Turków, zakładała opanowanie terytorium nieprzyjaciela i zniszczenie jego armii oraz ośrodków dowodzenia przez zaskoczenie, szybkość i terror. Zwycięstwo osiągało się w polu dzięki mistrzowskiemu zastosowaniu starej jak świat i Wielki Step taktyki manewrowej. Tyle, że w roli konnicy miały teraz występować samoloty szturmowe i czołgi, których zadaniem miało być przełamanie stacjonarnej obrony przeciwnika i otwarcie drogi własnej piechocie<sup>25</sup>. Jeśli na drodze atakujących wojsk stała jakaś twierdza, której nie udało się zdobyć z marszu, należało nie tracić czasu na jej obleganie, lecz zablokować ją i pozostawić na tyłach. Wiadomo bowiem było, że odcięta od reszty własnego terytorium warownia prędzej czy później musi się poddać, gdy załoga wyczerpie wszystkie zapasy. Fortecę taką należało tylko nękać ogniem artylerii i bombardowaniami lotniczymi, ażeby złamać morale obrońców. Dlatego nie należy się dziwić, że Niemcy nie zamierzali zdobywać odciętego od Polski Westerplatte, tak samo, jak nie zamierzali zdobywać Helu czy też oblężonej i odciętej od reszty wojsk polskich Warszawy. Ścisła blokada i bombardowania wystarczały — zdaniem niemieckich sztabowców — do zmuszenia Polaków do kapitulacji.

Do wieczora polscy obrońcy wycofali załogę placówki „Prom” do wartowni nr I, unosząc ze sobą dowódcę por. Leona Pajaka, który, ciężko ranny odłamkami w podbrzusze, do końca obrony praktycznie nie odzyskał przytomności i leżał w podziemiach koszar pod opieką doktora Słabego,

<sup>25</sup> P.P. Wiczorkiewicz, *Kampania 1939 roku*, s. 27-33.

który uratował mu życie. Zabitych po stronie polskiej było niewielu. Polegli tego dnia szer. Uss, st. strz. Ziemba i kpr. Kowalczyk, pozostawiony przez swoich kolegów na przedpolu wartowni nr I, oraz zawiadowca stacji kolejowej Najsarek<sup>26</sup>. Walki na Westerplatte ucichły tego dnia około godziny 14.00. Od tej pory Niemcy nie ryzykowali już ataków na teren Polskiej Składnicy Tranzytowej<sup>27</sup>.

Wieczór i noc z 1 na 2 września minęły dla obrońców półwyspu w miarę spokojnie. Niemcy ostrzeliwali terytorium Składnicy Tranzytowej z dział, a ich patrole wkraczały na polski teren, ale szybko wycofywały się pod ogniem naszych placówek. Mjr Sucharski był ogólnie zadowolony z pierwszych godzin obrony. Jego żołnierze spisali się dobrze. Straty były niewielkie — kilku ludzi. Więcej było rannych (około dziesięciu). Ich stanem martwił się najbardziej lekarz Wojskowej Składnicy Tranzytowej, kpt. Słaby, nie miał bowiem warunków, żeby w zaimprovizowanym lazarecie, który mieścił się w podziemiach koszar, zorganizować im opiekę medyczną z prawdziwego zdarzenia. Amunicji było jeszcze dużo, ale leków i opatrunków brakowało. Kpt. Słaby nie miał też stołu operacyjnego ani narzędzi chirurgicznych, jak to powinno być w prawdziwym szpitalu. Poza tym był na Westerplatte sam. Kilku sanitariuszy przyuczonych do udzielania pierwszej pomocy medycznej nie mogło zastąpić go przy chorych i rannych, których przybywało z godziny na godzinę.

Bilans pierwszego dnia walk był dla Polaków korzystny. Odparli dwa ataki niemieckie z rana i w południe<sup>28</sup>, zadając

<sup>26</sup> Relacja F. Dąbrowskiego, w: *Westerplatte wspomnienia*, zebrał, opracował i wstępem opatrzył Z. Flisowski, s. 14-15. Patrz także: M. Borowiak, *Westerplatte*, s. 55-61.

<sup>27</sup> M. Borowiak, *Westerplatte*, s. 63-64.

<sup>28</sup> W większości polskich opracowań na temat obrony Westerplatte mówi się, że tego dnia Niemcy atakowali półwysp trzy razy — rano, około południa i późnym wieczorem. Tak to opisuje między innymi kapitan Franciszek Dąbrowski oraz za nim Zbigniew Flisowski. Jednakże z nowszych ustaleń Mariusza Borowiaka niedwuznacznie wynika, że

nieprzyjacielowi duże straty w ludziach. Rozbili ogniem jedyne działo polowe, które tego dnia utracono, kilkanaście niemieckich stanowisk ogniowych. Zniszczono wiązkami granatów niemiecką wartownię policyjną za murem placówki. Nasze wartownie były nienaruszone, a większość placówek (poza „Promem” zniszczonym ogniem artylerii) trzymała się dzielnie. Budynek koszar był postrzelany i podziurawiony pociskami, ale w podziemiach i na parterze dało się w miarę normalnie egzystować i dowodzić walką.

Jednakże mjr Sucharski wiedział doskonale, że ten stan nie utrzyma się długo, ale z niewiadomych do dziś powodów wciąż zatrzymywał tę wiedzę tylko dla siebie. Gdyby już pierwszego dnia oblężenia podzielił się z podwładnymi tym, co przekazał mu ppłk Sobociński, może nie doszłoby do późniejszych, niezbyt chwalebnych wydarzeń na Westerplatte, które po wojnie skwapliwie ukrywano przed społeczeństwem, gdyż zaiste nie było czym się chwalić, do romantycznej legendy niezbyt to wszystko pasowało<sup>29</sup>.

niemieckie dowództwo w Gdańsku już około godziny 15.00 1 września 1939 r., na wyraźny rozkaz samego Hitlera z Berlina, zaprzestało frontalnych ataków na polską placówkę, aby uniknąć niepotrzebnych strat w ludziach. To, co od tej pory Polacy nazywali atakami, było tylko rozpoznaniem przed walką przez wzmocnione patrole niemieckie. Szturm generalny na Westerplatte Niemcy planowali dopiero po kilku dniach (najprawdopodobniej 7 września). Po nocy bali się wchodzić na polski teren, którego nie znali i na którym ponieśli tak duże straty.

<sup>29</sup> Polski problem wiedzy o historii własnego kraju polega na tym, że wiele wydarzeń z naszych dziejów obrosło tak wielką literacką legendą, że większość społeczeństwa patrzy na nie tylko przez pryzmat literatury. Tak jest z Westerplatte. Większość z tego, czego nas o tym uczono w szkołach, to legenda, wykreowana już po wojnie genialnym piórem Melchiora Wańkowicza i równie pięknymi strofami poetyckimi Władysława Broniewskiego. Rzeczywistość obrony Westerplatte przedstawił w swoich wspomnieniach Franciszek Dąbrowski, ale mało kto je czytał i analizował. I tak literacka legenda trwa do dziś, a prawda historyczna, której usiłuje dociec między innymi niestrudzony Mariusz Borowiak, jest ciągle nieznana, bo mniej piękna od literackiej fikcji, do której większość Polaków przez lata przywykła.

Około południa 1 września komendant Westerplatte zaczął zachowywać się bardzo dziwnie. Kpt. Dąbrowski wspomina:

„Mjr. Sucharski okazuje zniecierpliwienie spowodowane brakiem obiecanej pomocy z Gdyni i «bojówek polskich» w Gdańsku”<sup>30</sup>.

Na jaką pomoc czeka Sucharski? Można się tylko domyślać, że miała to być akcja jakichś nieokreślonych bliżej „bojówek polskich” w Gdańsku (czyżby chodziło o oddziały gen. Skwarczyńskiego?) i desant oraz wsparcie artyleryjskie z Gdyni i Oksywia. Ale przecież major doskonale wie, że żadnej odsieczy nie będzie, wobec tego gra przed swoim zastępcą komedię, udając rzekome zniecierpliwienie. Dlaczego aż tak bardzo ten pragmatyczny, chłopski syn bał się powiedzieć całą brutalną prawdę swoim podkomendnym?<sup>31</sup> Być może prawda ta ocaliłaby życie i zdrowie wielu z nich.

2 września rozpoczął się pogodnie i nic nie wskazywało, że późnym popołudniem dojdzie do dramatycznych wydarzeń, które zmienią nie tylko dowódcę obrony Westerplatte, ale również po raz pierwszy postawią przed obrońcami pytanie o sens dalszej obrony. Przypomnijmy sobie, że poprzedniego dnia niemieckie dowództwo obłożenia zdecydowało, iż wzięcie Westerplatte szturmem

<sup>30</sup> F. Dą b r o w s k i, *Wspomnienia*, s. 101.

<sup>31</sup> Na to pytanie nawet Mariusz Borowiak (*Westerplatte*, s. 64) nie znajduje po dziś dzień logicznej odpowiedzi. Wygląda na to, jak gdyby 1 załogę Westerplatte, i obrońców Poczty Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku celowo wprowadzono w błąd, każąc im walczyć przez czas określony w nadziei szybkiej odsieczy, która w rzeczywistości była fikcją, stworzoną tylko po to, żeby się za wcześniej Niemcom nie poddali. Winę za to wszystko, za krew przelaną bez sensu i nadaremno, ponosi bez wątpienia jeden człowiek w Gdańsku — pplk Wincenty Sobociński, który wydał im takie rozkazy, a także jego przełożeni w Warszawie, którzy takimi decyzjami świadomie oddali Wybrzeże Niemcom na rzeź.



jest niemożliwe. Dziewięć godzin walki przekonało je, że nie ma co ryzykować dalszych ataków na ślepo, bez należytego rozeznania terenu oraz sił nieprzyjaciela, bo kosztuje to za dużo strat w ludziach. Wsparcie artyleryjskie pancernika „Schleswig-Holstein” też okazało się zdecydowanie niewystarczające, gdyż jego pociski przelatwały nad terytorium polskim i wybuchały głównie w niemieckim Gdańsku. Więcej zatem mieli Niemcy z tego wsparcia szkody niż pożytku. Pancernik nadawał się bowiem do walki na otwartym morzu, a nie na kanale portowym, gdzie wszystko było za blisko<sup>32</sup>. Niemieckie raporty z 1 września, mocno przejęskrawione, donosiły o bardzo silnej załodze Westerplatte, która miała liczyć kilka tysięcy ludzi (!), oraz o systemie podziemnych korytarzy pomiędzy koszarami, wartowniami i bunkrami na terenie Składnicy Tranzytowej. Dowódcy niemieccy w Gdańsku byli zdania, że sama piechota i artyleria to za mało, żeby zdobyć polską redutę<sup>33</sup>. Dlatego też, po przeanalizowaniu doświadczeń z poprzedniego dnia, zdecydowali się wezwać na pomoc lotnictwo bombowe, które było w stanie działać o wiele precyzyjniej niż dalekosiężna artyleria okrętu liniowego. Około południa nad Westerplatte zaczął krążyć niemiecki samolot obserwacyjny, który fotografował cele dla bombowców. Obrońcy widzieli go, ale nie mogli zestrzelić ani odpędzić, gdyż nie posiadali obrony przeciwlotniczej. Przed wojną myślano o wyposażeniu załogi w przeciwlotnicze karabiny maszynowe, ale na planach się skończyło.

Niemcy przygotowywali się do dalszej rozprawy z Westerplatte bardzo precyzyjnie. Z Królewca ściągnięto na pomoc dodatkowe siły w postaci szkolnego batalionu pionierów z Rosslau-Dessau, którymi dowodził ppłk Henke. Dodatkowo wsparto je haubicami kalibru 105 mm, a było tego co najmniej dwie baterie. Na razie wokół Westerplatte

<sup>32</sup> M. Borowiak, *Westerplatte*, s. 62-63.

<sup>33</sup> *Tamże*, s. 65-69.

zaległa złowroga cisza, która zawsze w warunkach bojowych oznacza przygotowanie do czegoś strasznego.

O godzinie 18.05 nad półwyspem dał się słyszeć warkot silników samolotowych. Junkersy Ju-87B nadleciały kluczącami w sile około 60 maszyn. Na teren Polskiej Składnicy Tranzytowej posypały się bomby. Rozpętało się piekło, jakiego nikt z Polaków na Westerplatte nie przewidywał. Przed wojną nie uczono polskich żołnierzy, jak mają się zachowywać w takich sytuacjach wszystko wokół trzęsło się i falowało. W powietrzu unosiło się pełno dymu i kurzu. Ludzi ogarnęła panika, bo na coś takiego nie byli przygotowani. Budynek, które do tej pory wydawały się mocne, teraz mogły stać się grobem dla wszystkich obrońców. Kpt. Dąbrowski po latach wspominał:

„Budynek koszar zaczyna «tańczyć», jakby był poruszany w posadach. Z sufitu spada wapno tworząc obłok pyłu drażniący gardło i nos. Wybiegam na korytarz. Widzę załogę koszar na płask przywartą do ścian. Tu i ówdzie rozlegają się niespokojne głosy, «gaz»<sup>34</sup>.

Budynek w dalszym ciągu kołysze się jak kajak na fali. Jesteśmy pod silnym bombardowaniem lotniczym. Nalot z kompletnym zaskoczeniem wykonują samoloty nurkujące<sup>35</sup>.

Efekty tego nalotu były przerażające. Bardzo ucierpiały koszary. Jedna z bomb trafiła w wartownię nr V, zabijając na miejscu prawie całą jej załogę z dowódcą, plut. Adolfem Petzeltem. Żołnierze z pozostałych wartowni i placówek, widząc wybuchy wokół koszar, sądzili, że zostały one rozbite i wszyscy dowódcy zginęli<sup>36</sup>. Dwaj pracownicy

<sup>34</sup> Żadnego gazu Niemcy tego dnia nie użyli, ale w powietrzu unosił się tuman duszącego kurzu i pyłu, co obrońcy Westerplatte, przerażeni atakiem bombowym, pomyłkowo mogli wziąć za gaz. Gdy cały budynek chodził jak podczas trzęsienia ziemi, najtwardszych ludzi zawodziły nerwy, więc takie pomyłki istotnie były możliwe.

<sup>35</sup> F. Dąbrowski, *Wspomnienia*, s. 104-105.

<sup>36</sup> M. Borowiak, *Westerplatte*, s. 70-71.

cywilni Składnicy Tranzytowej, Ryszard Duzik i Kazimierz Tuczyński, głośno krzyczeli o konieczności natychmiastowego poddania się, tak że musiano ich czasowo odizolować od reszty załogi, aby swoim zachowaniem nie siali paniki<sup>37</sup>. Jeden z żołnierzy z obsady wartowni nr I, szer. Antoni Łankiewicz, załamał się nerwowo i uciekł ze swego stanowiska bojowego. Dowódca tej wartowni — plut. Piotr Buder pisze:

„Nagle silny podmuch zwałił mnie z nóg. Oczywiście miałem zasypane piachem, nic nie widziałem. Podniosło mnie dwóch żołnierzy.

Kiedy odzyskałem przytomność, bombardowanie przybierało na sile. Z wartowni wyrwało drzwi od strony koszar. Powstała straszna panika. Niektórzy żołnierze jak ryby do wody wpadali na dół, do pomieszczeń dolnej kondygnacji, inni próbowali wyskoczyć z wartowni. Gdy zobaczyłem, że chcą uciekać, chwyciłem pistolet i mierząc w nich krzyknąłem: «Stać, bo będę strzelał!»<sup>38</sup>.

Z powyższych relacji niedwuznacznie wynika, że tego wieczoru na Westerplatte przez krótki czas zapanowały chaos oraz panika i gdyby Niemcy zdecydowali się wtedy na kolejny szturm, placówka padłaby nieodwołalnie, bo dowódcy nie zdołaliby zebrać żołnierzy i zmusić ich do walki. Cóż, lotnictwo było bronią stosunkowo nową (istniało zaledwie od niecałych dwudziestu lat) i nikt spośród polskich oficerów tak na dobre nie znał i nie przewidywał jego niszczącej i demoralizującej siły. A co można powiedzieć o podoficerach i żołnierzach, którzy niemieckie bombowce zobaczyli w akcji po raz pierwszy w życiu. To była zupełnie inna wojna niż ta, do której ich wszystkich przygotowywano. Stąd przypadki załamań nerwowych wśród obrońców.

To wszystko było jednak niczym wobec pewnego wydarzenia, które w tym samym czasie miało miejsce w koszarach

<sup>37</sup> *Tamże*, s. 71.

<sup>38</sup> Relacja plut. P. Budera, w: *Westerplatte wspomnienia*, zebrał, opracował i wstępem opatrzył Z. F i s o w s k i, s. 90; M. B o r o w i a k, *Westerplatte*, s. 71-72.

i o którym uczestnicy wydarzeń solidarnie milczeli przez wszystkie lata powojenne aż do naszych czasów. Wstydliva tajemnica dotyczyła bowiem samego komendanta Polskiej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte, mjr. Henryka Sucharskiego, który — załamany — w czasie bombardowania rozkazał wywiesić białą flagę na dachu koszar. Kazał też spalić wszystkie dokumenty dotyczące liczebności załogi i szyfrów używanych przez placówkę. Oznaczało to kapitulację, przeciw czemu ostro zaprotestował kpt. Dąbrowski<sup>39</sup>.

Między obu oficerami doszło (na osobności) do ostrej scysji. W pewnym momencie Sucharski pobladł, głos mu się urwał i runął na podłogę w konwulsjach. W tym momencie wyszło na jaw, że major był chory na padaczkę. Dąbrowski stanął na wysokości zadania; natychmiast wezwał doktora Słabego, który zajął się chorym, podał mu leki uspokajające, przywiązał do łóżka i kazał odizolować od reszty załogi. Czuwało przy nim tylko kilku zaufanych ludzi, a dowodzenie placówką przejął od tej pory kpt. Dąbrowski razem z por. Gródeckim i doktorem Słabym. To oni razem podejmowali wszystkie decyzje przez następne dni obrony. Chorobę Sucharskiego trzymano jednak w ścisłej tajemnicy przed resztą załogi, aby nie załamywać obrońców.

Tymczasem Dąbrowski osobiście udał się na dach koszar, ażeby ściągnąć białą flagę, ale żołnierz, który ją wywiesił na rozkaz majora, okazał się służbistą i nie chciał pomóc kapitanowi w jej zerwaniu (być może sam już miał dość beznadziejnej walki). Na dachu koszar doszło do szarpaniny, w czasie której kapitan najprawdopodobniej zastrzelił tegoż wartownika. Nikt tego nie zauważył, bo wokół nadal rozrywały się niemieckie bomby. Kilku żołnierzy (chyba czterech) odmówiło dalszej walki. Zostali za to natychmiast rozstrzelani i pochowani we wspólnej mogile w pobliżu wartowni nr I<sup>40</sup>.

<sup>39</sup> F. Dąbrowski, *Wspomnienia*, s. 106.

<sup>40</sup> M. Borowiak, *Westerplatte*, s. 76-83.

Trzeba przyznać, że kpt. Dąbrowski zdołał bardzo szybko opanować sytuację i przywrócić porządek na Westerplatte. Wprawdzie nie obyło się to bez ofiar śmiertelnych wśród swoich, ale na tym też polega wojna. Nie wszystko na niej jest bohaterskie i wzniosłe, a nikt nie zna do końca granic swojej wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Wśród obrońców Westerplatte zapanowało wówczas zdziwienie, na co czekają Niemcy? Przecież po tym nalocie i panice mogliby zająć półwysep praktycznie bez strat.

Po latach, gdy udostępniono nam archiwa niemieckie i ukazały się drukiem wspomnienia Niemców, którzy oblegali Westerplatte, okazało się, jaki był powód tego dziwnego spokoju po tamtej stronie muru. Otóż obserwatorzy niemieccy dostrzegli białą flagę nad koszarami i zameldowali o tym swoim dowódcom. Natychmiast wydano wszystkim jednostkom rozkaz zaprzestania ognia i powstrzymania się od wszelkich działań bojowych aż do wydania nowych rozkazów. Biała flaga po kilku minutach zniknęła, Niemcy jednak w spokoju oczekiwali na polskich parlamentariuszy. Gdy ci nie nadchodzili, wysłano za mur wzmocnione patrole w celu wybadania sytuacji, ale ku przerażeniu Niemców powitał ich celny ogień ze wszystkich polskich stanowisk. W tej sytuacji postanowili oni czekać do rana, bo noc zapadała szybko. Natarcie na Westerplatte zostało więc odłożone na czas nieokreślony.

Noc minęła spokojnie. Polacy zyskali czas na uporządkowanie obrony i ochłonięcie po wieczornym nalocie. Zdołano naprawić łączność telefoniczną pomiędzy koszarami a wartowniami i placówkami. Mjr Sucharski tej nocy długo spał i dochodził do siebie po wstrząsie psychicznym, jaki przeżył. Kpt. Dąbrowski obszedł wszystkie placówki i czuwał całą noc w swojej kwaterze. W najgorszym położeniu był doktor Słaby, gdyż w jego szpitaliku przybywało coraz więcej ciężko rannych, którym

nie potrafił pomóc, bo nie miał już leków ani narzędzi chirurgicznych<sup>41</sup>.

Normalną rzeczą w warunkach wojennych jest to, że ludzie słabszej konstrukcji psychicznej załamują się pod wpływem okoliczności, które ich przerastają. Mjr Sucharski był niewątpliwie doświadczonym oficerem, mającym za sobą kampanię bolszewicką 1920 r., za którą dostał Order Virtuti Militari. W czasie pokoju mógł uchodzić za walecznego i opanowanego oficera<sup>42</sup>.

Dlatego właśnie przełożeni z Warszawy posłali go w paszczę lwa, czyli do Wolnego Miasta Gdańska, gdzie Westerplatte było wyspą polskości w morzu wojującej germańszczyzny. Westerplatte to był posterunek dla straceńców, dlatego kierowano tam najlepszych z najlepszych i tylko kawalerów, *którzy* nie byli obciążeni żadnymi zobowiązaniami rodzinnymi. Jednakże powiedzmy sobie uczciwie: obrona Polskiej Składnicy Tranzytowej przerosła siły pana majora już w drugim dniu oblężenia.

Stracić odporność psychiczną to nie hańba, przecież we wrześniu 1939 r. załamywali się nawet generałowie Wojska Polskiego (Bortnowski, Rómmel, Fabrycy i Dąb-Biernacki, a nawet Rydz-Śmigły). Ci, którzy w obliczu wroga porzucali swoje armie i sami uciekali na tyły, z pewnością zawinili wobec ojczyzny dużo bardziej aniżeli skromny major, który, widząc beznadziejność sytuacji militarnej, postanowił poddać Westerplatte już w drugim dniu wojny. Hańbą było natomiast oszukiwanie swoich ludzi co do rzeczywistego położenia, w jakim się znaleźli. Gdyby mjr Sucharski natychmiast po odjeździe ppłk. Sobocińskiego zwołał nadzwyczajną radę oficerów i podoficerów i otwarcie im powiedział, że żadnej pomocy nie otrzymają, to przecież nikt by nie oponował wobec decyzji o kapitulacji z braku sensu dalszej walki. Dąbrow-

<sup>41</sup> *Tamże*, s. 77-87.

<sup>42</sup> *Tamże*, s. 19-36.

ski, Gródecki, Słaby, Pająk i Kregielski nie byli przecież samobójcami i potrafili trzeźwo rozumować. Na pewno zgodziliby się z decyzją majora. To samo byłoby, gdyby 31 sierpnia dowodzenie na Westerplatte przejął osobiście Sobociński. Podpułkownikowi żaden z oficerów młodszych stopniem nie śmiałyby się sprzeciwić.

Tymczasem mjr Sucharski wszystko do końca przed kolegami ukrywał. Jeżeli istotnie był chory na padaczkę, z czego już po ataku musiał doskonale sobie zdawać sprawę, to dlaczego oficjalnie nie przekazał dowodzenia obroną kpt. Dąbrowskiemu? Przecież było to obowiązkiem uczciwego oficera<sup>43</sup>.

Oficerowie z Westerplatte wysoko cenili sobie honor żołnierski i dlatego walczyli dalej, dopóki była nadzieja. Upadek majora skrętnie ukryli przed żołnierzami, stwarzając fikcję, że ma się on dobrze i nadal dowodzi, choć w rzeczywistości nie wypuszczali go z koszar. Prawdziwym bohaterem obrony Westerplatte oraz rzeczywistym twórcą tej legendy, która trwa w świadomości polskiej aż do dnia dzisiejszego, jest kpt. Franciszek Dąbrowski.

3 września Niemcy, jak zwykle, obudzili obrońców Westerplatte salwami artyleryjskimi, jednakże nie atakowali już polskich pozycji, jak w dniach poprzednich, tylko sondowali układ, siłę i słabe punkty polskiej obrony. Temu właśnie służyły wypadki wzmocnionych patroli z różnych stron<sup>44</sup>. Polacy mylnie brali je za ataki, które z powodzeniem odpierali. Tego dnia stało się jednak coś o wiele ważniejszego, co wzmocniło ducha walki obrońców i nadzieję na rychłą odsiecz. Oto Polskie Radio w Warszawie podało wiadomość o przystąpieniu Wielkiej Brytanii i Francji do wojny przeciwko Niemcom. Załoga Westerplatte przyjęła to z radością i przekonaniem, że wkrótce nastąpi kres tej beznadziejnej sytuacji.

<sup>43</sup> *Tamte*, s. 111-112.

<sup>44</sup> *Tamże*, s. 86-87.

Znając Niemców, por. Gródecki uważał, że kapitulacja byłaby teraz szaleństwem, gdyż hitlerowcy z pewnością wymordowaliby polskich żołnierzy, nie zważając na konwencje międzynarodowe. Amunicji było jeszcze dość. Dużo gorzej było z żywnością, wodą pitną oraz lekarstwami. Doktor Słaby stwierdzał u niektórych rannych początki gangreny. Niektórzy z nich byli ranni powtórnie podczas bombardowania koszar w dniu poprzednim. Opatrunków brakowało, a operować też nie było czym. Poza tym doktor padał ze zmęczenia. Coraz częściej twierdził, że jedyną drogą ratowania jego pacjentów może być tylko albo natychmiastowy desant z Gdyni i przewiezienie rannych do szpitali w tym mieście, na Oksywiu lub na Helu, albo bezzwłoczna kapitulacja i przekazanie rannych do szpitali niemieckich. Przedłużanie obrony oznaczało, jego zdaniem, skazanie rannych na śmierć.

Jakby solidaryzując się z kpt. Słabym, jeden z obrońców, brawurowy mat Franciszek Bartoszak, zgłosił się na ochotnika, że popłynie kajakiem lub w pław do Gdyni i sprowadzi stamtąd pomoc dla Westerplatte, aby chociaż ewakuować rannych na Oksywie. Pomysł ten był bardzo ryzykowny, gdyż niemieckie okręty wojenne cały czas szczelnie blokowały przestrzeń morską pomiędzy Gdańskiem a Gdynią. Na dodatek noc była księżycowa i łódka mata Bartoszaka mogła być z miejsca dostrzeżona przez nieprzyjaciela. Ani mjr Sucharski, z którym rozmawiał Bartoszak, ani kpt. Dąbrowski, świadek tej rozmowy, nie wyrazili zgody na tego typu eskapadę, aczkolwiek pochwalili pomysł i odwagę marynarza<sup>45</sup>.

Obaj oficerowie, pomimo dzielących ich różnic na temat sensowności dalszej obrony Polskiej Składnicy Tranzytowej, doskonale wiedzieli, że Gdynia nie jest w stanie w żaden sposób pomóc Westerplatte, bo sama jest atakowana przez

<sup>45</sup> Z. Flisowski, *Tu, na Westerplatte*, s. 86.



przeważające siły nieprzyjaciela. O żadnych polskich akcjach na Bałtyku w rejonie Gdańska nie mogło być nawet mowy, bo siła Kriegsmarine była zbyt wielka, ażeby jakikolwiek polski okręt wojenny mógł się przebić do Westerplatte.

Wieczór i noc z 3 na 4 września minęły dość spokojnie, jeśli nie liczyć niemieckiej próby wysadzenia desantu (około godziny 23.00) w celu wysondowania polskiej obrony przez walkę<sup>46</sup>. Gorsze było jednak to, iż obrońcy Westerplatte zdali sobie tego dnia sprawę, że całe Wybrzeże, a więc i oni, zostało odcięte od reszty Polski.

4 września rozpoczął się o godzinie 4.00 zmasowaną kanonadą artyleryjską z pancernika „Schleswig-Holstein” oraz dział niemieckich z Brzeźna i Wisłoujścia, skierowaną na koszary i wartownie. Niemcy chcieli złamać ducha obrońców i wykończyć ich nerwowo, ale jak wspominał kpt. Dąbrowski: „Zdążyliśmy się już przyzwyczaić do tego rodzaju rozpoczynania dnia”<sup>47</sup>. Po tym ostrzale ruszył silny zwiad niemiecki na placówkę „Tor kolejowy” i wartownię nr I. Nieprzyjaciel próbował zaskoczyć obrońców i jeżeliby się to udało, opanować te dwa przyczółki na terenie Składnicy. Polacy przyjęli go silnym ogniem krzyżowym z broni maszynowej. Zwiadowcy znaleźli się w kleszczach i musieli ustąpić, ponosząc duże straty<sup>48</sup>. Takie pozorowane ataki miały na celu osłabienie polskiej obrony. Niemcy nie spieszyli się z generalnym rozstrzygnięciem, gdyż uważali — nie bez racji — że wycieńczona załoga i tak prędzej czy później będzie musiała skapitulować. Starali się o stałe utrzymywanie obrońców w stanie męczącego pogotowia, a to w połączeniu z ostrzałem i brakiem wypoczynku

<sup>46</sup> F. Dąbrowski, *Wspomnienia*, s. 113-114; M. Borowiak, *Westerplatte*, s. 87-88.

<sup>47</sup> F. Dąbrowski, *Wspomnienia*, s. 114.

<sup>48</sup> *Tamże*, s. 114-115; M. Borowiak, *Westerplatte*, s. 88-89.

oraz jedzenia powodowało wyczerpanie nerwowe — i o to właśnie niemieckim sztabowcom chodziło<sup>49</sup>.

Polacy trwali na stanowiskach bojowych już czwarty dzień bez przerwy. Brakowało im ciepłej strawy, gdyż w koszarach kuchnia mogła funkcjonować tylko w nocy, ażeby dym z komina nie ściągał na zrujnowany budynek ognia artylerii niemieckiej. Poza tym nie bardzo było już z czego gotować. Zapasy żywności wyczerpywały się szybko. To, co znajdowało się w kasynie i w magazynach koszarowych, szybko zjadano, a na jakiegokolwiek dostawy z zewnątrz nie było co liczyć z powodu szczelnej blokady niemieckiej. Żołnierze żywili się zatem przede wszystkim konserwami (na zimno) i sucharami. Od czasu do czasu, głównie w nocy, przynoszono im z koszar gorącą zupę i kawę. Na co dzień pili głównie wino z zapasów, jakie jeszcze były w kasynie, lub surową wodę z kałuż, bo innej nie było. Takie niedożywienie powodowało u wielu osób kłopoty żołądkowe i odwodnienie. To z kolei wywoływało brak koncentracji i zasypianie na posterunkach oraz narastającą frustrację.

Kolejnym problemem był brak wypoczynku. Ludzie, czuwający na stanowiskach kilka dni bez zmiany i przerwy, nie wytrzymywali napięcia nerwowego, jakie im ciągle towarzyszyło. Miało to miejsce szczególnie 4 i 5 września, kiedy Niemcy nasilili ostrzał artyleryjski i wypadły patroli na pozycje polskie. Nieustanny ostrzał, pozorowane ataki niemieckie z różnych stron, które trzeba było odpierać, brud, brak snu i ciepłego pożywienia — i tak bez ustanku. W tych warunkach niejednokrotnie zdarzało się, że niektórzy obrońcy chcieli iść z wartowni i placówek do koszar, żeby się wreszcie porządnie najeść, wyspać oraz umyć, choćby bez rozkazu przełożonych. Wśród żołnierzy rozpowszechnił się mit, że ci, co są w koszarach, mają

<sup>49</sup> M. Borowiak, *Westerplatte*, s. 89.

lepiej od tych, co na pierwszej linii<sup>50</sup>. Ppor. Zdzisław Kręgielski, dowódca placówki „Przystań”, wspomina:

„Wysłałem z rannymi właśnie tych dwóch, którym wydawało się, że koszary to raj, a placówka piekło. Gdy odchodzili, poradziłem im, by przyjrzeni się dobrze warunkom w koszarach (...). Nieświadomie zastosowałem doskonałą metodę. Po godzinie wrócili. Odechciało im się koszar. Przekonali się, że mimo stałego narażania życia na placówce lepiej być na otwartej przestrzeni, aniżeli patrzeć na to, co się dzieje w koszarach. Przebywanie z rannymi, kontuzjowanymi i nerwowo rozstrojonymi żołnierzami może najsilniejszego człowieka załamać”<sup>51</sup>.

W koszarach istotnie nie było lepiej niż na placówkach i w wartowniach. Budynek był kompletnie zrujnowany, podziurawiony jak sito. Niemieckie pociski i bomby poprzebijały i pozawalały stropy. Ppor. Kręgielski zapamiętał taki oto obraz koszar po czterech dniach walki:

„Wszędzie walały się sienniki, rozbite szafy, krzesła i łóżka, którymi zatykano dziury, ażeby ochronić rannych i zdrowych przed odłamkami. Ale niewiele to pomagało. (...) W bocznych pomieszczeniach koło sali jadalnej przytuleni do murów żołnierze. Na nie ogolonych twarzach widać przemęczenie. (...) Korzystając z pobytu w koszarach zajrzałem do wszystkich pomieszczeń. To, co zobaczyłem, przeszło moje oczekiwanie. Ranni leżeli z powodu braku miejsc na noszach, gdzie się tylko dało. Jedyne oświetlenie to nikle światło świeczki. Wszyscy oni bezsilni, niezdolni do walki, czekali cierpliwie na zmianę opatrunków. Zaduch z wytwarzającej się gangreny zapierał dech w piersiach. Po-

<sup>50</sup> *Tamże*, s. 89-90.

<sup>51</sup> Relacja ppor. Z. Kręgielskiego, w: *Westerplatte wspomnienia*, zebrał, opracował i wstępem opatrzył Z. Flisowski, s. 171-172. Nawet w filmie fabularnym pt. *Westerplatte* uwidoczniła jest ta znamienna scena.

rucznik Pająk leżący na noszach wyglądał jak szkielet. Sam widok stanu rannych odbierał co najmniej połowę pozostałej jeszcze silnej woli i odporności”<sup>52</sup>.

Życie koncentrowało się już tylko na parterze i w piwnicach koszar, gdzie przebywali oficerowie. Kpt. Dąbrowski trzymał wszystko twardą ręką i udawał, że jest dobrze, była to jednak dobra mina do coraz gorszej gry. Wszyscy byli już bardzo przemęczeni. Doktor Słaby robił, co mógł dla swoich rannych, ale coraz mniej mógł, bo brakowało mu lekarstw, a także sił — dosłownie padał z nóg z wyczerpania. Tymczasem do jego prowizorycznego lazaretu wciąż znoszono nowych rannych z pierwszej linii, a on nie mógł zrobić niczego, aby ich ocalić. W tych warunkach jako pierwszy sugerował w tych dniach kapitulację.

W wielu publikacjach na temat Westerplatte pisze się o tym, że na poddanie nalegał także mjr Sucharski. Prawda jednak była nieco inna od tej, którą oficjalnie znamy. Nie miał o tym odwagi napisać otwarcie nawet kpt. Dąbrowski, a zresztą jego wspomnienia i tak były cenzurowane. Naprawdę mjr Sucharski w dalszym dowodzeniu obroną nie uczestniczył. Według bardzo wielu relacji tych, którzy go w tamtych dniach widzieli, był to człowiek zupełnie załamany, który albo siedział w milczeniu, albo chodził po korytarzach, powtarzając ciągle: „Co z nami będzie?”. Dąbrowski i Gródecki — teraz faktycznie dowódcy Westerplatte — oraz Słaby wręcz musieli go izolować od żołnierzy, żeby nie widzieli komendanta w takim stanie, a także nie ulegali szerzonym przez niego nastrojom defetyzmu<sup>53</sup>. Oficerowie ci obawiali się zbyt wczesnego załamania obrony, bojąc się, że Niemcy wymordują wszystkich westerplatczyków. Ich celem już nie było utrzymanie się aż do końca, ale honorowa kapitulacja, do której trzeba było przekonać nieprzyjaciela twardym oporem, ażeby nabrał do Polaków szacunku.

<sup>52</sup> *Tamże*, s. 170-171.

<sup>53</sup> M. B o r o w i a k, *Westerplatte*, s. 91-96.

O godzinie 17.00 5 września mjr Sucharski zwołał odprawę oficerów i podoficerów, na której po raz pierwszy oficjalnie postawił problem kapitulacji (co ciekawe, nie zaprosił na nią kpt. Dąbrowskiego). Za niezwłocznym poddaniem się głosowali tylko sam major i kpt. Słaby — obaj z zupełnie innych powodów. Reszta chciała się bić dalej<sup>54</sup>.

Tego dnia wieczorem znów doszło do przypadkowego spotkania ppor. Kręgielskiego z mjr. Sucharskim. Major w dramatycznych słowach odmalował położenie załogi i cały czas naciskał (przez Kręgielskiego) na swoich podwładnych, ażeby nie upierali się przy dalszej walce. Miało to pewne znamiona ukrytego puczu przeciwko reszcie oficerów — z kpt. Dąbrowskim na czele — którzy chcieli dalej walczyć.

W nocy z 5 na 6 września, około godziny 22.00, niemieckie okręty wojenne oświetliły reflektorami cały teren Westerplatte. Było jasne, że obrońcy są na terenie Składnicy Tranzytowej jak na patelni i kolejny dzień może okazać się rozstrzygający dla dalszej obrony<sup>55</sup>. Niemcy jednak, swoim zwyczajem, nie ryzykowali nocnych ataków na polskie pozycje. Wybuchową niespodziankę szykowali dopiero nad ranem.

Około godziny 3.00 polscy żołnierze usłyszeli zgrzyt w okolicy toru kolejowego. Początkowo sądzili, że Niemcy wprowadzają do walki czołgi. Postawiono w stan pogotowia załogi wartowni nr I oraz nr II. W wartowni nr II było jedno z dwóch działek przeciwpancernych, jakie posiadała załoga Westerplatte. Jakoś po dłuższej chwili z mgły porannej wyłonił się wagon kolejowy-cysterna, podłączany do polskich stanowisk przez lokomotywę. W chwilę potem Polacy zrozumieli, o co chodzi. Niemcy usiłowali podpalić polskie stanowiska oraz las na Westerplatte. Gdyby im się

<sup>54</sup> *Tamże*, s. 91-92.

<sup>55</sup> *Tamże*, s. 93.

to udało, mogliby zniemacka zaatakować teren Składnicy i zdobyć go tanim kosztem, gdyż Polacy w pożarze nie broniliby się zbyt zaciekle. Jednakże polska obrona i tym razem nie dała się nieprzyjacielowi zaskoczyć. Celny strzał z działka oraz serie z cekaemu spowodowały wybuch cysterny daleko od polskich pozycji i pożar na stanowiskach niemieckich, co skutecznie uniemożliwiło Niemcom jakiegokolwiek natarcie i przyniosło im duże straty.

W tym samym czasie inne oddziały niemieckie usiłowały podpalić las na Westerplatte od strony morza i kanału portowego, ale miotacze ognia, których do tego celu użyto, nie wyrządziły obrońcom większej szkody, gdyż las na Westerplatte był już spalony i spustoszony przez pociski. Nie miało się tam co palić, a jednocześnie Polacy z daleka widzieli wroga i mogli zawczasu reagować na jego posunięcia. W trakcie tych walk zniszczono budynki stacyjne na południowo-wschodnim krańcu Westerplatte, co można uznać za jedyny sukces niemiecki w tym czasie.

Po porannej klęsce Niemcy wrócili do gwałtownego ostrzału półwyspu. Tym razem ogień szedł na koszary i wszystkie wartownie. Gmach koszar został kompletnie zniszczony. Obawiano się o zawalenie budynku i pogrzebanie załogi i rannych pod jego gruzami, jeżeli ostrzał potrwa jeszcze choćby jeden dzień. Brakowało już nie tylko lekarstw, ale i żywności oraz wody pitnej. To samo było w wartowniach. Doktor Słaby poważnie niepokoił się, że niebawem wybuchnie epidemia. Wszyscy mieli już dość i trzymali się resztką sił.

Na dodatek kpt. Dąbrowski, będący stale na nasłuchu radiowym, dowiedział się, że Niemcy, pomimo twardego oporu Wojska Polskiego, nieustannie posuwają się na całym froncie naprzód. Stwierdził, że umilkło Polskie Radio w Poznaniu, Toruniu, Katowicach i Częstochowie. Słyszał, że Niemcy szybko podchodzą pod Kraków i Łódź, których nikt nie bronił. Wiedział, że Armia „Pomorze”

została rozbita i w ciężkich walkach cofa się w stronę Łodzi. Rozumiał, że Wybrzeże zostało odcięte od reszty Polski. Wiedział, że ani płk Dąbek w Gdyni, ani tym bardziej kontradm. Unrug na Helu nie są w stanie udzielić mu żadnej pomocy. 6 września po południu radio poinformowało o pojawieniu się niemieckich czołgów pod Różanem, a więc nie tak daleko od Warszawy. Same pozdrowienia i podziw dla obrońców Westerplatte ze strony Naczelnego Wodza, Edwarda Rydza-Śmigłego, nie mogły poprawić w niczym sytuacji obleżonej załogi, gdyż poparcie słowne nie jest w stanie zastąpić ciepłej stawy i snu. Anglicy jakoś nie nadchodzili z odsieczą. Na Bałtyku wciąż było widać tylko niemieckie okręty, a w powietrzu tylko niemieckie samoloty. Dalsza obrona traciła sens. Mogła zakończyć się rzezią obrońców, a tego ani kpt. Dąbrowski, ani por. Gródecki na pewno nie chcieli.

Okolo godziny 20.00 Niemcy znowu podtoczyli pod Westerplatte aż dwie cysterny z materiałem palnym, usiłując podpalić las oraz polskie pozycje. Również tym razem Polacy nie dali się zaskoczyć i obie zniszczyli. Pożar, co prawda, wybuchł bardzo gwałtownie, ale ponieważ nie miał co trawić (jak wspomniałem, las był mocno przetrzebiony przez niemieckie bombardowania z poprzednich dni), zgasł sam po kwadransie i nie wyrządził Polakom większej szkody. Natomiast w wybuchu cystern i w pożarze mocno ucierpieli niemieccy saperzy<sup>56</sup>. Wszystko to zapowiadało atak w następnym dniu. Nie było go już czym odeprzeć, gdyby Niemcy uderzyli tak jak 1 września.

W późnych godzinach wieczornych 6 września odbyła się w podziemiach koszar kolejna narada oficerów z Westerplatte. Sytuacja była już na tyle trudna, że nawet kpt. Dąbrowski tym razem poważnie rozważał możliwość kapitulacji i jej nie wykluczał. Przeważało zdanie doktora

<sup>56</sup> *Tamże*, s. 93-95.

Słabego, który rzucił na szalę życie leżących rannych. Kolejne dni, a nawet godziny oznaczały dla nich wszystkich śmierć, za którą on — lekarz wojskowy — nie chciał brać odpowiedzialności. Pod jego presją zdecydowano się rozpocząć rozmowy kapitulacyjne już następnego dnia rano. Obrona Westerplatte odegrała już swoją rolę<sup>57</sup>.

Na razie oficerowie rozeszli się na swoje stanowiska bojowe. Żołnierze, mimo wyczerpania do granic wytrzymałości, czuwali całą noc gotowi do walki. Nie wiedzieli o decyzji kapitulacji i nie chcieli się poddawać, bo amunicja jeszcze była, a od strony morza cały czas wyglądano angielskich okrętów z pomocą. Tylko oficerowie wiedzieli, jak naprawdę wygląda sytuacja oblężonych i całej Polski. Ostatnia noc obrony Westerplatte minęła spokojnie. Niemcy trzymali się z daleka od polskich pozycji, nie prowokując starcia. Nabrali już do nas respektu.

Okolo godziny 4.00 nad ranem na Westerplatte spadł znowu grad pocisków artyleryjskich i moździerzowych. Niemcy planowali na ten dzień ostateczną rozprawę z Polakami. Po nawale artyleryjskiej i pozorowanych atakach z kilku stron jednocześnie miał nastąpić decydujący szturm, poprzedzony podpaleniem resztek lasu za pomocą jeszcze większej liczby cystern z materiałem palnym i miotaczy ognia. Dowództwo niemieckie chciało tym razem zmusić Polaków do kapitulacji przez usmażenie żywcem, podobnie jak to było kilka dni wcześniej z obrońcami Poczty Polskiej w Gdańsku. Wszystko było już do tego szturmego przygotowane. Berlin naciskał na szybkie przyłączenie całego Gdańska do Rzeszy, a wrzód polski w postaci Westerplatte psuł ten piękny, propagandowy obraz. Hitler miał już dość tej kompromitacji swoich oddziałów, które od tyłu dni nie mogły zdobyć małej placówki wroga w centrum ziem „odwiecznie niemieckich”.

<sup>57</sup> *Tamże*, s. 95-99.



Jakież było zaskoczenie dla wszystkich niemieckich oficerów, gdy między godziną 9.00 a 10.00 rano dostrzegli nad koszarami białą chorągiew, której tym razem nikt nie zerwał. Kmdr Kleikamp był wściekły, że Polacy nie dali mu się wykazać przed Hitlerem i na złość poddali się pierwsi. Nie pozostawało mu jednak w tej sytuacji nic innego, jak tylko biernie czekać na parlamentariuszy z polskiej strony. Nad niedawnym polem walk zaległa raptem śmiertelna cisza.

Tymczasem polska załoga Westerplatte zebrała się przed ruinami koszar. Do zebranych przemówił kpt. Dąbrowski, przedstawiając decyzję o kapitulacji i tłumacząc ją ogólnym położeniem Wybrzeża oraz stanem rannych. Następnie delegacja parlamentariuszy z białą flagą udała się do Niemców z prośbą o przyjęcie kapitulacji. Żołnierze i podoficerowie nie bardzo chcieli się poddawać, gdyż liczyli jeszcze, że lada chwila nadejdzie pomoc angielska, ale rozkaz Sucharskiego i Dąbrowskiego był nieodwołalny.

Niemcy uszanowali bohaterstwo przeciwnika. Mjr. Sucharskiemu pozwolono zachować szablę lub też mu ją podarowano<sup>58</sup>. Co ciekawe, byli oni święcie przekonani, że dowódcą obrony półwyspu był nie mjr Sucharski, lecz kpt. Dąbrowski, który dokonał oficjalnego przekazania Westerplatte siłom okupacyjnym i nadzorował złożenie broni przez kapitulującą załogę. Niemieckie oddziały przejęły teren, a wziętych do niewoli obrońców przewieziono miejskimi autobusami do Gdańska i osadzono tymczasowo w dobrze strzeżonym hotelu, zamienionym na przejściowy obóz jeniecki.

Podobno już w niewoli mjr Sucharski twierdził, że szabla za męstwo należy się nie jemu, lecz Dąbrowskiemu i że on po wojnie zezna o tym całą prawdę. Słowa jednak, jak wiemy, nie dotrzymał; Melchior Wańkowicz nie do-

<sup>58</sup> *Tamte*, s. 100-102.

wiedział się nigdy z jego ust całej prawdy o Westerplatte. To wszystko dobitnie świadczy o tym, iż mjr Henryk Sucharski w rzeczywistości był postacią tragiczną; na pewno nie był bohaterem i człowiekiem honoru, na jakiego sztucznie kreowano go po wojnie.

Obrona Westerplatte stała się symbolem oporu Polaków w tej wojnie. Dobremu przygotowaniu żołnierzy do walki należy zawdzięczać stosunkowo niewielkie straty wśród obrońców. Zginęło ich około dwudziestu (21-23), w tym i ci, którzy zostali rozstrzelani 2 września przez swoich za odmowę dalszej walki po bombardowaniu lotniczym. Trzydziestu dziewięciu było lekko i ciężko rannych. To istotnie niewielu, jak na tak ciężkie walki przez sześć i pół dnia. To zaś bez wątpienia zasługa kpt. Dąbrowskiego, który tych żołnierzy szkolił i nimi dowodził. Straty niemieckie były dużo większe, wyniosły pięćdziesięciu zabitych oraz stu pięćdziesięciu rannych i kontuzjowanych. Jak na taką przewagę, była to totalna kompromitacja niemieckich dowódców.

Westerplatte nie odegrało istotnej roli militarnej w tej wojnie, ale było przez siedem dni polskimi Termopilami. Po wojnie obrońców placówki nie czekał, niestety, los godny ich męstwa. W większości zmarli w biedzie, zapomniani przez wszystkich<sup>59</sup>. Do roli symbolu Westerplatte urósł pośmiertnie niefortunny major — Henryk Sucharski, który na tak wielkie zaszczyty z pewnością nie zasłużył. Niech ta książka zatem przypomni jego podkomendnych z kpt. Franciszkiem Dąbrowskim na czele — prawdziwych bohaterów tej obrony. Jednakże z całym przekonaniem jeszcze raz podkreślę, że wszyscy oni bardziej przydaliby się Polsce pod dowództwem płk. Stanisława Dąbka w Gdyni.

<sup>59</sup> *Tamże*, s. 113-164.

## **SAMOTNY BÓJ GDYNI I OKSYWIA (1-19 WRZEŚNIA)**

---

Na urągowisko zakrawało to, że jedyny polski port na Bałtyku — Gdynia z główną bazą Polskiej Marynarki Wojennej na Kępie Oksywskiej — w ogóle nie był przygotowany do obrony na wypadek wojny z Niemcami, którzy przecież byli o miedzę i gdzie jak gdzie, ale na Pomorzu zagrożenie z ich strony było przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego dostrzegalne gołym okiem. Już w momencie podjęcia decyzji o budowie portu w Gdyni (1923 r.) postulowano jego ufortyfikowanie, ale że Polska była biedna i pieniądze na różne inwestycje trzeba było umiejętnie dzielić i stale ich brakowało, plany te pozostały tylko na papierze. Dopiero wiosną i latem 1939 r., kiedy wojna z Niemcami zbliżała się już wielkimi krokami, podjęto decyzję o ufortyfikowaniu rejonu Gdyni i Oksywia.

W tym celu 31 lipca przybył do Gdyni i zabawił tam do 1 sierpnia dowódca wojsk polskich na Pomorzu, który na stałe kwaterował w Toruniu, gen. Władysław Bortnowski, protegowany marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego<sup>1</sup>.

Po zlustrowaniu okolic miasta oraz Kępy Oksywskiej wydał on ustne polecenie, potwierdzone następnie pisem-

<sup>1</sup> Gen. dyw. Władysław Bortnowski — we wrześniu 1939 r. dowódca Armii „Pomorze”.

nym rozkazem z 5 sierpnia 1939 r., o przeprowadzeniu prac fortyfikacyjnych w tym rejonie oraz o zadaniach poszczególnych jednostek, które miały bronić Gdyni. Gen. Bortnowskiemu szczególnie zależało na umocnieniu Kępy Oksywskiej, gdzie należało: „(...) przystąpić natychmiast do opracowania dokładnego projektu taktyczno-fortyfikacyjnego, zwracając szczególną uwagę na wybór stanowisk broni ciężkiej, dla której będzie przewidziana budowa obiektów betonowych”<sup>2</sup>.

Niestety, na realizację tych planów zabrakło już czasu. Wojna w pewnym sensie zaskoczyła Polaków w Gdyni podczas prowadzenia prowizorycznych prac fortyfikacyjnych. Zamiast umocnień betonowych, które zaplanowano, udało się wykonać tylko prowizoryczne umocnienia ziemne. Te okopy nie mogły dać żołnierzom schronienia przed ostrzałem ciężkiej artylerii okrętowej z morza, a tym bardziej przed atakami lotniczymi. Paradoks sytuacji polegał dodatkowo na tym, że marsz. Rydz-Smigły z gen. Wacławem Stachiewiczem<sup>3</sup> postawili przed obrońcami Gdyni i Oksywiu zadania niewykonalne, a na dodatek ich realizację zwalili tylko i wyłącznie na barki Marynarki Wojennej, a konkretnie na kontradm. Józefa Unruga, nie dając mu żadnych środków na wywiązanie się z tych zadań. Kontradmirał wykazał maksimum zaradności, przemyślności i sprytu, żeby chociaż w przybliżeniu osiągnąć cele wyznaczone przez Warszawę na wypadek wojny z Niemcami, a były to cele następujące:

„I. Zadania na morzu:

Przeszkadzać w komunikacji morskiej między Rzeszą a Prusami Wschodnimi.

<sup>2</sup> *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, t. I, *Kampania wrześniowa 1939*, cz. 5, Londyn 1962, s. 75.

<sup>3</sup> Gen. dyw. Wacław Teofil Stachiewicz — w latach 1935-1939 szef Sztabu Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, czyli druga osoba w Wojsku Polskim po marsz. Rydzu-Smigłym. Odpowiedzialny za koncepcje obrony Polski we wrześniu 1939 r.

## II. Zadania na Wybrzeżu:

a) Bronić Helu jako zasadniczej bazy dla Marynarki Wojennej.

b) Bronić rejonu Gdyni w ten sposób, by: — nie dopuścić do jego zaskoczenia,

— umożliwić mobilizację Floty i przesunięcie wyposażenia, znajdującego się w Gdyni, na Hel,

— jak najdłużej uniemożliwić nieprzyjacielowi swobodne korzystanie z szosy i linii kolejowej Wejherowo-Gdynia oraz nie dopuścić do umieszczenia artylerii dalekonośnej w rejonie Oksywia dla ostrzeliwania Helu.

c) Na pozostałej części przedpola utrudnić nieprzyjacielowi posuwanie się przy pomocy zniszczeń<sup>4</sup>.

Na ironię zakrawa fakt, że powyższy rozkaz został wydany dopiero 30 lipca 1939 r., a więc na miesiąc przed wybuchem wojny. Najwidoczniej sztabowcy z Warszawy w ogóle nie zdawali sobie sprawy z rzeczywistej sytuacji na Wybrzeżu albo celowo skazywali żołnierzy i marynarzy podległych Unrugowi na zagładę! Brzmi to jak bredzenie szaleńca, ale takie są fakty. Wszystko, co dowództwo Obrony Wybrzeża mogło przeciwstawić atakującej sile niemieckiej na Pomorzu, to zaledwie dwa morskie bataliony strzelców, przed samą wojną rozbudowane w pułki (po dwa bataliony każdy), czyli w przybliżeniu około 7000 żołnierzy, co jako żywo nie wystarczało do skutecznego obsadzenia rejonów Gdyni i Helu przeciwko wielotysięcznej przewadze nieprzyjaciela. Jeszcze większa przewaga niemiecka na morzu i w powietrzu uniemożliwiała skuteczną realizację planów Naczelnego Dowództwa z Warszawy<sup>5</sup>.

<sup>4</sup> *Polskie Sity Zbrojne*, t. I, cz. 5, s. 73-74.

<sup>5</sup> Polacy mieli na Bałtyku 4 niszczyciele, 5 okrętów podwodnych, 1 stawiacz min, 6 trałowców, 2 kanonierki oraz 1 torpedowiec. Morski dywizjon lotniczy, stacjonujący w Pucku, miał do dyspozycji zaledwie 22 przestarzałe wodnopląty. To było wszystko, czym mogliśmy walczyć w 1939 r. na morzu i w powietrzu. Tymczasem Niemcy mogli rzucić

W tych warunkach Dowództwo Marynarki Wojennej musiało sobie radzić samo. Kontradm. Józef Unrug robił, co mógł, żeby podnieść obronność rejonu Gdyni. Że to mu się poniekąd udało, jest cudem organizacji i improwizacji. Jego podkomendni zaczęli szukać rezerw broni w składach i oddziałach Marynarki Wojennej nie tylko na Wybrzeżu, ale także w Modlinie i Pińsku — bazach Flotylli Rzecznej na Wiśle i Prypeci. Ostatecznie, tuż przed samą wojną, zorganizowano 4 działa kalibru 105 mm, 11 dział 75 mm, 30 działek małych, 8 moździerzy, 124 karabiny maszynowe i 3025 karabinów ręcznych różnych typów<sup>6</sup>. Z Warszawy przysłano do Gdyni dwie rezerwowe kompanie saperów z Puław, liczące po 62 żołnierzy każda. Wszystko razem dawało, jak już stwierdziłem powyżej, zaledwie 5000 do 7000 żołnierza, najczęściej pochodzącego z różnych jednostek tyłowych, przeważnie rezerwistów i członków organizacji paramilitarnych. To wszystko, wliczając pierwszą baterię nadbrzeżną na Oksywiu, złożoną z dwóch starych dział francuskich kalibru 100 mm, a także pierwszy morski dywizjon artylerii przeciwlotniczej z 6 działkami kalibru 75 mm i 6 ciężkimi karabinami maszynowymi, miało — w oparciu o umocnienia połowę, budowane w Gdyni

przeciwko nam całe dywizjony, a nawet pułki z I Floty Powietrznej, rozlokowanej na Pomorzu Zachodnim i w Prusach Wschodnich. Jej siły liczyły 800 samolotów bojowych, a w tej liczbie 500 bombowców i 180 bombowców nurkujących oraz 120 myśliwców. Flota niemiecka na Bałtyku, operująca z baz w Świnoujściu i Piławie, dysponowała 5 pancernikami, 3 pancernikami „kieszonkowymi”, 6 krążownikami, 34 niszczycielami i torpedowcami, 57 okrętami podwodnymi oraz dużą liczbą mniejszych jednostek. Liczby te podaję za Edmundem Kosiarzem, *Obrona Kępy Oksywskiej 1939*, Warszawa 1984, s. 12-14.

<sup>6</sup> E. Kosiarz, *Sabwy nad Zatoką*, Gdańsk 1980, s. 30-57. W większości były to, gdy chodzi o broń strzelecką, stare karabiny z czasów poprzedniej wojny, produkcji rosyjskiej, austriackiej i francuskiej. Amunicji do tego wszystkiego było na około czternaście dni obrony. Pozwoliło to na sformowanie dodatkowych jednostek ochotniczych dla obrony Gdyni. Ale to i tak była kropla w morzu potrzeb.

i na Oksywiu dosłownie za pięć dwunasta, bo dopiero w dniach 8-21 sierpnia 1939 r. — powstrzymać niemieckie ataki na Gdynię.

Nie dziwota, że trzeźwy Prusak ze starej szkoły wilhelmińskiej, kontradm. Józef Unrug, przezornie wolał wczasu przenieść swoje miejsce dowodzenia na znacznie bardziej umocniony i przygotowany do obrony Hel, gdzie skupił większość marynarzy z podległego sobie garnizonu. Unrug wyjechał na Hel 31 sierpnia, choć w niektórych publikacjach i relacjach polskich można znaleźć stwierdzenie, jakoby przebywał tam ze swoim sztabem już od 27 sierpnia. Dowództwo obrony rejonu Gdyni i Oksywia przekazał w ręce płk. Dąbka, ściągniętego do Gdyni 24 sierpnia ze Złoczowa pod Lwowem<sup>7</sup>.

Płk Stanisław Dąbek w 1939 r. liczył sobie 47 lat. Był to weteran z byłej armii austro-węgierskiej, mający za sobą front włoski z czasów pierwszej wojny światowej oraz wojnę z bolszewikami z lat 1919-1921. W dotychczasowej służbie w Wojsku Polskim miał opinię świetnego dowódcy, a dowodził już w Lublinie, Chełmie i Złoczowie. Poza tym był cenionym wykładowcą wojskowym i organizatorem Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty w Zambrowie. O jego zamiłowaniu do dyscypliny i drobiazgowego przestrzegania regulaminu krążyły legendy. Był bardzo zasadniczy i wymagający wobec podwładnych, ale wymagał także od siebie i podwładni go za to lubili. Gen. Władysław Bortnowski znał go osobiście z czasów lubelsko-chełmskich (Stanisław Dąbek w tym okresie był jego podwładnym) i to zapewne on zaprotegował go na dowódcę garnizonu gdyńskiego, kiedy Józef Unrug zdecydował się okopać na Helu. Władysław Bortnowski z pewnością sądził, że Stanisław Dąbek, jako świetny organizator i tęgi frontowiec z austriackiej szkoły wojen-

<sup>7</sup> S. S t r u m p h - W o j t k i e w i c z, *Alarm dla Gdyni*, Warszawa 1982, s. 52.

nej, poradzi sobie z tym zadaniem, a przy okazji lepiej dogada się z weteranem armii pruskiej, Józefem Unrugiem, niż jakiś były oficer carski lub — co nie daj Boże — weteran Pierwszej Brygady<sup>8</sup>.

Sam Władysław Bortnowski, w latach międzywojennych wykształcony we francuskich szkołach wojennych, nie najlepiej współpracował z pruskim dowódcą Polskiej Marynarki Wojennej. O wiele lepiej zapewne by było, gdyby Edward Rydz-Smigły wyznaczył na dowódcę Armii „Pomorze” jakiegoś generała z austriackim rodowodem, np. Franciszka Kleeberga lub któregoś z braci Hallerów (najlepiej Józefa, gdyż ten wyzwalał Pomorze w latach 1919-1920 i był tam poważany oraz lubiany). Ale Rydz-Smigły faworyzował tylko swoich kolegów legionowych, a chadeków Hallerów i endeka Kleeberga wołał trzymać z daleka od odpowiedzialnych funkcji wojskowych. To miało się już niedługo zemścić na obronie Wybrzeża oraz całego Pomorza. Gdyby siłami polskimi dowodzili tam wymienieni powyżej generałowie z prawdziwego zdarzenia, a nie przyuczony legionista, obrona nasza byłaby, być może, lepiej zor-

<sup>8</sup> Faktem jest, że zarówno kontradm. Unrug, jak i płk Dąbek, chociaż wysoko cenili marsz. Piłsudskiego, obaj serdecznie nienawidzili pilsudczyków z ich wywyższaniem się ponad innych zawodowych oficerów z armii zaborczych oraz nieuctwem wojskowym. Trzeba przyznać, że i Prusacy, i Austriacy szkolili swoich oficerów na najwyższym poziomie. Tacy fachowcy, jak generałowie Tadeusz Kutrzeba, Franciszek Kleeberg, bracia Hallerowie czy płk Stanisław Dąbek z armii austro-węgierskiej lub właśnie Józef Unrug z armii niemieckiej, byli najlepszymi dowódcami większych i mniejszych jednostek Wojska Polskiego w sytuacjach najtrudniejszych, czego dowiedli we wrześniu 1939 r. Armia rosyjska dużo gorzej szkolila swoje kadry oficerskie i na innych zasadach. Najgorzej było z byłymi oficerami legionowymi, bo ci nie dość, że byli amatorami w zakresie wojskowości (z chlubnym wyjątkiem gen. Kazimierza Sosnkowskiego), to jeszcze uczyć się nie bardzo chcieli, a mieszały się do wszystkiego i wymądrzali na każdym kroku. Sam marsz. Edward Rydz-Smigły był z wykształcenia artystą malarzem, zresztą niezłym, a marsz. Józef Piłsudski miał za sobą tylko nieskończone studia medyczne.



ganizowana, twardsza i dłuższa. Oto opinia na ten temat pióra Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, badacza obrony Wybrzeża w 1939 r.:

„Cały obszar nadmorski został uzależniony od dowódcy floty, ten zaś podlegał Kierownictwu Marynarki Wojennej w Warszawie, a podczas wojny — bezpośrednio naczelnemu wodzowi.

Skutków takiego układu było wiele, a z nich szczególnie groźne okazały się dwa: zlekceważenie obronności na wypadek niemieckiej inwazji od zachodu oraz uzależnienie skromnych sił lądowych od kwatermistrza floty i stosowanej przez niego tzw. drogi służbowej.

Dodajmy — co należy tu mocno podkreślić — Kierownictwo Marynarki Wojennej w Warszawie i Dowództwo Floty w Gdyni kładły główny nacisk na rozwój floty, niewiele interesując się stanem lądowej obrony Wybrzeża, a przecież w przypadku wojny z Niemcami największe niebezpieczeństwo groziło obszarowi nadmorskiemu od strony lądu. Naczelne władze wojskowe także nie przywiązywały większej wagi do obrony lądowej Wybrzeża, pozostawiając te sprawy Marynarce Wojennej. Istne błędne koło! Co więcej, ani Kierownictwo Marynarki Wojennej, ani naczelne władze wojskowe nie zatroszczyły się o opracowanie planów obrony Wybrzeża od strony lądu. Istniały wprawdzie plany mobilizacyjne, ale dla powołanych do wojska ludzi nie zgromadzono na Wybrzeżu dostatecznej ilości uzbrojenia. Marynarce Wojennej obce były zresztą potrzeby wojsk lądowych, przy tym traktowano je jako pośledniejszą część sił zbrojnych<sup>9</sup>.

Wobec powyższego lądowa obrona Wybrzeża, której dowództwo powierzono w ostatniej chwili płk. Dąbkowi, była skazana na zagładę. Nikt nie liczył na realne współdziałanie pomiędzy armią gen. Bortnowskiego na Pomorzu,

<sup>9</sup> S. Strumph-Wojtkiewicz, *Alarm dla Gdyni*, s. 65.

garnizonem Gdyni i okolic płk. Dąbka oraz załogą Helu kontradm. Unruga. W przededniu wojny wiadomo było, że na dłuższą obronę ma szansę tylko twierdza helska, znośnie przygotowana do dłuższej obrony (nie tak łatwo dostępna od strony lądu jak Gdynia) obsadzona silną załogą (w ostatnich tygodniach przed wybuchem wojny skierowano na Hel nawet batalion Korpusu Ochrony Pogranicza)<sup>10</sup>. Płk Dąbek miał w Gdyni i okolicach (Wejherowo, Puck i Kartuzy) tylko biedniutki i kombinowane w ostatniej chwili bataliony morskie Obrony Narodowej.

W chwili wybuchu wojny lądowa obrona Gdyni obejmowała bardzo rozległy teren — zbyt rozległy, aby bronić go szczupłymi siłami, jakie miał do dyspozycji płk Dąbek. Pierwsza linia polskiej obrony, złożona tylko z okopów, zniszczeń i zasieków, ciągnęła się na długości około 130 km, poczynając od Jeziora Żarnowieckiego, na południe, wzdłuż granicy polsko-niemieckiej, potem przez Sierakowice, Chmielno i Kartuzy aż do granicy z Wolnym Miastem Gdańskiem. Dalej polskie okopy przygotowano wzdłuż granicy z Gdańskiem na północ aż do morza. Tej linii umocnionej jakże prowizorycznie Polacy zamierzali bronić do momentu wyczerpania sił i odwrotu na drugą, tzw. pośrednią linię obrony, która 1 września nie była jeszcze wykończona. Obejmowała ona przedpoła Gdyni i ciągnęła się od Redłowa do Redy na odcinku około 50 km. Stamtąd zamierzano wycofać się na Kępę Oksywską, a z niej na Hel lub — jeżeli nie byłoby to możliwe — walczyć na Kępie do końca. Miały tego wszystkiego dokonać szczupłe siły Obrony Narodowej i ochotników, liczące do 14 000 ludzi łącznie jak uzbrojonych i wyszkolonych<sup>11</sup>.

Tymczasem w samym tylko Gdańsku Niemcy dysponowali świeżo utworzoną dywizją SS z nowoczesnym

<sup>10</sup> E. Kosiarz, *Obrona Helu w 1939 r.*, Warszawa 1971, s. 28-29.

<sup>11</sup> Tenże, *Bitwy na Bałtyku*, Warszawa 1971, s. 341-342.

uzbrojeniem i silną artylerią, o czym wywiad polski doskonale wiedział. Przewaga była jak jeden do dziesięciu, a wzięwszy pod uwagę niemieckie wsparcie lotnicze i morskie — wielokrotnie większa<sup>12</sup>. Zaiste, trzeba być pozbawionym logicznego rozumowania i nie myśleć po wojskowemu, żeby obrońcom Gdyni powierzać takie zadanie. Dowodzi to jak najdobitniej, że w Warszawie nikt poważny i realny nie myślał o obronie polskiego Wybrzeża. Pozostawiono to płk. Dąbkowi i jego niecałym 7000 regularnego wojska, wspartego w ostatniej chwili przed wybuchem wojny przez dalsze 7000 ochotników spośród mieszkańców Wybrzeża do ostatecznej liczby około 14 000 ludzi. Ta mała armia ochotnicza, lada jak uzbrojona, miała zdaje się odegrać rolę podobną do trzystu Spartan pod Termopilami. Skoro jednak Stanisław Dąbek miał być polskim Leonidasem, to dlaczego nie dano mu większych sił ani środków do zorganizowania obrony z prawdziwego zdarzenia? Odnosi się wrażenie, że cały plan wojny z Niemcami, przygotowywany począwszy od marca 1939 r. przez marsz. Rydza-Śmigłego oraz gen. Stachewicza, był w istocie pospieszną improwizacją, pełną chęciostwa, pobożnych życzeń i pospolitych niedoróbek. Na coś takiego kraj od dawna zagrożony przez Niemcy nie powinien był sobie pozwolić<sup>13</sup>.

W sierpniu 1939 r. podjęto w Warszawie ostateczne decyzje o podziale kompetencji w zakresie obrony polskiego Wybrzeża. Tak więc naczelnym wodzem wszystkich reduct lądowych — Gdyni i Oksywia, Helu oraz Westerplatte — został mianowany kontradm. Józef Unrug, któremu podlegała również cała polska flota wojenna, operująca na Bałtyku. W razie odcięcia Wybrzeża od reszty kraju, co wydawało się nieuniknione, to on brał na siebie odpowiedzialność za całość obrony aż do nadejścia odsieczy

<sup>12</sup> E. Kosiarski, *Obrona Helu*, s. 40-44.

<sup>13</sup> S. Żochowski, *Czy Polska mogła uniknąć klęski*, s. 52-74.

z głębi kraju lub z Wielkiej Brytanii. Józefowi Unrugowi podlegali trzej dowódcy redu — kmdr Włodzimierz Steyer, bezpośredni dowódca obrony Rejonu Umocnionego Hel, płk Stanisław Dąbek w Gdyni i na Oksywiu oraz mjr Henryk Sucharski na Westerplatte. Siły obrońców Wybrzeża przedstawiały się następująco:

„Ogółem stan liczebny polskich sił lądowych po mobilizacji wynosił: ok. 15 000 żołnierzy, ujętych organizacyjnie w 13 batalionów i 1 szwadron kawalerii, oraz kilkanaście kompanii, tworzących w sumie siłę 0 wartości dalszych 5 batalionów. Nie wszystkie jednak oddziały były w pełni uzbrojone. Brakowało nawet ręcznych karabinów, nie mówiąc o pełnym wyposażeniu w broń maszynową i artylerię. Łącznie oddziały broniące wybrzeża dysponowały 361 ręcznymi i 222 ciężkimi karabinami maszynowymi, a więc przeszło trzykrotnie mniejszą liczbą niż Niemcy. Dział polowych miały tylko 20, przeciwpancernych — 23, moździerzy — 22, czyli 4,5 razy mniej niż przeciwnik”<sup>14</sup>.

Z tej liczby największą siłą ludzką dysponował płk. Dąbek — około 14 000 osób; na Helu kmdr Włodzimierz Steyer miał do dyspozycji nieco ponad 1000 ludzi (łącznie z załogami okrętów wojennych operujących na Bałtyku); na Westerplatte mjr. Sucharski dowodził nieco ponad 200 ludźmi. Plan obrony Wybrzeża, opracowany przez kontradm. Unruga, był następujący: główną pozycją obronną wojsk polskich miał być Rejon Umocniony Hel, gdzie miała się znajdować wojenna baza okrętów wojennych i naczelnie dowództwo Obrony Wybrzeża. Dwie pozostałe placówki, czyli Westerplatte oraz Gdynia i Oksywie, miały skupiać na sobie gros atakujących sił niemieckich do momentu, aż uda się wycofać wszystkie zapasy wojenne z Gdyni i Pucka na Hel.

<sup>14</sup> E. Kosiarski, *Obrona Helu*, s. 50-51.

Niemieckie siły lądowe, które miały uczestniczyć w rozgromieniu polskiej obrony, liczyły przeszło 38 000 żołnierzy.

„Wojska te miały 1436 ręcznych i 462 ciężkich karabinów maszynowych, 122 działa polowe, 142 armaty przeciwpancerne i 30 moździerzy. Do ataków lotniczych wydzielono część sił z 1 floty powietrznej oraz lotnictwa morskiego.(...)”

Silnego wsparcia artyleryjskiego nacierającym oddziałom niemieckim miały udzielać okręty Kriegsmarine, zwłaszcza okręt liniowy «Schleswig-Holstein». W tym czasie niemieckie jednostki nawodne i podwodne miały minować podejścia do portów w Gdyni i na Półwyspie Helskim oraz rozciągnąć blokadę wód Zatoki Gdańskiej, aby żaden polski okręt czy też statek nie wymknął się z blokowanego obszaru. Wszystkie okręty i statki miały być bezwzględnie topione bądź odprowadzane do portów niemieckich. Nie zamierzano nawet oszczędzać statków państw neutralnych<sup>15</sup>.

Niemcy, zgodnie z zasadami wojny błyskawicznej, nie zamierzali poświęcać zbyt wiele czasu atakowaniu polskich pozycji nad Bałtykiem, które miały dla nich znaczenie drugorzędne. Jak już pisałem, głównym ich celem na froncie północnym było jak najszybsze rozbicie oddziałów polskich z Armii „Pomorze” i przebicie się przez korytarz pomorski do Prus Wschodnich. Następnym celem była Warszawa. Dowództwo niemieckie słusznie uważało, że odcięte od reszty kraju twierdze pomorskie same się poddadzą chociażby z braku sensu obrony. Floty polskiej Niemcy nie musieli się obawiać, ponieważ jej możliwości bojowe na małym akwenie, jakim jest Bałtyk, były praktycznie żadne.

Wywiad niemiecki informował też o bardzo słabym przygotowaniu polskiego Wybrzeża do obrony. Plany

<sup>15</sup> *Tamże*, s. 42-44.

niemieckie zakładały zniszczenie oporu w Gdyni w ciągu najwyżej dwóch-trzech dni. Następnie, po usadowieniu się na Kępie Oksywskiej, oddziały desantowe nieprzyjaciela, wsparte ogniem artylerii lądowej i okrętowej oraz nalotami bombowymi, miały uderzyć na Hel od strony Zatoki Gdańskiej. Gdyby nie udało się zdobyć Gdyni, Oksywia i Helu z marszu w pierwszych dniach wojny, zamierzano zablokować Polaków małymi siłami i powoli spychać ich ku morzu, a jednocześnie szukać rozstrzygnięcia w głębi Polski.

Kiedy padnie Warszawa — rozumowali sztabowcy niemieccy — i cała armia polska przestanie istnieć pod ciosami Wehrmachtu i Armii Czerwonej, która miała zaatakować Polskę od tyłu, twierdze nadmorskie poddadzą się same, gdyż okaże się, że dalsza walka nie ma sensu. Dlatego wielokrotnie powtarzane w polskich opracowaniach doby powojennej opinie, jakoby obrona Wybrzeża miała jakiś szczególny sens strategiczny w kampanii wrześniowej 1939 r., nie mają potwierdzenia w faktach historycznych. Ani obrońcy Westerplatte, ani ich koledzy na Helu i w Gdyni nie mogli swoim oporem, choćby i najtwardszym oraz najbardziej ofiarnym, zmienić losów tej wojny, którą Polska musiała przegrać. Nie mogły tego również zmienić jakże mizerne działania Polskiej Marynarki Wojennej na Bałtyku, gdyż przewaga niemiecka była zbyt duża.

Opór Wybrzeża mógł mieć jedynie znaczenie moralne dla reszty walczącego kraju. Informacje w polskiej prasie oraz radiu, najczęściej mocno przesadzone, o obronie Westerplatte, Gdyni i Helu krzepiły ducha żołnierzy polskich walczących gdzie indziej, a przede wszystkim ludności cywilnej — przynajmniej do czasu, gdy klęska Polski nie okazała się widoczna w całej pełni.

Tylko powojenna propaganda mogła wmawiać Polakom, że około 15 000 ludzi na Wybrzeżu mogło wpływać znacząco na sytuację na frontach w głębi Polski. Płk Dąbek w Gdyni,

mjr Sucharski i kpt. Dąbrowski na Westerplatte oraz kontradm. Unrug na Helu doskonale wiedzieli, że jeśli szybko nie nadejdzie pomoc z głębi kraju lub z Wielkiej Brytanii, to kapitulacja będzie tylko kwestią czasu. Sprawą honoru żołnierskiego było oczywiście wytrzymać możliwie najdłużej i zadać nieprzyjacielowi jak największe straty. Przewaga Polaków nad Niemcami mogła polegać jedynie na determinacji i lepszym wyszkoleniu żołnierza, który walczył w obronie własnej ziemi przy wsparciu własnego narodu<sup>16</sup>. Tego nie przewidzieli sztabowcy Adolfa Hitlera.

Najważniejszą pozycją dla Polaków w pierwszych dniach wojny miała być nad Bałtykiem Gdynia wraz z Oksywiem. Utrzymanie jej w pierwszej fazie obrony Wybrzeża miało zadecydować, jak długo będzie mógł się bronić Hel

— główna baza Polskiej Marynarki Wojennej, obsadzona przez najlepsze oddziały. Dlatego właśnie te 14 000 ludzi pod rozkazami płk. Dąbka w Gdyni i na Oksywiu miało stawiać nieprzyjacielowi straceńczy opór dotąd, aż flota wywiezie na Hel wszystko, co potrzebne do obrony. Potem planowano ewakuację obrońców Gdyni i Kępy Oksywskiej drogą morską na Hel, gdzie zamierzano bić się razem aż do nadejścia odsieczy brytyjskiej lub ostatecznej kapitulacji po wystrzeleniu amunicji. Płk Dąbek zakładał, że jego siły

<sup>16</sup> Dodajmy w tym miejscu, że wywiad niemiecki ostrzegał przed wojną, iż żołnierz polski jest lepszy od niemieckiego pod względem wyszkolenia i determinacji bojowej. Ewentualne braki techniczne będzie nadrabiał pomysłowością, a polscy oficerowie to w większości fanatycy, przypominający postawą bojową japoński korpus oficerski, więc będą walczyć do końca nawet na straconych pozycjach. Hitler nie brał tego pod uwagę, stąd tak duże straty niemieckie w wojnie z Polską. Żołnierz niemiecki był najczęściej świeży i nieostrzelany (była to przecież pierwsza wojna błyskawiczna w dziejach Niemiec). Bardzo często, jak już pisałem w rozdziale o Westerplatte, żołnierze niemieccy ginęli od własnej artylerii, bomb lotniczych i karabinów maszynowych, na skutek złej koordynacji ataków. Dopiero później, już we Francji, Jugosławii i Rosji, niemieccy dowódcy nauczyli się staranniej przygotowywać ataki na nieprzyjaciela.

regularne, razem z ochotnikami spośród miejscowej ludności, zdołają powstrzymać przeciwnika jakieś dwa tygodnie. Warszawa obiecywała pomoc najdalej w dziesięć do piętnastu dni. Gen. Bortnowski twierdził, że nie da się wyprzeć Niemców z korytarza pomorskiego i po kilku dniach krytycznych przejmie inicjatywę bojową, zmuszając nieprzyjaciela do szybkiego odwrotu na Pomorze Zachodnie. Ogólnie sądzono, że natychmiast po rozpoczęciu wojny polsko-niemieckiej Francuzi zaatakują Niemców nad Renem i wtedy Hitler będzie zmuszony do wycofania większości swoich sił z frontu polskiego<sup>17</sup>.

Nastroj ludności w Gdyni był ogólnie dobry. W razie wojny wszyscy chcieli się bić. Brakowało broni i mundurów dla ochotników płci obojga, ale to nie gasiło ducha w narodzie. Gdzie nie było karabinów, postanowiono spontanicznie zastąpić je kosami osadzonymi na sztorc, jak ongiś za Kościuszki lub w powstaniu styczniowym. Tak właśnie uzbroili się robotnicy z gdyńskiego PPS<sup>18</sup>. Kosy i szable oraz noże i siekiery miały się przydać tylko do zdobycia broni na nieprzyjaciela, a formacje ochotnicze miały służyć początkowo wyłącznie wsparciu piechoty oraz zadaniom policyjno-wartowniczym na tyłach<sup>19</sup>. Tam, gdzie brakowało mundurów, musiały wystarczyć ochotnikom biało-czerwone opaski i orzełki na czapkach.

<sup>17</sup> P.P. Wieczorkiewicz, *Kampania 1939 roku*, Warszawa 2001, s. 61-65.

<sup>18</sup> Powojenna propaganda sugerowała, jakoby byli to „czerwoni” kosynierzy z partii komunistycznej. W rzeczywistości komunistów wśród gdyńskich kosynierów nie było, a poza socjalistami znalazło się wśród nich także wielu narodowców. Nie jest również prawdą, że ich dowódcą był Kazimierz Rusinek — przedwojenny komunista. Prawdziwym organizatorem ochotników — obrońców Gdyni był pplk Stanisław Wężyk.

<sup>19</sup> Podobnie jak w powstaniach narodowych w XVIII i XIX w. kosynierzy i pikinierzy mieli być tylko formacjami tymczasowymi, służącymi do czasu zdobycia wystarczającej ilości nowoczesnej broni palnej na nieprzyjaciela.



Płk Dąbek, doświadczony, austriacki frontowiec, podjął plan aktywnej obrony, wysuniętej na możliwie jak najdalsze przedpolą Gdyni. Jego oddziały miały obroną ruchomą i częstymi kontratakami opóźniać podejście Niemców do miasta i portu. Najdłużej jak się da zamierzano utrzymać lądową łączność z Helem przez Puck i Wejherowo. Kępa Oksywska miała być ostateczną redutą obrony.

W pierwszych dniach wojny najwartościowsze jednostki polskie, składające się z trzech oddziałów wydzielonych: „Wejherowo”, „Redłowo” i „Kartuzy”, zajmowały pozycje na dalekich przedpolach Gdyni. Oddział „Wejherowo” znajdował się w rejonie na zachód od miasta, od którego nazwę przyjął oddział „Redłowo” był rozlokowany na południowych przedpolach Gdyni; oddział „Kartuzy” zajmował pozycje w rejonie miasta o tej samej nazwie. Pierwszą linię obrony, między Kamieniem a Koleczkowem, obsadził Batalion Obrony Narodowej „Gdynia I”. Pozostałe oddziały polskie znajdowały się na Kępie Oksywskiej i w Gdyni.

„Łącznie wszystkie oddziały lądowej obrony wybrzeża, przebywające na wysuniętych pozycjach oraz na Kępie Oksywskiej i w rejonie Gdyni, liczyły około 500 oficerów i 14 200 podoficerów i szeregowców. Oddziały te miały: 266 lekkich, 187 ciężkich i 5 najcięższych karabinów maszynowych, 18 granatników kal. 46 mm, 16 moździerzy kal. 81 mm, 8 działek przeciwpancernych kal. 27 mm, 9 działek na podstawach morskich takiegoż kalibru, 8 dział przeciwlotniczych kal. 75 mm, 13 dział połowych kal. 75-76 mm, 2 działa nadbrzeżne kal. 100 mm i 4 działa polowe kal. 105 mm.

Z zestawień sił polskich i niemieckich wynika, iż nieprzyjaciel miał prawie trzykrotną przewagę w ludziach, ponad czterokrotną w broni maszynowej i dziewięciokrotną w artylerii. Przy tak olbrzymiej przewadze obrona na dalekich przedpolach Gdyni nie mogła trwać długo i już w pierwszych dniach wojny należało się spodziewać

podejścia głównych sił hitlerowskich do Kępy Oksywskiej”<sup>20</sup>.

Wobec zagrożenia portu gdyńskiego przez okręty Kriegsmarine dowódca Polskiej Marynarki Wojennej, kontradm. Jerzy Swirski<sup>21</sup> zaproponował zaminowanie podejść do Gdyni, Pucka i Helu, aby przynajmniej częściowo utrudnić Niemcom wysadzenie desantu. Możliwości po temu były, gdyż Polacy posiadali stawiacz min „Gryf” oraz kilka okrętów, w tym również okręty podwodne, przystosowane do stawiania min i odpowiednio wyposażone, lecz na przeszkodzie temu planowi stała... polityka.

Otóż, żeby zaminowanie Zatoki Gdańskiej odegrało swoją rolę obronną, miny należało postawić profilaktycznie jeszcze przed wybuchem wojny. Tymczasem minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej, Józef Beck, który sam parł w 1939 r. do wojny z Niemcami o Gdańsk i korytarz pomorski, teraz sprzeciwiał się temu pomysłowi, gdyż obawiał się, że to spowoduje złe wrażenie na świecie. Przecież to Niemcy chcieli na nas napaść, jakże zatem wytłumaczyć opinii światowej, że oto pokój miłująca Polska minuje podejścia do swojej Gdyni, gdy wojny jeszcze nie ma? A jeśli na polską minę, nie daj Boże, nadzieje się jakiś statek neutralny, to będzie skandal międzynarodowy.

Z kolei Edward Rydz-Smigły w zasadzie poparł projekt Jerzego Swirskiego, ale termin jego realizacji zastrzegł sobie. Ostatecznie rozkaz taki marszałek wydał, ale dopiero 30 sierpnia, a więc na dwa dni przed wybuchem

<sup>20</sup> E. K o s i a r z, *Obrona Kępy Oksywskiej*, s. 34-36.

<sup>21</sup> Kontradm. Jerzy Włodzimierz Swirski, organizator Polskiej Marynarki Wojennej i jej dowódca w okresie międzywojennym. W 1939 r. nie brał bezpośredniego udziału w walkach, gdyż przebywał u boku marsz. Rydza-Smigłego najpierw w Warszawie, a następnie przez Pińsk przedostał się do Rumunii. Na temat jego kontrowersyjnej działalności we wrześniu 1939 r. patrz: M. B o r o w i a k, *Plamy na banderze*, Warszawa 2008, s. 243-253.

wojny. Oczywiście żadnej zapory minowej nie udało się już postawić; ściślej, próbowano ją postawić w nocy z 1 na 2 września, ale wobec przewagi niemieckiej i uszkodzenia ORP „Gryf” z proponowanej przez Swirskiego operacji minerskiej ostatecznie nic nie wyszło, a dwa dni później „Gryf”, po bohaterskiej walce z niemieckimi bombowcami, poszedł na dno w basenie portu helskiego. Inne jednostki polskie nie stawiały min nawet już w czasie wojny, gdyż Kierownictwo Marynarki Wojennej uważało to za nieetyczne<sup>22</sup>.

1 września, gdy pierwsze strzały z dział okrętowych pancernika „Schleswig-Holstein” dosięgły Westerplatte, na Gdynię spadło duże bombardowanie lotnicze. Około 500 bombowców z I Floty Powietrznej gen. Alberta Kesselringa<sup>23</sup> rzuciło się jak sępy na polskie porty w Gdyni, Pucku i na Helu. Cel był jeden — możliwie szybko zniszczyć polskie okręty wojenne w bazach na Helu i Oksywiu oraz polskie wodnosamoloty na lotnisku w Pucku. Miał to być wstęp do ofensywy wojsk lądowych i operacji desantowej niemieckiej marynarki wojennej. Sama Gdynia poniosła tego ranka duże straty. Wiele budynków płonęło. Byli zabici i ranni — pierwsze żniwo tej wojny. Cel operacji lotniczej nie został jednak osiągnięty, gdyż polskie jednostki przezornie wyszły w morze, a zresztą od kilku dni były już w stanie ostrego pogotowia.

<sup>22</sup> E. Kosiarz, *Obrona Kępy Oksywskiej*, s. 23. Wydaje się to tym bardziej dziwne, że Niemcy się tymi zakazami etycznymi nie przejmowali i w tym samym czasie, gdy Polacy mieli dylematy moralne, spokojnie minowali całą Zatokę Gdańską (jeszcze w czasie pokoju) i nic ich nie obchodziło, że na tych minach mogą wylecieć w powietrze statki neutralne, akurat zawijające do Gdyni.

<sup>23</sup> Gen. Albert Kesselring zasłynął w latach 1943-1945 jako dowódca wojsk niemieckich w Afryce Północnej i we Włoszech. To właśnie z jego wojskami, gdy był już feldmarszałkiem, walczyli nasi żołnierze z II Korpusu gen. Władysława Andersa pod Monte Cassino, Ankoną, Loreto i Bolonią.

Tego samego dnia po południu zaatakowały Gdynię oddziały niemieckie z Wolnego Miasta Gdańska, który tegoż dnia stał się oficjalnie częścią III Rzeszy. Niemcy uciekli się nawet do podstępu, w kilku miejscach wychodząc na pozycje polskie w polskich mundurach. Polska załoga była jednak czujna i nie dała się zwieść mundurom agresorów. Plan zdobycia Gdyni z marszu już pierwszego dnia wojny zawiódł. Gen. Friedrich Eberhardt, utraciwszy wielu ludzi, musiał ze wstydem odstąpić od zewnętrznego pierścienia okopów Gdyni.

Pierwszy dzień drugiej wojny światowej na Wybrzeżu zakończył się dla Niemców szczególnie niechlubnie. Dwa ataki na Westerplatte przyniosły hekatombę żołnierzy niemieckich i nic nie wskórały. Nawet salwy ciężkich dział z pancernika „Schleswig-Holstein” nie pomogły im wiele. W Gdyni ciężkie bombardowanie lotnicze i ataki wyborowych sił SS nie ułatwiły wdarcia się w zewnętrzny pierścień obrony polskiej<sup>24</sup>. Jeśli dodamy do tego, jakimi siłami atakowali Niemcy i jakie siły mogli im w praktyce przeciwstawić Polacy, to można tylko zdrwić z niemieckiego dowodzenia tak ważną operacją.

W nocy z 1 na 2 września żołnierze płk. Dąbka sprawili nieprzyjacielowi groźną niespodziankę i przystąpili do kontrataku. W ciężkich walkach wręcz, toczonych często na bagnety, szable, łopaty i kosy na sztorc osadzone, korzystając z ciemności i zaskoczenia, zagnali spanikowanych esesmanów Friedricha Eberhardta z powrotem do Gdańska i odzyskali wszystkie utracone w ciągu dnia pozycje, a nawet miejscami weszli do Sopotu. Przerażenie Niemców było ogromne. Niemieccy sztabowcy nerwowo analizowali raporty wywiadu z ostatnich dni. — Skąd u Polaków taka siła!? Przecież Gdynia to prawie sami ochotnicy z jakimś tam pułkownikiem na czele. Józef Unrug na Helu to co innego,

<sup>24</sup> E. K o s i a r z, *Obrona Kępy Oksywskiej*, s. 39^42.

z nim będzie trudno, bo to stary, pruski kolega i fachman w wojennym rzemiośle. — Ale tu!<sup>25</sup>

Na dodatek od strony morza też się Niemcom nie udało. Stara francuska bateria nadbrzeżna, ustawiona na Kępie Oksywskiej długo przed wybuchem wojny, mimo że została uszkodzona przez niemieckie samoloty już 1 września i z dwóch pozostało jej tylko jedno działo kalibru 100 mm, skutecznie razila niemieckie okręty wojenne, uniemożliwiając im podchodzenie do portu gdyńskiego i trałowanie polskich wód przybrzeżnych. Niemcy byli tak bardzo przerażeni jego ostrzałem, że do walki z nim zaangażowali nawet pancernik „Schleswig-Holstein” (z mizernym skutkiem), a na dodatek cały czas lansowali propagandową tezę, jakoby w okolicy Gdyni Polacy dysponowali jakąś ciężką baterią artylerii morskiej, rzekomo produkcji włoskiej, która miała zatapiać i uszkadzać ich okręty na Zatoce Gdańskiej. Jakież było ich zdziwienie, gdy po zakończeniu walk na Wybrzeżu nie udało się takowej baterii odnaleźć ani w rejonie Gdyni, ani na Oksywiu, ani w rejonie Pucka. Polscy jeńcy wojenni z Helu twierdzili, że zakupienie takiej baterii, owszem, było przed wojną planowane, ale z tego nic nie wyszło<sup>26</sup>.

Wobec takiego obrotu sytuacji dowództwo niemieckie na Wybrzeżu postanowiło rozprawić się z Armią „Pomorze” i poczekać na połączenie oddziałów atakujących z Pomorza Zachodniego z oddziałami gdańskimi i wschodniopruskimi. Rzeczywiście, rozstrzygnięcie walk o Pomorze nastąpiło nie na samym Wybrzeżu, ale pod Tczewem, Kościerzyną, Koronowem, w Borach Tucholskich, pod Czernikiem, Brod-

<sup>25</sup> Nie należy się zatem dziwić, że Hitler po kampanii polskiej w 1939 r. miał podobno mawiać, że wiele by dał za polskich oficerów i żołnierzy w Wehrmachcie, gdyż Niemcy go zawiedli.

<sup>26</sup> E. Kosiarz, *Bitwy na Bałtyku*, s. 342-343. Podobnych opisów w raportach niemieckich z walk z Polakami można znaleźć dużo więcej. Wszystko to miało ukryć niekompetencję niemieckiego dowództwa i brak wyszkolenia niemieckiego żołnierza, który na pewno we wrześniu 1939 r. nie był jeszcze należycie przygotowany do wojny.

nicą i Grudziądzem, gdzie w krwawych bitwach dopełnił się tragiczny los Armii „Pomorze”, dowodzonej przez gen. Władysława Bortnowskiego. Miała ona przeciwko sobie wielokrotnie silniejszego nieprzyjaciela na lądzie i w powietrzu, gdyż słabiutkie polskie lotnictwo — pomimo dokonywania cudów waleczności — nie mogło równać się z Luftwaffe. Miała też przeciwko sobie taran pancerny w postaci I Korpusu Pancerno-Zmotoryzowanego gen. Guderiana, idącego przez polskie Pomorze do Prus Wschodnich. Na dodatek była atakowana od tyłu z Prus Wschodnich i Gdańska. W takim układzie Armia „Pomorze” musiała przegrać bitwę graniczną i ulec Niemcom jako jedna z pierwszych. Już 3 września rozpoczęła coraz bardziej bezładny odwrót w stronę Bydgoszczy, Torunia, Płocka i Poznania, spychana na południe przez przeważające siły niemieckie<sup>27</sup>.

Sam gen. Bortnowski, który przed wojną uchodził w polskich kołach wojskowych za specjalistę od szybkich działań ofensywnych (jesienią 1938 r. zajmował Zaolzie) i był przewidziany na następcę Edwarda Rydza-Smigłego na stanowisku generalnego inspektora sił zbrojnych, załamał się psychicznie pod wpływem klęski, która się tak nagle i brutalnie na niego zwała<sup>28</sup>. Potem już nie był w stanie

<sup>27</sup> Na temat bohaterskich walk Armii „Pomorze” w dniach od 1 do 3 września 1939 r. patrz: K. Ciechanowski, *Armia „Pomorze” 1939*, Warszawa 1983, s. 105-236; T. Jurga, *Obrona Polski 1939*, Warszawa 1990, s. 233-289; L. Moczulski, *Wojna polska. Rozgrywka dyplomatyczna w przededniu wojny i działania obronne we wrześniu-październiku 1939*, Warszawa 1990, s. 203-206, 263-267; P.P. Wieczorkiewicz, *Kampania 1939 roku*, Warszawa 2001, s. 27-42, 49-50.

<sup>28</sup> Załamanie psychiczne gen. Bortnowskiego, podobnie jak mjr. Sucharskiego, wynikało z tego, że ich obu zaskoczyła i przeraziła nowoczesna wojna błyskawiczna, z którą pierwsi mieli nieszczęście się zetknąć. Okazało się, że francuskie teorie wojenne, jakie Bortnowski poznał w paryskich uczelniach wojskowych, mają się nijak do rzeczywistości niemieckiej wojny błyskawicznej. To załamanie dotyczyło nie tylko ich. Uderzenia lotnicze i zagony pancerne przeraziły swoją siłą i potęgą.

dowodzić swoją armią. Wprawdzie pozostał jeszcze formalnie na stanowisku dowódcy Armii „Pomorze” — a raczej tego, co z niej pozostało po pomorskim pogromie — ale jego obowiązki faktycznie przejęli generałowie Mikołaj Bołtuć i Michał Karaszewicz-Tokarzewski, a następnie generał Tadeusz Kutrzeba. Bortnowski przez cały czas, jaki mu jeszcze pozostał do pójścia do niewoli nad Bzurą (około 20 września), był w ciężkim szoku, zupełnie niezdolny do podejmowania jakichkolwiek decyzji. „Gen. Bortnowski (...) zatracił się w kryzysowej sytuacji tak bardzo, że bojowy dowódca Grupy Operacyjnej «Wschód» gen. Mikołaj Bołtuć rozważał najzupełniej serio wlepienie mu kuli w łeb i objęcie dowództwa”<sup>29</sup>.

Od 3 września Wybrzeże zostało ostatecznie odcięte od reszty Polski i skazane tylko na własne siły. Wydawało się, że sytuacja jest beznadziejna. Jednakże tego samego dnia, w którym Guderian rozgromił Bortnowskiego pod Grudziądzem, Polskie Radio w Warszawie poinformowało słuchaczy o przystąpieniu Wielkiej Brytanii i Francji do wojny po stronie Polski. W obrońców Wybrzeża wstąpiła nowa nadzieja. Pokrzepiali się od tej pory myślą, że nie są sami, że należy tylko przetrwać kilka dni, może najwyżej kilka tygodni kryzysu. Kpt. Dąbrowski na Westerplatte, płk Dąbek w Gdyni oraz kontradm. Unrug i kmdr Steyer na Helu podtrzymywali od tej pory swoje załogi na duchu nadzieją rychłej odsieczy z Francji i Wielkiej Brytanii<sup>30</sup>. Wszyscy obrońcy łudzili się nadzieją, że przecież Hitler tę wojnę przegrać musi, że Polska nie upadnie, bo niedługo przyjdą jej na pomoc potężni sojusznicy. Reduty Wybrzeża broniły się zatem dalej z jeszcze większą determinacją i nadzieją.

Przez pierwsze sześć dni wojny płk Dąbek stosował tzw. obronę aktywną i zaciekle kontratakował oddziały nie-

<sup>29</sup> P.P. Wieczorkiewicz, *Historia polityczna Polski 1935-1945*, Warszawa 2005, s. 84.

<sup>30</sup> E. Kosiarz, *Obrona Kępy Oksywiejskiej*, s. 52-53.

przyjaciela. Odsuwał tym samym czas ostatecznego starcia i boleśnie szarpał wroga. Załoga Gdyni zdobyła się na największą ofiarność i pomysłowość, gdy idzie o skuteczność obrony własnych pozycji. Kolejarze i personel inżynieryjny portu gdyńskiego zbudowali ze starych składów kolejowych i blach pancernych, które znaleziono w magazynach Polskiej Marynarki Wojennej na Oksywiu, pociąg pancerny, który ochrzczono pod nazwą „Smok kaszubski”<sup>31</sup>. Jego załogę stanowili marynarze z Oksywia, dla których zabrakło miejsca na jednostkach pływających, a także ochotnicy zmobilizowani spośród pomorskich kolejarzy. Tenże pociąg pancerny wspierał swoim ogniem nocne kontrataki gdyńskiej załogi na pozycje niemieckie, a następnie, dopóki było to możliwe, bronił dworca kolejowego w Gdyni. Do 7 września front wokół Gdyni praktycznie stał w miejscu. Niemcy na razie skupili się na wykańczaniu Armii „Pomorze” oraz załogi Westerplatte. Ograniczyli się tylko do blokady Gdyni i ostrzeliwania jej z lądu, z morza (w czym brał udział „Schleswig-Holstein”, strzelający z gdańskiego kanału portowego) i z powietrza, gdyż Luftwaffe prawie bezkarnie bombardowała polskie reduty z uwagi na słabość naszej obrony przeciwlotniczej. Mimo to udało się naszym artylerzystom przeciwlotniczym zestrzelić kilka maszyn wroga. Jeden samolot spadł 3 września na Oksywiu.

Działania na Wybrzeżu przez te dni przypominały nieco walki pozycyjne z okresu pierwszej wojny światowej na froncie zachodnim. Co Niemcy w ciągu dnia zajęli, to Polacy w nocy odbijali — i tak było co dzień. Zapasów żywności, leków i amunicji było jeszcze sporo, więc obrońcy Gdyni z nadzieją patrzyli w przyszłość. Ufali, że wytrzymają do czasu nadejścia odsieczy i codziennie wypatrywali na horyzoncie okrętów Royal Navy,

<sup>31</sup> Szerzej: S. S t r u m p h-W o j t k i e w i c z, *Alarm dla Gdyni*, s. 109-129.



które — jak powszechnie ufano — już płyną z pomocą na Bałtyk<sup>32</sup>.

Gdy 7 września o godzinie 10.00 rano skapitulowało Westerplatte, dowództwo Wehrmachtu na Wybrzeżu postanowiło rozprawić się jak najszybciej z Gdynią i Oksywiem, ażeby potem uderzyć wszystkimi siłami na Hel. Plan był prosty: uderzenie niemieckie miało nastąpić z kilku stron jednocześnie. W pierwszej fazie operacji zadaniem piechoty, wspieranej przez pancerniki „Schleswig-Holstein” i „Schlesien”, które po zdławieniu oporu Westerplatte razem wypłynęły na Zatokę Gdańską, oraz lotnictwo morskie i lądowe, było zdobycie Pucka i Wejherowa, czyli przerwanie lądowej komunikacji pomiędzy Rejonem Umocnionym Hel a Gdynią i Oksywiem. Następnie Niemcy planowali stopniowo zaciskać okrążenie wokół Gdyni aż do zepchnięcia Polaków na Kępę Oksywską. Do tego czasu Kriegsmarine miała ostatecznie rozprawić się z resztkami polskiej floty wojennej, jakie jeszcze pozostały na Zatoce Gdańskiej, aby uniemożliwić Polakom zaplanowaną ewakuację z Kępy Oksywskiej na Hel. Po zdławieniu oporu Kępy sztabowcy niemieccy zamierzali rozpocząć ostateczną rozprawę z obrońcami Helu. Celowo umożliwiali Polakom odbiór stacji radiowych, ażeby oni sami przekonali się o beznadziejności swojego położenia i daremności stawiania

<sup>32</sup> Przystąpienie Wielkiej Brytanii i Francji do wojny przeciwko Niemcom podniosło na duchu wszystkich Polaków, natomiast aż do 17 września bardzo poważnie niepokoiło Niemców. Hitler był nawet przerażony sytuacją międzynarodową, w jakiej znaleźli się oni po 3 września. Przywódcy niemieccy nie mogli być pewni, czy alianci zachodni rzeczywiście nie uderzą na Niemcy od zachodu, zanim Sowieci zaatakują Polskę od wschodu. Wehrmacht nie był przygotowany do długiej wojny na kilku frontach jednocześnie, więc gdyby Polacy uzyskali rzeczywistą pomoc od Londynu i Paryża, to Berlinowi pozostawałaby tylko jak najszybsza kapitulacja. Dopiero następane tygodnie wojny, a zwłaszcza brak ruchu na linii Maginota i agresja sowiecka na Polskę 17 września zachwiały polską wiarą w szybkie zwycięstwo.

dalszego oporu. Był to element wojny psychologicznej, bardzo chytrze pomyślany.

Na Kępie Oksywskiej nie było spokoju od pierwszego dnia wojny. Już 1 września około godziny 5.00 rano lotnictwo niemieckie rozpoczęło silne bombardowanie obiektów dowództwa Polskiej Marynarki Wojennej oraz warsztatów morskich, zbudowanych na wyspie w latach dwudziestych i trzydziestych. Dziś Kępa Oksywska stanowi integralną część Trójmiasta, a dokładniej portu Gdynia. Przed wojną natomiast Oksywie było nieco oddalone od miasta i portu Gdyni (aczkolwiek Gdynia z Oksywiem stanowiły jeden obszar administracyjny).

6 września Niemcy przystąpili do zaciskania pętli wokół Gdyni. Pierwszym zadaniem, które zostało wyznaczone połączonym siłom niemieckim na Wybrzeżu, było rozcięcie polskiej obrony w rejonie Kartuz, Wejherowa i Pucka, ażeby uniemożliwić wzajemne wspieranie się załóg Gdyni na południu i Helu na północy. Po dojściu do morza na wysokości Pucka oddziały niemieckie miały rozpocząć ostrzeliwanie Gdyni z dalekosiężnych dział oraz przełamać zewnętrzną linię polskiej obrony. W tym samym czasie na północy miały one zepchnąć Polaków z rejonu Chałup i Władysławowa w głąb Mierzei Helskiej, mniej więcej w rejon Jastarni. Jednocześnie Kriegsmarine, po zniszczeniu polskiej artylerii nadbrzeżnej w tym rejonie, miała spróbować przeprowadzić operację desantową na Kępie Oksywskiej. Celem desantu było odcięcie obrońcom Gdyni jedynej drogi ewentualnego odwrotu na Hel. Biorąc pod uwagę, że w dniach 8-9 września największe jednostki Polskiej Marynarki Wojennej, które pozostały na Bałtyku, już nie istniały<sup>33</sup>, możliwość ewakuacji załogi Gdyni i Kępy

<sup>33</sup> „Wicher” i „Gryf” zostały zatopione przez niemieckie lotnictwo w porcie helskim już 3 września po południu. Z mniejszymi jednostkami Polskiej Marynarki Wojennej Niemcy zrobili to samo w następnym dniu. Jeżeli nawet niektóre z nich były jeszcze na wodzie, to nie mogły

Oksywskiej na Hel spadała do zera. Po prostu nie było czym się tam przeprawić. Dowództwo niemieckie mogło zatem spokojnie zamykać Polaków w pułapce bez wyjścia — przecież miało czas. Odcięte od reszty walczącego kraju Wybrzeże nie mogło im w niczym przeszkodzić, więc można było wykańczać je powoli, spokojnie czekając aż załoga Gdyni wystrzela amunicję i zużyje szczupłe zapasy żywności i leków. O to, że Royal Navy w najbliższym czasie nie wpłynie na Bałtyk, ludzie adm. Readera mogli być spokojni.

Na razie nęcano Gdynię ostrzałem artyleryjskim z lądu i morza, podejmowano sondażowe próby desantu na Kępie Oksywskiej i nieustannie bombardowano. Od lądu uderzyły na Gdynię dwa zgrupowania niemieckie — od zachodu i północy wojska gen. Leonharda Kaupischa, a od wschodu i południa gdańskie oddziały gen. Friedricha Eberhardta.

Skoordynowana ofensywa niemiecka rozpoczęła się 8 września po południu. Posuwanie się w głąb pozycji polskich okazało się jednak trudniejsze niż początkowo zakładano. Eberhardt nauczył się na Westerplatte, że Polacy nawet w niewielkiej liczbie są bardzo groźnym przeciwnikiem. Dlatego posuwał się ostrożnie, starając się unikać niepotrzebnych strat w ludziach. Polacy bronili się bardzo twardo. Zaciekły opór stawiali w rejonie Kartuz, Wejherowa, Redy, Rumi, Pucka i Wielkiej Wsi. Płk Dąbek zaciekle kontratakował niemal na każdym kroku. Żołnierze niemieccy musieli walczyć w trudnych warunkach terenowych. Na ich drodze stały otaczające Gdynię gęste lasy, pełne zasieków i zniszczeń utrudniających posuwanie się naprzód. Strach dyktował Niemcom wy-

opuścić ani helskiej, ani gdyńskiej bazy, gdyż na Zatoce Gdańskiej czekała je zagłada. Tylko okręty podwodne umykały jeszcze wrogowi, kryjąc się pod wodą i wychodząc na powierzchnię jedynie w nocy, ale i one nie mogły nic zdziałać, ponieważ stale były tropione przez samoloty i niszczyciele wroga.

olbrzymianie sił nieprzyjaciela. Często w raportach niemieckich bataliony i kompanie polskie przedstawiane były jako pułki, a nawet dywizje<sup>34</sup>.

O zaciekłości walk niech świadczy fakt, że oddziałom Kaupischa i Eberhardta udało się 8 września, a zatem po dwóch dniach zaciekłych walk, posunąć jedynie za Wejherowo i Redę<sup>35</sup>. Zważywszy, że jednostki Kaupischa prócz Wehrmachtu i Grenzschutzu (niemieckiej straży granicznej) dysponowały przewagą lotniczą i artyleryjską nad Polakami, była to kompromitacja<sup>36</sup>. Armia niemiecka dotychczas nie nauczyła się stosować w praktyce zasad nowoczesnej wojny błyskawicznej. Nie ma się co dziwić, gdyż Wehrmacht istniał praktycznie dopiero od czterech lat i kampania polska była jego pierwszym doświadczeniem bojowym (dotychczasowe podboje Hitlera — Austria i Czechosłowacja — były pokojowe). Piękna teoria wojny błyskawicznej często rozmijała się z praktyką; wiele rzeczy

<sup>34</sup> To ciekawe, że Niemcy, kiedy im się coś nie udawało, zawsze wyolbrzymiali siły przeciwnika. Na Westerplatte rzekomo miały być betonowe bunkry, połączone ze sobą podziemnymi przejściami. Załoga półwyspu miała liczyć podobno kilka tysięcy po zęby uzbrojonych żołnierzy, a na drzewach mieli ukrywać się strzelcy wyborowi. Takie stwierdzenia, mające ukryć niekompetencję i brawurę hitlerowskiego dowództwa, można znaleźć w niemieckich raportach z oblężenia Polskiej Składnicy Tranzytowej. To samo było wszędzie, gdzie Niemcy napotykali skuteczny i twardy opór Polaków. Pod Wizną miała być „polska linia Maginota”, której broniła podobno cała dywizja piechoty. Warszawa była trzy razy zdobywana przez Niemców i trzy razy wiadomość tę odwoływano. Pod Lwowem miały powstrzymać Niemców „polskie zagony pancerne”. Modlin był podobno otoczony kilkoma pierścieniami betonowych schronów itp. Dr Goebbels dwoił się i troił, aby takie informacje z niemieckich „raportów bojowych” roztrąbić po świecie. To samo było z osławioną legendą, jakoby polscy ulani szarżowali na niemieckie czołgi jedynie z szablami i lancami.

<sup>35</sup> P.P. W i e c z o r k i e w i c z, *Kampania 1939 roku*, s. 45—46.

<sup>36</sup> Jak widać z powyższego, Niemcy w ogóle nie byli przygotowani na taki opór, więc choć szli do przodu, byli coraz bardziej przerażeni walecznością nieprzyjaciela, którego przed wojną na ogół lekceważyli.

jeszcze nie działało jak trzeba. Zawodziła przede wszystkim koordynacja działań poszczególnych rodzajów broni na polu walki oraz wyszkolenie bojowe świeżego rekruta niemieckiego, stąd tak duże straty w wojnie z Polską. Wyszukolenie bojowe oficerów średniego szczebla także nie było najlepsze. Starymi wiarusami Niemcy staną się dopiero w następnych latach we Francji, na Bałkanach i w Rosji. Na razie Wehrmacht krwawo uczył się walczyć.

Dopiero 9 września oddziałom Kaupischa udało się trwale opanować Wejherowo, Puck i Redę. W tym momencie powstało bezpośrednie zagrożenie dla Gdyni oraz Kępy Oksywskiej. W czasie gdy wysunięte oddziały niemieckie dotarły do Rumi, od Oksywia dzieliły je tylko torfowiska tzw. Pradoliny Kaszubskiej, poprzecinanej wieloma kanałami, rowami, a w niektórych miejscach grzędzawiskami. Z drugiej strony, na południu i południowym zachodzie oddziały płk. Dąbka powstrzymywały jeszcze napór wojsk gdańskich gen. Eberhardta, ale wiadomo było, że lada chwila trzeba się będzie cofnąć do samej Gdyni i walczyć na ulicach miasta, wykorzystując jedynie barykady i rowy strzeleckie.

Sytuacja oblężonych stawała się coraz groźniejsza<sup>37</sup>. Na dodatek między Rumią a brzegami Kępy Oksywskiej nie było żadnych większych polskich oddziałów poza słabymi zgrupowaniami Straży Granicznej, które nie były w stanie pokonać ani zatrzymać przeważających sił nieprzyjaciela, nadsięgających z północy. Co prawda, płk Dąbek mógł szybko przerzucić posiłki w ten rejon, gdyż żołnierzy na pole walki dowoziły gdyńskie autobusy komunikacji miejskiej, ale nie bardzo miał kogo przysłać na pomoc, gdyż cała załoga była już zaangażowana w walkę na innych odcinkach frontu. Gdyby wówczas miał do dyspozycji dwustu żołnierzy z Westerplatte. Ale, niestety, podkomendni

<sup>37</sup> E. K o s i a r z, *Obrona Kępy Oksywskiej*, s. 60-77.

mjr. Sucharskiego i kpt. Dąbrowskiego od dwóch dni byli już w niemieckiej niewoli. Hel też nie mógł udzielić Gdyni i Oksywii żadnej pomocy.

W tym czasie załoga Kępy Oksywskiej liczyła zaledwie dwa bataliony piechoty, tj. 2. batalion rezerwy i III batalion Obrony Narodowej. Oba były niedostatecznie wyszkolone i uzbrojone. Dopiero kilka dni wcześniej weszły do walki. Razem było to nieco ponad dwa tysiące ludzi, ale o niezbyt dużej wartości bojowej, natomiast o ogromnej determinacji. Dowódcą załogi Oksywia był ppłk Stanisław Brodowski. Uczynił on wszystko, co możliwe, aby przygotować je do obrony, ale przecież cudotwórcą nie był i zapewne poważnie nie liczył na to, że zwykle okopy mogą powstrzymać przez dłuższy czas niemieckie natarcie, wsparte lotnictwem i ciężką artylerią. 9 września Kępa Oksywska została postawiona w stan pogotowia bojowego i jej załoga zajęła wyznaczone pozycje w najbardziej zagrożonych punktach planowanej obrony.

Następnego dnia rano przedostał się na Oksywie 1. morski pułk strzelców ppłk. Kazimierza Pruszkowskiego, który dotychczas bronił Redy. Był to w istocie pułk tylko z nazwy, ponieważ w toku ostatnich walk jego stan osobowy stopniał do około 1000 ludzi, mocno wyczerpanych dotychczasowymi działaniami i brakiem wypoczynku. Razem z nim przybył na Kępę również mocno wykrwawiony V batalion Obrony Narodowej „Puck”, który w niedawnych walkach pod Warszawem i Redą stracił około siedemdziesięciu procent stanu osobowego i teraz liczył zaledwie nie więcej niż 140 żołnierzy. Dowodził nim mjr. Jan Zagłoba-Smołeński. Siły batalionu trudno nazwać znaczącym wzmocnieniem obrony, ale żołnierzom, przemęczonym i wycieńczonym dotychczasowymi bojami, w kupie było rażniej. Wszyscy chcieli walczyć do końca, nawet gdyby ta walka miała oznaczać śmierć. 10 września po południu Niemcy skierowali huraganowy ogień artyleryjski na Kępę Oksywską. Wprawdzie Polacy lada

chwila spodziewali się ataku, ale pierwszy szturm niemiecki nastąpił z zupełnie innej strony niż się spodziewano.

Tymczasem z Mrzezina, drogą pierwszżyńską przez Mostowe Błoto, zaczęły wdzierać się na północny skraj Kępy Oksywskiej dwie kompanie esesmanów z batalionu SS „Heimwehr Danzig” mjr. Georga von Rittberga.

Na szczęście dla Polaków Niemcy nie zdecydowali się jeszcze wtedy na zaatakowanie Oksywia, najwidoczniej bojąc się, że obrońcy zgrupowali tam większe siły (w końcu była to baza Polskiej Marynarki Wojennej). Gdyby wtedy odważyli się na generalny szturm, Kępa Oksywska zostałaby zdobyta z zaskoczenia jeszcze tego samego dnia. Ta ostrożność niemiecka, która częstokroć była posunięta do absurdu, to efekt bolesnych doświadczeń z pierwszego dnia walk o Westerplatte, gdy dwa ataki niemieckiej piechoty spływały krwią i załamały się w celnym ogniu polskich karabinów maszynowych i moździerzy. To także dowód na to, jak bardzo słaby był jeszcze Wehrmacht i jak mało doświadczenia bojowego mieli niemieccy oficerowie. Zniszczenie armii cesarskiej po 1919 r. długo dawało o sobie znać w HI Rzeszy.

Najgorsze chwile tego dnia dla Niemców przyszły jednak wtedy, kiedy obrońcy Kępy Oksywskiej przeszli nagle do natarcia i pomimo mniejszych sił własnych zmusili przeciwnika do chaotycznego odwrotu na Mrzezino. Polska piechota, idąca na bagnety z głośnym: „hura!”, tak bardzo przeraziła esesmanów, że uciekli w panice, nierzadko porzucając broń; pozostawili tylko wzmocnione patrole na drodze pierwszżyńskiej. Za szczyt niemieckiego tchórzostwa, co dotyczy przede wszystkim oficerów, mogą służyć raporty z tego dnia (10 września), w których roi się od informacji o bardzo dużym oporze Polaków i o silnych umocnieniach ziemno-betonowych na przedpolach Oksywia. Te raporty, w których było tyle samo prawdy, co w rzekomym systemie bunkrów na Westerplatte, miały służyć ukryciu słabego wyszkolenia i przygotowania bojowego żołnierzy przed wyższym dowódz-

twem, a zwłaszcza przed samym Hitlerem. Braki armii niemieckiej trzeba było pokryć jakimś propagandowym kłamstwem, ażeby świat nie dowiedział się przedwcześnie o słabości wojsk niemieckich. Ataków na polskie pozycje tego dnia zaniechano.

Niemieckie dowództwo, w obawie przed Polakami, przez cały następny dzień, nie podejmowało żadnych zmasowanych działań zaczepnych na lądzie. Tylko samoloty i artyleria bombardowały i ostrzeliwały polskie pozycje, ażeby złamać ducha obrońców. Płk Dąbek również wykorzystał ten dzień względnego spokoju dla umocnienia własnych pozycji i przegrupowania sił. Niestety, nie było tego zbyt wiele, ponieważ wszystkie oddziały były już mocno wykrwawione, przemęczone dziesięcioma dniami walk i wycieńczone psychicznie. Tylów, gdzie można byłoby się wycofać i odpocząć, praktycznie nie było, gdyż cała Gdynia płonęła i ciągle była atakowana z powietrza, lądu i morza. W tej sytuacji zdecydowano się na wzmocnienie obrony Kępy Oksywskiej przy pomocy znajdujących się na niej oddziałów. Do tego potrzebne było jednolite dowodzenie. Odpowiedzialnym za jej obronę płk Dąbek uczynił ppłk. Stanisława Brodowskiego, dowódcę Morskiej Brygady Obrony Narodowej. Ten oficer postanowił bezzwłocznie skierować kompanie 1. morskiego pułku strzelców do wzmocnienia głównej linii obrony.

Noc z 10 na 11 września Niemcy poświęcili na przygotowanie natarcia na pozycje polskie na Kępie Oksywskiej, co ich zdaniem mogło przesądzić o kapitulacji odciętej od morza załogi Gdyni. Przegrupowanie obrony polskiej nie uszło uwagi Niemców, którzy rankiem 11 września przystąpili do intensywnego ostrzału stanowisk polskich oraz wysłali w teren wzmocnione patrole, które miały wysondować słabe punkty naszej obrony. Ponieważ na drodze z Mrzezina do Pierwoszyzna dwa dni wcześniej oddziały niemieckie napotkały opór, postanowiono szukać drogi na



Oksywie przez Mostowe Błota. Niemieckie oddziały rozpoznawcze w sile plutonu każdy zdołały przeprowić się przez bagna na Mostowych Błotach i wejść na Oksywie od północy, na zachód od Mostów, napotykając tylko słabe siły 8. kompanii III batalionu Obrony Narodowej, które nie były w stanie samodzielnie powstrzymać nieprzyjaciela przed założeniem przyczółka na głębokich tyłach polskiej obrony. W ten sposób zaledwie jeden pluton piechoty niemieckiej poważnie zagroził systemowi polskiej obrony Kępy Oksywskiej. Pomimo ciężkich walk przez cały dzień 11 września Niemcy zdołali obronić i umocnić swój przyczółek. Dopiero wieczorem silne natarcie polskich jednostek, wsparte odwodami z Gdyni, zdołało wyprzeć patrol niemiecki z Kępy Oksywskiej.

Dowództwo niemieckie szybko zorientowało się, że polska obrona słabnie i przy odrobinie szczęścia można ją rozerwać. Ppłk von Bothmer postanowił zaatakować Kępę również drogą z Mrzezina do Pierwoszyna, licząc na to, iż gros polskich oddziałów walczy już na północnym skraju Kępy i zaskoczenie polskich straży nie będzie tu specjalnie trudne. 11 września po południu (około 14.00) artyleria niemiecka rozpoczęła silny ostrzał tego odcinka, a następnie ruszyli do ataku gdańscy esesmani. Tym razem Niemcy nie mieli jednak tyle szczęścia, co ich koledzy na Mostowych Błotach rano. Polacy powitali ich bardzo silnym ogniem. Nasi żołnierze, choć wycieńczeni i osłabieni, w ciężkich walkach odparli przeważające liczebnością i siłą ognia oddziały nieprzyjacielskie od swoich pozycji.

Tego krytycznego dnia, 11 września, Niemcy zagrozili Kępie Oksywskiej również od strony Kazimierza, gdzie rzucili do walki swoje największe siły, szukając luk w polskiej obronie. Tam walki były najcięższej i to, że niewielka i wyczerpana polska załoga utrzymała Kępę Oksywską, świadczyło o jej ogromnej determinacji. Takie same wściekłe ataki niemieckie, wsparte ostrzałem ar-

tyleryjskim i bombardowaniem lotniczym, na przedpola Kępy powtórzyły się 12 września.

Siły polskie słabły z dnia na dzień. Nawet zwycięsko odpierane ataki nieprzyjaciela przynosiły obrońcom znaczne straty w ludziach, których już nie było kim zastąpić. Amunicja do różnych typów broni kończyła się. Gdynia płonęła. Nie było co zrobić z rannymi, których stale przybywało w szpitalach. Tymczasem Niemcy, pomimo dotkliwych strat, podchodzili coraz bliżej do naszych głównych pozycji. W tych warunkach utrzymanie portu gdyńskiego, gdy na horyzoncie nie było widać brytyjskiej odsieczy, a radio wciąż donosiło o ciężkich walkach w centrum Polski, nie miało sensu.

Wobec tego, że druga linia obrony Gdyni poczęła już puszczać; wobec pojawiania się niemieckich przyczółków na Kępie Oksywskiej, a zatem już na tyłach polskiej obrony, skąd je na razie wyparto, ale zbyt dużym kosztem; wobec braku amunicji i żywności — płk Dąbek podjął wieczorem

12 września decyzję o wycofaniu resztek obrońców z lądu na Kępę Oksywską, aby skrócić front i skupić to, co jeszcze miał do dyspozycji na niewielkiej, lecz trudno dostępnej przestrzeni Oksywia. Do działań opóźniających przeznaczył ochotników z oddziałów kosynierskich, które miały, jako straż tylna, możliwie jak najdłużej opóźnić zajęcie Gdyni przez Niemców. Odwrót wojsk polskich z zajmowanych pozycji odbył się na tyle sprawnie, a opór kosynierów ppłk. Stanisława Wężyka był na tyle skuteczny, że Niemcy zdołali wkroczyć do Gdyni dopiero rankiem 14 września<sup>38</sup>.

O zaciętości walk o rejon Gdyni niech zaświadczy fakt, że z czternastu tysięcy obrońców miasta, którzy stanęli do walki z Niemcami 1 września 1939 r., na Kępę Oksywską 13 września ewakuowało się zaledwie nieco ponad siedem

<sup>38</sup> E. K o s i a r z, *Bitwy na Bałtyku*, s. 344-345; tenże, *Obrona Kępy Oksywskiej*, s. 115-116. Patrz również: L. M o c z u ł s k i, *Wojna polska*, s. 456-457; P. P. W i e c z o r k i e w i c z, *Kampania 1939 roku*, s. 67 i 113.

tysięcy żołnierzy, marynarzy i ochotników cywilnych<sup>39</sup>. Reszta w większości poległa lub dostała się do niewoli. Największy znawca obrony Wybrzeża w 1939 r., Edmund Kosiarz, tak oto ocenia skuteczność polskiej obrony rejonu Gdyni w dniach 1-13 września:

„Gdynię zdobyły niemieckie wojska lądowe przy wsparciu lotnictwa i okrętów. Potwierdziło to zasadę, iż morskie bazy wojenne powinny mieć zawczasu zorganizowane trzy rodzaje obrony: morską, lądową i przeciwlotniczą. W Gdyni wszystkie zorganizowane były prowizorycznie, ale dzięki ofiarności i nieustępliwości żołnierzy obrona bazy trwała dwa tygodnie”<sup>40</sup>.

Wieczorem 13 września na Kępie Oksywskiej umocniły się niedobitki obrońców rejonu Gdyni w sile zaledwie 7500 ludzi, bardzo słabo uzbrojonych, ale zdecydowanych walczyć do końca w obronie polskiego morza. Płk Stanisław Dąbek oraz cały jego sztab zdawali sobie już wtedy najprawdopodobniej sprawę, że Oksywie jest w istocie pułapką, z której nie będzie się już można nigdzie wycofać. Droga morska na Hel była zamknięta, gdyż — jak wspominałem wcześniej, nie było już czym się tam ewakuować.

Na Helu obserwowano z przerażeniem powolny upadek Gdyni. Kontradm. Unrug aż do końca walk w rejonie tego miasta, jak również Oksywia miał stały kontakt telefoniczny oraz radiowy z płk. Dąbkim. Obaj dowódcy na bieżąco przekazywali sobie informacje o sytuacji na swoich odcinkach. Dąbek wielokrotnie błagał Unruga o jakąkolwiek pomoc dla oblężonego rejonu Gdyni i Oksywia, który walczył już ostatkiem sił. Hel nie był jednak w stanie wiele pomóc, ponieważ sam znalazł się w nie lepszej sytuacji. Co prawda, 12 oraz 14 września trzy ocalałe z pogromu na Bałtyku polskie trałowce: „Rybitwa”, „Jaskółka” i „Czajka”,

<sup>39</sup> E. Kosiarz, *Obrona Kępy Oksywskiej*, s. 118-119.

<sup>40</sup> Tenże, *Bitwy na Bałtyku*, s. 345.

pod dowództwem bohaterskiego kmdr. ppor. Zdzisława Boczkowskiego dwukrotnie podejmowały samobójcze wyprawy z Jastarni (na Helu) w okolice Rewy, a potem Mechelinka, wspierając ogniem swoich działek polskich obrońców Gdyni i Oksywia, ale miało to bardzo niewielkie znaczenie dla sytuacji żołnierzy płk. Dąbka, bo ta sytuacja była i tak tragiczna. Kontradm. Unrug rozkazał ponadto wzmocnić ogień trałowców dodatkowo ogniem baterii cyplovej imienia Laskowskiego, ale obrońcom Oksywia nic to już nie mogło pomóc (poza tym, że chwilowo pomieszało Niemcom szyki i opóźniło ich szturm na Oksywie)<sup>41</sup>.

Dalsze dni obrony Kępy Oksywskiej pomiędzy 15 a 19 września to już tylko historia rzezi resztek polskich oddziałów, walczących do ostatka z ogromną przewagą niemiecką na przedostatnim skrawku polskiego Wybrzeża — pozostał jeszcze Hel, daremnie wypatrujący Royal Navy na Bałtyku. Polacy ciągle kontratakowali. Poszczególne pozycje wielokrotnie przechodziły z rąk do rąk. Oddziały polskie przemieszały się. Nie były już kompaniami, batalionami ani pułkami jak dawniej, lecz zwano je grupami od nazwisk oficerów, którzy nimi dowodzili. Straceńcy, uzbrojeni już teraz nawet nie w kosy, ale w karabiny zdobyte na nieprzyjacielu lub odziedziczone po poległych kolegach, najczęściej bez wystarczającej ilości amunicji, która się kończyła, rzucali się na nieprzyjaciela, własnymi ciałami blokując mu drogę w głąb własnych pozycji.

Walka na Oksywiu toczyła się dosłownie o każdy metr ziemi, o każdy dom i o każdy okop. Płk Dąbek i jego sztabowcy niejednokrotnie sami prowadzili przeciwnatarcia z karabinami w rękach, a przed nimi częstokroć biegł ksiądz komandor Jan Miegoń z krzyżem w prawej ręce, a z pistoletem lub szablą w lewej z okrzykiem: „za Boga, Ojczyznę

<sup>41</sup> *Tamże*, s. 344—345; patrz także tegoż autora: *Obrona Kępy Oksywskiej*, s. 88-89.

i polski Bałtyk naprzód!”<sup>42</sup>. Mimo waleczności polscy obrońcy nie byli w stanie powstrzymać lądowania niemieckiego desantu najpierw (14 września) na północnym, a następnie (17 września) na zachodnim krańcu Kępy Oksywskiej oraz posuwania się nieprzyjaciela w głąb Oksywia<sup>43</sup>.

Od 17 września położenie obrońców, zepchniętych na mały skrawek Kępy, stało się krytyczne. Siły wyczerpywały się. W ostatnim dniu obrony, 19 września, około 2000 Polaków ponad wszelką „wytrzymałość walczyło o wąski skrawek ziemi nad Zatoką Pucką, (...) od strony zatoki blokowany i ostrzeliwany przez liczne okręty Kriegsmarine”<sup>44</sup>.

Tego dnia oddziały polskie broniły się jeszcze w rejonie Babiego Dołu i Wąwozu Ostrowskiego. Otoczeni ze wszystkich stron przez nieprzyjaciela, miażdżeni ogniem z lądu i z morza, bombardowani z powietrza, przemęczeni do granic możliwości, Polacy zerwali się jeszcze raz do ostatniego przeciwnatarcia. Prowadził sam płk Dąbek z karabinem w rękę. Wokół niego zebrał się cały sztab oficerów, tych, którzy jeszcze byli zdolni do walki, razem około dwudziestu ludzi. Do tego dołączyli bezrobotni artylerzyści, którzy wcześniej, po wystrzeleniu całej amunicji, sami zniszczyli działą baterii nadbrzeżnej, aby nie dostało się w ręce wroga, oraz pojedynczy żołnierze i marynarze. Podobno płk Dąbek obsługiwał osobiście działąko przeciwpancerne aż do wyczerpania amunicji, następnie pobiegł w kierunku nieprzyjaciela, a gdy został ranny odłamkiem pocisku mózdzierzowego, strzelił sobie

<sup>42</sup> Ksiądz komandor Jan Miegoń, bohaterски kapelan obrońców Gdyni i Oksywia, nie przeżył wojny. Wzięty do niewoli w okolicy Babiego Dołu, gdzie był zlokalizowany polski szpital polowy, trafił najpierw do oflagu, potem do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie w 1943 r. został zamordowany. W 1999 r. beatyfikowany przez papieża Jana Pawła II jako polski męczennik drugiej wojny światowej.

<sup>43</sup> E. Kosiarski, *Obrom Kępy Oksywskiej*, s. 118-252.

<sup>44</sup> Tenże, *Bitwy na Bałtyku*, s. 346.

w głowę z pistoletu, aby Niemcy nie wzięli go do niewoli<sup>45</sup>.

O śmierci płk. Stanisława Dąbka jest kilka relacji, które różnią się między sobą istotnymi szczegółami. Ja przywołam tu jedną z nich autorstwa kpt. Wacława Tyma — jednego z najbliższych współpracowników pułkownika, bezpośredniego świadka jego śmierci.

„Płk Dąbek wyprowadził nas na północny, gęsto zalesiony stok jaru Babiego Dołu i tam, na krawędzi stoku ustawiliśmy się w tyralierze. Około godz. 16.30 ucichły odgłosy walki na zachód od nas i wkrótce na dnie jaru ukazali się Niemcy. Otworzyliśmy do nich ogień (...) Walka nie trwała długo. W pewnym momencie w niewielkiej odległości od pułkownika Dąbka rozerwał się pocisk z moździerza. Prawdopodobnie pułkownik został ranny odłamkami, mimo to walczył do końca; potem popełnił samobójstwo. «A więc to już koniec. Ja nie skapituluję» — miały brzmieć ostatnie jego słowa<sup>46</sup>.

Płk Dąbek spełnił swój żołnierski obowiązek. Dał swoim żołnierzom piękny przykład patriotyzmu i odwagi. Pochowano go na miejscu jego śmierci jeszcze tego samego dnia w asyście polskich i niemieckich oficerów, którzy uszanowali bohaterską postawę polskiego wodza i oddali mu należne honory wojskowe<sup>47</sup>.

Do wieczora 19 września walki na Kępie Oksywskiej ostatecznie wygasły. Ostatnią redutą polskiego Wybrzeża pozostał już tylko osamotniony Hel, który miał trwać jeszcze kilka tygodni. Opór żołnierzy polskich na Wybrzeżu miał już jednak tylko znaczenie symboliczne. Wobec wkroczenia do Polski Armii Czerwonej w dniu 17 września 1939 r.

I braku pomocy ze strony naszych zachodnich sojuszników

<sup>45</sup> Na ten temat patrz szerzej: E. Kosiarsz, *Bitwy na Bałtyku*, s. 348-349; S. Strumph-Wojtkiewicz, *Alarm dla Gdyni*, s. 246-250; P.P. Wiczorkiewicz, *Kampania 1939 roku*, s. 113.

<sup>46</sup> Cytuję za E. Kosiarszem, *Obrona Kępy Oksywskiej*, s. 249.

<sup>47</sup> S. Strumph-Wojtkiewicz, *Alarm dla Gdyni*, s. 251-258.

walczyliśmy już tylko o honor Polski i żołnierza polskiego bez realnych szans na zwycięstwo. Jednoznacznie pisze o tym badacz kampanii 1939 r. Leszek Moczulski:

„Niestety, sytuacja wytworzona na froncie polskim nie mogła już wpływać rozstrzygająco na losy kampanii. Wprawdzie udało się przejściowo odebrać Niemcom inicjatywę strategiczną, oddalić ostateczną klęskę i znów wygrać na czasie, udało się zadać poważne straty nieprzyjacielowi i osłabić jego możliwości militarne, lecz wszystko to miało znaczenie uboczne. Los kampanii w Polsce przesądzony został francusko-brytyjską decyzją, podjętą w Abbeville 12 września<sup>48</sup>. Opór polski mógł trwać tylko przez czas ograniczony, a choćby był to czas najdłuższy, to tracił on znaczenie militarne, gdy dywizje francuskie otrzymały rozkazy powstrzymujące ofensywę. (...) Bardziej niż najświetniejsze zwycięstwa niemieckie, ostateczny wynik kampanii w Polsce przesądziła wiarołomna decyzja aliantów. Gdyby ruszyli oni w połowie września, to wedle słów samego Hitlera, wypowiedzianych w tym właśnie okresie, nastąpiłby: *finis Germaniae*”<sup>49</sup>.

Niestety, nasi „sojusznicy” nie dotrzykali swoich zobowiązań. Polacy toczyli zatem straceńczą walkę, daremnie wyglądając pomocy z Zachodu. Na Wybrzeżu przekonali się już o tym żołnierze z Westerplatte, Gdyni i Kępy Oksywskiej. Gdybyż wtedy wiedzieli, że ich bohaterstwo i krew przelana za Ojczyznę nie mają żadnego znaczenia, bo Polska, opuszczona przez Paryż i Londyn, i tak upaść musi w rosyjsko-niemieckich kleszczach.

<sup>48</sup> W dniu 12 września 1939 r. na konferencji w Abbeville (Francja) sztabowcy francuscy i brytyjscy podjęli ostateczną decyzję o nieudzieleniu pomocy walczącej z Niemcami Polsce (o czym oczywiście Polaków nie poinformowano). Por. P.P. Wierzchowicz, *Kampania 1939 roku*, s. 61-66.

<sup>49</sup> L. M o c z u l s k i, *Wojna polska*, s. 458.

## HEL WALCZY DO KOŃCA (1 WRZEŚNIA-2 PAŹDZIERNIKA)

---

Półwysep Helski był od początku wojny w dużo lepszym położeniu aniżeli Gdynia, Oksywie i Westerplatte. O ile w tamtych punktach oporu nieprzyjaciel był o miedzę i jego ataki przypierały nas do muru, o tyle Hel był

— przynajmniej przez kilka pierwszych dni wojny — nie tak bardzo narażony na bezpośredni atak niemiecki od strony lądu. Zdobycie tego rejonu umocnionego nie było możliwe z marszu ani z zaskoczenia. Sama przyroda uczyniła go niedostępną twierdzą, dla której opanowania konieczne było przeprowadzenie dużej operacji lądowo-morskiej przy silnym wsparciu lotnictwa.

Dowództwo niemieckie na Pomorzu od początku kampanii polskiej doskonale rozumiało, że Westerplatte i Gdynia to małe problemy w porównaniu z Helem. Wiedzieli, że jego obroną dowodzi stary lis z pruskiej szkoły wojennej — Józef Unrug<sup>1</sup>. Niemieccy oficerowie znali go doskonale, częstokroć osobiście, sprzed dwudziestu laty, kiedy on też nosił pruski mundur i był wysokim oficerem w Kriegsmarine. Bali się go, jak jeden wytrawny żołnierz boi się kolegi z tej samej szkoły

<sup>1</sup> Józef Michał Unrug, oficer niemieckiej marynarki wojennej podczas pierwszej wojny światowej. W armii polskiej od 1920 r. W 1939 r. dowódca obrony wybrzeża.



oficerskiej, który walczy po przeciwnej stronie frontu. Nie byli tylko pewni, czy Unrug jest na Helu, czy przebywa w Gdyni razem z Dąbkim. Stąd pytanie wielokrotnie zadawane jeńcom polskim wziętym do niewoli na Wybrzeżu: Gdzie jest Unrug? Tam bowiem, gdzie był Unrug, należało się liczyć z najtrudniejszym oblężeniem i największymi stratami w ludziach. Oficerowie Wehrmachtu i Kriegsmarine mogli sobie bagatelizować mjr. Sucharskiego i kpt. Dąbrowskiego na Westerplatte oraz płk. Dąbka w Gdyni, zanim ich kunsztu bojowego nie poznali boleśnie na własnej skórze, ale kontradm. Unruga nie można było lekceważyć i należało się go bać z zasady.

Niemcy wiedzieli ponadto, że Hel jest silną twierdzą i na pewno będzie się twardo i długo bronił. Dlatego też nie był on celem do zdobywania z marszu. Półwysep Helski należało izolować i czekać, aż sukcesy na innych kierunkach zmuszą jego obrońców do kapitulacji. W pierwszej fazie wojny głównymi celami Niemców były Gdynia i Oksywie, Puck z jego lotniskiem morskim oraz polska flota wojenna na Bałtyku. Bez tego nie było nawet co myśleć o zdobywaniu Helu. Dlatego pierwszy dzień wojny to na Półwyspie Helskim tylko naloty bombowe.

Pierwsze bomby niemieckie spadły 1 września 1939 r. nie na Hel, lecz na Puck; było to około godziny 5.00 rano. Grupa osiemnastu bombowców, które wystartowały z lotniska w rejonie Słupska, lecąc na niskim pułapie, zaatakowała zniemacka lotnisko i bazę lotnictwa morskiego Polskiej Marynarki Wojennej w Pucku. Niemieckie bomby zniszczyły nasze wodnosamoloty oraz uszkodziły hangary, warsztaty lotnicze i koszary. Podczas tego nalotu zginął kmdr por. Edward Szystoski — dowódca morskiego dywizjonu lotniczego w Pucku. Był to jeden z pierwszych poległych polskich oficerów Marynarki Wojennej podczas drugiej wojny światowej<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> E. Kosiarski, *Obrona Helu w 1939 r.*, Warszawa 1971, s. 54-55.

W tym samym czasie, gdy trwało bombardowanie Pucka, kilka samolotów niemieckich z niskiego pułapu zaatakowało również port rybacki w miasteczku Hel. Bomby spadły na zabudowania cywilne, a ostrzelana z karabinów maszynowych ludność początkowo wpadła w panikę. Wyrwani ze snu mieszkańcy Helu kryli się, gdzie tylko mogli. Padli pierwsi zabici i ranni. Żołnierze i marynarze szybko ogłosili alarm i zajęli stanowiska bojowe. Silny ogień polskiej artylerii przeciwlotniczej i karabinów maszynowych zmusił wkrótce niemieckich lotników do rejterady. Okazało się, że Hel nie da się łatwo zastraszyć i jest gotowy do obrony, a początkową panikę wśród cywilów prędko opanowano. Nastroje były dobre i wszyscy chcieli się bić z Niemcami.

Gdy kontradm. Unrug otrzymał (drogą radiową) meldunki z Westerplatte i Gdyni o atakach niemieckich i na podstawie tego skonstatował, że to już wojna, a nie tylko lokalne prowokacje — alarm bojowy ogłoszono na całym Półwyspie Helskim. Polskie oddziały lądowe z Korpusu Ochrony Pogranicza natychmiast zajęły pozycje bojowe u nasady Mierzei Helskiej, pod Władysławowem i Wielką Wsią. Na Helu ogłoszono stan wojenny. Z godziny na godzinę spodziewano się nieprzyjaciela od strony lądu lub od morza. Na razie Niemcy atakowali na kierunku Gdyni. Do Helu niemieckie oddziały lądowe miały podejść dopiero 10 dni później<sup>3</sup>.

W pierwszej fazie wojny głównym celem niemieckim było zniszczenie polskiej floty na Bałtyku, co pozwoliłoby zablokować Hel i uczynić go niegroźnym dla Kriegsmarine. W ostatnich godzinach przed wybuchem wojny i w pierwszych godzinach jej trwania okręty Polskiej Marynarki Wojennej były jeszcze na patrolach i wybuch wojny w większości zaskoczył je na pełnym morzu.

<sup>3</sup> *Tamże*, s. 55-56.

Niemcy na razie nie ryzykowali gwałtownych ataków powietrznych na Półwysep Helski. Drugi nalot nastąpił dopiero po południu, a dokładnie o godzinie 15.00. Tym razem nieprzyjaciel rzucił przeciwko Polakom 38 bombowców nurkujących typu „Junkers Ju-87B” z zamiarem zniszczenia przede wszystkim baterii cypłowej imienia Laskowskiego, której działa mogły być istotnym zagrożeniem dla floty niemieckiej na Bałtyku. Atak zakończył się niepowodzeniem, gdyż Polacy nie dali się i tym razem zaskoczyć, powitali Niemców gradem pocisków. Do napastników strzelali wszyscy. Oto jak opisuje te walkę dowódca 21. baterii przeciwlotniczej, tzw. cypłowej, kpt. Ignacy Dziubiński:

„Z dział 21 baterii poszybowały na spotkanie wroga pierwsze pociski. (...) Następuje rozbicie szyku samolotów. Dwa aparaty jak postrzelone kuropatwy skręcają się w bok, obniżając coraz to więcej swój lot, chylą się w dali ku tafli wodnej. Reszta zespołu, spazmatycznie wyjąc, szerokim wachlarzem zaatakowała wszystkie nasze elementy ogniowe od cypla aż po port wojenny. Obrona przeciwlotnicza Rejonu otwiera gwałtowny ogień ze wszystkich dział, działek i broni maszynowej. Niebo pokrywa się dymem i błyskami, sznury pocisków świetlnych i smugowych jak lawina pomykają we wszystkich kierunkach w górę. Baterie nadbrzeżne i okrętowe — w pełnej akcji bojowej. Wszystkie nasze jednostki i osiedla — pod nawałnicą wstrząsów i ognia”<sup>4</sup>.

Niemcy, przerażeni siłą polskiej obrony, zmuszeni byli zwiększyć pułap i dlatego skutki tego drugiego bombardowania nie były tak dotkliwe, jakby należało się tego spodziewać. Polskie działa nie doznały uszkodzeń, były jednak straty w ludziach. Padło wielu zabitych i rannych. Obiektywnie rzecz biorąc, Luftwaffe okazała się jednak niezdolna do zniszczenia naziemnych umocnień helskich

<sup>4</sup> Cytuję za E. Kosiarzem, *Obrona Helu w 1939 r.*, s. 56-57.

i do złamania ducha ich obrońców. Można powiedzieć, że ten drugi nalot tylko scementował polską obronę.

Nieprzyjacieli, widząc nieskuteczność nalotów bombowych na Półwysep Helski, skierował swoje uderzenie na okręty Polskiej Marynarki Wojennej na Bałtyku. Jeszcze tego samego dnia (1 września) między Gdynią a Helem doszło do bitwy morskiej pomiędzy polskim konwojem, w skład którego wchodziły niszczyciel „Wicher” i stawiacz min „Gryf”. Niemieckie dowództwo rozumowało, zresztą słusznie, że jeżeli uda się już w pierwszych dniach wojny zablokować i posłać na dno większość polskiej floty na Bałtyku, to Hel przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie bojowe i prędzej czy później sam się podda, bo dalsza jego obrona straci sens.

W odległości około trzech mil morskich od Helu odbywał tego dnia zwykle ćwiczenia i służbę patrolową zespół polskich okrętów wojennych w składzie: niszczyciel „Wicher”, stawiacz min „Gryf” (największa z polskich jednostek wojennych na Bałtyku), dwie kanonierki „Generał Haller” i „Komendant Piłsudski” oraz grupy trałowców „Mewa”, „Czapla”, „Żuraw”, „Rybitwa”, „Jaskółka” i „Czajka”. Wszystkie one wracały do portu helskiego, skąd nocą z 1 na 2 września miały wyruszyć do minowania polskich wód terytorialnych (miała to być akcja o kryptonimie „Rurka”). 1 września, około godziny 17.00, *niemieckie* lotnictwo uderzyło na ten konwój. Ponad trzydzieści samolotów „Junkers” zaatakowało polskie okręty, licząc na ich szybkie unicestwienie już w pierwszym dniu wojny, ale im się to nie udało. Polskie okręty broniły się z wielką zaciętością i ofiarnością.

Pierwsze uderzenie przyjął na siebie idący na czele konwoju ORP „Wicher”, który dysponował największą siłą ognia. Zaraz za „Wichrem” płynął w konwoju „Gryf”. Był on powolniejszy od „Wichra”, ale miał za to silniejszą artylerię przeciwlotniczą. On również stał się celem dla

niemieckich bomb. Sytuacja „Gryfa” nie była godna pozazdroszczenia. Na pokładzie okrętu znajdowało się około trzystu min, które — w razie trafienia — mogłyby zamienić okręt w jedną wielką pływającą bombę, z której nikt zapewne nie uszedłby z życiem. Dowódca okrętu, kmdr ppor. Stefan Kwiatkowski, umiejętnie manewrował, nie dając się Niemcom trafić ani zatopić, a przy okazji odgryzając się niemieckim lotnikom z dział pokładowych, na ile to tylko było w jego mocy. Naoczny świadek tej walki kmdr Ignacy Kuczkowski relacjonuje:

„Okręt uchylał się od bomb. Oficerowie i załoga mimo spotkania się oko w oko z tak piekielnym i niespodziewanym atakiem, wykazywali całkowite opanowanie nerwów. Marynarze z obsługi broni przeciwlotniczej, jakkolwiek ostrzeliwani z karabinów maszynowych samolotów, odgryzali się ze szczególną zaciekłością”<sup>5</sup>. „Gryf” poniósł tego dnia bodajże największe straty z całego konwoju. Był poważnie uszkodzony odłamkami bomb niemieckich, jego dowódca, kmdr ppor. Stefan Kwiatkowski, poległ na mostku kapitańskim, trafiony odłamkiem bomby, a co najgorsze, wiele min spadło ze swoich łożysk i istniała realna groźba samozapłonu i wybuchu. Na mostku kapitańskim czerwono było od krwi, wszędzie leżeli ranni i zabici. Ster okrętu został zablokowany. — Co prawda, grupa specjalistów natychmiast zajęła się naprawą, ale pod nieprzyjacielskimi bombami nie było to łatwe. Tymczasem Niemcy dostrzegli kłopoty „Gryfa” i uwzięli się właśnie na niego, chcąc go zatopić<sup>6</sup>.

Na szczęście „Gryfowi” przyszli z pomocą marynarze z sąsiednich jednostek. „Wicher” i kanonierki natychmiast osłoniły go, w miarę swoich możliwości, ogniem z dział przeciwlotniczych. Nie było to łatwe, bo niemieckie

<sup>5</sup> Cytuję za E. Kosiarzem, *Obrona Helu w 1939 r.*, s. 61.

<sup>6</sup> *Tamże*, s. 61-63.

bomby padały gęsto i dosłownie wszędzie. Uszkodzeniu uległy przy tym „Mewa” i „Czapla”, poległo wielu polskich marynarzy, ale żaden z okrętów nie zaprzestał walki. Polacy bili się jak w transie, nie zważając na wybuchające obok bomby, zalewające pokłady potoki wody, a także na rany i zagrożenie życia. Ostatecznie Niemcy lotnicy po kilkunastu minutach walki zrezygnowali z próby zatopienia polskiej eskadry okrętów wojennych i odlecieli w kierunku Słupska.

Teoretycznie Polacy wygrali to starcie na morzu. Żaden z naszych okrętów nie został zatopiony. Wiele jednak po tej bitwie było poważnych uszkodzeń, których nie dało się usunąć. „Mewa” i „Czapla” nie były już zdolne do walki i zostały odholowane do portów na Półwyspie Helskim, gdzie w jakiś czas później zostały zatopione podczas kolejnych nalotów niemieckich. „Gryf”, co prawda, pływał, ale nie był już w pełni sprawny jako stawiacz min.

Na dodatek, kpt. Wiktor Łomidze (Gruzin z pochodzenia), który po śmierci kmdr. ppor. Kwiatkowskiego tymczasowo przejął dowodzenie „Gryfem”, zaniepokojony uszkodzeniami okrętu, rozkazał natychmiast wyrzucić wszystkie miny do morza. Do dziś toczy się dyskusja, czy był to przemyślany rozkaz. Łomidze wyjaśniał potem, iż rzekomo taki rozkaz otrzymał z Helu<sup>7</sup>. Faktem jest, że od tego momentu jakiegokolwiek plany minowania polskich wód przybrzeżnych w ramach operacji „Rurka” stały się nierealne, bo Polakom brakowało min. Co ciekawe, „Wicher” wyszedł w morze w nocy z 1 na 2 września, aby zgodnie z planem osłaniać minerskie działania „Gryfa”, ale stawiacza min nie zastał tam, gdzie powinien być. Po powrocie na Hel okazało się, że „Gryf” spokojnie stoi sobie w porcie. Z tego powodu doszło nawet do awantur między załogami „Wichra” i „Gryfa”. Jedno jest pewne, że od wieczora 1 września 1939 r. polska flota wojenna nie

<sup>7</sup> M. Borowiak, *Plamy na banderze*, Warszawa 2008, s. 48-60.

była już w stanie prowadzić działań wojennych na Bałtyku na większą skalę. „Wicher” i „Gryf” od rana 2 września do wieczora 3 września były tylko bateriami artyleryjskimi, które w sposób statyczny broniły portu helskiego<sup>8</sup>. Ograniczone działania na morzu mogły, do pewnego momentu, wykonywać już tylko mniejsze jednostki naszej floty — trałowce, kanonierki i okręty podwodne. Następne dni miały przynieść całkowitą zagładę polskiej floty wojennej na Bałtyku<sup>9</sup>.

Kiedy wieczorem 1 września 1939 r. okręty polskie weszły do portu w Helu, por. Mieczysław Milewski, lekarz wojskowy, zobaczył coś, co do tej pory nie mieściło mu się w głowie: „Widok wstrząsający. Jakże straszne okaleczenia i potworne rany wyrządzają odłamki bomb. A ranni spokojnie, bez jęków leżą i bez skarg oczekują na swoją kolejkę... Nikt nie ma żadnych życzeń. Ileż to lżej rannych po toalecie rany i założeniu opatrunku chciało zaraz wracać na okręty i dalej walczyć! Iluż to ciężko rannych pytało, jak długo będą leczyć ich rany, bo chcieliby wracać na front, by pomścić swoich zabitych kolegów...”<sup>10</sup>.

Wszystko to świadczy o ogromnej determinacji obrońców Helu. Były to dopiero pierwsze godziny wojny. Wszyscy jeszcze wierzyli w zwycięstwo. Wierzyli w rychłą pomoc Francuzów i Brytyjczyków. Następne dni dopiero miały poderwać tę wiarę wobec niedobrych wiadomości z polskiego frontu oraz z zamarłego frontu na Renie. Ale to dopiero następne dni. Na razie po stronie polskiej trwa euforia.

<sup>8</sup> E. Kosiarz, *Od pierwszej do ostatniej salwy*, Warszawa 1973, s. 9-24; tegoż, *Salwy nad Zatoką*, Gdańsk 1980, s. 46-53. Patrz również: J. Lipiński, *Druga wojna światowa na morzu*, Warszawa 1995, s. 24-25; *Wojna obronna Polski 1939*, praca zbiorowa pod red. Eugeniusza Kozłowskiego, Warszawa 1979, s. 761-763.

<sup>9</sup> M. Borowiak, *Plamy na banderze*, s. 48-60; E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 63-64.

<sup>10</sup> Cytuję za E. Kosiarzem, *tamże*.

Wieczorem 1 września około godziny 18.00 Niemcy dokonali jeszcze jednego nalotu na Hel. Tym razem uderzenie było silniejsze niż dwa poprzednie. Celem niemieckich bombowców był port rybacki oraz okręty stojące w porcie wojennym. Niemcy liczyli na dokończenie tego, co nie udało się im na morzu. Chcieli za wszelką cenę posłać na dno „Wichra” i „Gryfa” oraz co się da z mniejszych jednostek. Przewidywali, że polska obrona przeciwlotnicza da się tym razem zaskoczyć, czekała ich jednak porażka. Wprawdzie Polacy ponieśli znów ciężkie straty w ludziach i wiele budynków w miasteczku zostało uszkodzonych, ale polskie okręty przetrwały nalot w dość dobrym stanie, a polska obrona przeciwlotnicza znowu mocno dała się Niemcom we znaki. Największym zaskoczeniem dla Polaków był jednak kolejny nalot — tym razem po zapadnięciu zmroku i ukazaniu się księżyca. I ten atak odparto, ale po całonocnej obronie polscy artylerzyści mieli już wszystkiego dość. Jednakże wtedy chyba zestrzelono kilka maszyn wroga. Trudno to ustalić, gdyż spadły w morze<sup>11</sup>.

2 września minął na Helu względnie spokojnie, jeśli nie liczyć niemieckich lotów zwiadowczych, które miały na celu zlustrowanie polskich umocnień z powietrza. Jeden samolot wroga udało się zestrzelić. Obrońcy Helu, a zwłaszcza marynarze, wykorzystali ten dzień na odpoczynek i naprawy okrętów, na ile było to możliwe w skromnych warunkach Rejonu Umocnionego. Tego dnia wydarzyło się też coś, co niewątpliwie warto odnotować, jako przejaw polskiej inicjatywy w tej wojnie. Oddajmy w tym miejscu głos dowódcy ORP „Wicher”, kmdr. por. Stefanowi de Waldenowi:

„Prosiłem o pozwolenie ostrzelania pancernika «Schleswig-Holstein», stojącego w kanale gdańskim i strzelającego

<sup>11</sup> *Tamże*, s. 65-66.



na Westerplatte. Okręt nawet silnie opancerzony ma swoje wrażliwe miejsca, co udowodniła po kilkunastu dniach bateria im. Laskowskiego, uszkadzając i zmuszając do odwrotu ten sam pancernik swoimi działami 152,4 mm. Odmówiono zgody na moją prośbę, jak również na propozycję ostrzelania Nowego Portu, skąd atakowano Westerplatte, nie chcąc stwarzać precedensu bombardowania miast<sup>12</sup>.

Plan kmdr. de Waldena był, co trzeba uczciwie przyznać, dość ryzykowny. Starcie polskiego kontrtorpedowca z niemieckim pancernikiem, który posiadał dużo silniejsze opancerzenie i siłę ognia, mogło być dla „Wichra” śmiertelne. Wymagałoby to oczywiście opuszczenia portu helskiego i zbliżenia się do Gdańska na odległość zasięgu dział. Niemcy mogli zawsze wezwać na pomoc bombowce, a Polacy nie. Można w tym miejscu zrozumieć obawy kontradm. Unruga przed wysłaniem swojego najlepszego okrętu na tak samobójczą misję. Z drugiej jednak strony trzymanie sprawnego niszczyciela jako bierną baterię przybrzeżną w porcie helskim skazywało Polaków na położenie bez wyjścia, gdyż oddawało całą inicjatywę bojową w ręce niemieckie. Już następnego dnia miało się okazać, że taka koncepcja bojowa doprowadziła nas do utraty „Wichra” i „Gryfa”. Pomimo ryzyka plan de Waldena mógł się udać, zwłaszcza gdyby rajd na „Schleswiga-Holsteina” nastąpił pod osłoną nocy i gdyby „Wichra” ubezpieczał jeden z polskich okrętów podwodnych operujących na Bałtyku, np. „Orzeł”. Niewątpliwie zniszczenie lub uszkodzenie „Schleswiga-Holsteina” skomplikowałoby Niemcom sytuację na Bałtyku i przedłużyło opór Westerplatte i Gdyni. Można powiedzieć, że Polakom w tak ciężkiej sytuacji szkodziła jeszcze dodatkowo bierność, kunktatorstwo i tchórzostwo dowódców własnej Marynarki Wojennej. Sztab Unruga

<sup>12</sup> Cytuję za R. Witkowskim, *Ostatnia reduta*, Gdańsk 1973, s. 50.

wciąż miał skrupuły, których Niemcy nie mieli. Polacy ciągle jeszcze nie dopuszczali do siebie prostej prawdy, że zasady honorowe obowiązują tylko wobec rycerzy, a nie bandytów w mundurach.

Następnego dnia rano, 3 września o godzinie 6.50, przed wejściem do portu helskiego pojawiły się dwa niemieckie niszczyciele „Leberecht Mass” i „Wolfgang Zenker”. Szły z Piławy kursem na Gdańsk. Raptem zwróciły się w stronę Helu i rozpoczęły ostrzał polskich okrętów z bliskiej odległości. Wynosiła ona tylko 21 000 metrów, a w warunkach morskich to bardzo mało. Polskie działa obrony Wybrzeża i polskie okręty „Wicher” i „Gryf” natychmiast podjęły z nimi pojedynek artyleryjski. Eskadrą niemiecką dowodził sam kontradmirał Günther Liitjens<sup>13</sup>; była to jego popisowa wyprawa, którą chciał olśnić Hitlera, a przy okazji wybadać walką siłę polskiej obrony od strony morza, czy nie dałoby rady wysadzić na Helu desantu z zaskoczenia. Tu jednak spotkał go ciężki zawód. Polacy sprawili mu odpowiednie do jego rangi powitanie.

Starcie ogniowe okrętów polskich i niemieckich trwało zaledwie trzynaście minut, ale wykazało wyższość wykszolenia i bojowości polskich marynarzy nad nowicjuszami z Kriegsmarine. Wynik tego pojedynku artyleryjskiego okazał się ponownie korzystny dla Polaków. Niemieckie pociski nie wyrządziły naszym okrętom większych szkód. Za to salwy z „Wichra” i „Gryfa” najprawdopodobniej poważnie uszkodziły lub zatopiły jeden z niemieckich niszczycieli<sup>14</sup>. Przepuszczalnie był nim „Wolfgang Zenker”.

<sup>13</sup> Kontradm. Günther Lütjens był dowódcą floty niemieckiej na Bałtyku w zastępstwie wiceadm. Hermanna Denscha, który udał się na Morze Północne w związku z zagrożeniem brytyjskim. Po nim dowodzenie na Bałtyku przejął kmdr Friedrich Ruge.

<sup>14</sup> E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 67-70; tenże, *Od pierwszej do ostatniej salwy*, s. 9-24. Co do tego nie ma do dziś stuprocentowej pewności, ale wiadomo, że jeden z niszczycieli nieprzyjacielskich mocno dymił podczas odwrotu, co dobrze widzieli Polacy z Helu. Oznaczałoby

Potwierdzały to fragment relacji kpt. Zbigniewa Przybyszewskiego, dowódcy baterii helskiej:

„Dziób jego był zanurzony, rufa trochę wzniesiona. Odległość ponad 26 tysięcy metrów. W niecałe 3 godziny później wzięły go na hol 3 małe statki. Według późniejszych relacji niemieckich miał w drodze zatonać”<sup>15</sup>.

Wściekłość kontradm. Liitjensa musiała być wielka, skoro już o godzinie 9.00 tego samego dnia (3 września) nastąpił atak niemieckiego lotnictwa na polskie okręty wojenne w porcie helskim. Pierwszy ucierpiał „Gryf”, obrzucony bombami i ostrzelany z broni pokładowej przez niemieckie nurkowce typu „Junkers”. Na okręcie, który stał nieruchomo w porcie, pomimo twardej obrony przeciwlotniczej, upadająca bomba zdołała wzniecić pożar. Polski stawiacz min płonął. Było wielu zabitych i rannych<sup>16</sup>. Około godziny 14.00 nastąpił drugi atak niemiecki z powietrza, którego celem tym razem był „Wicher”. Jedna bomba trafiła go w dziób i rozerwała aż do pomostu, druga wybuchła tuż przy burcie i zdarła pokrycie.

„Okręt, nabierając wody, chylił się na prawą burtę. Dalsze dwie bomby trafiły w śródokręcie. Załoga walczyła do ostatnich chwil. Podczas walki zginął st. mar. Kwiatkowski, który, mimo że był sygnalistą, zastąpił ranną obsługę karabinu maszynowego i do ostatka prowadził ogień. Dzielnie spisał się między innymi mat Kuzior.

to, że okręt ten był ciężko uszkodzony przez polskie pociski. Podobno już w czasie wojny Niemcy zaczęli pisać o jego zatopieniu. Z drugiej strony w oficjalnych komunikatach niemieckich o tej walce pojawiały się tylko lakoniczne wzmianki o starciu okrętów w okolicach Helu. Pisał o tym również po wojnie w swoich wspomnieniach kontradm. Józef Unrug i nie wykluczał zatopienia jednej z nieprzyjacielskich jednostek. Zatonięcie niemieckiego niszczyciela tłumaczyłoby nagle dymisję Liitjensa ze stanowiska dowódcy Kriegsmarine na Bałtyku. Ta nieudana akcja musiała szczególnie oburzyć samego Hitlera, dlatego Liitjens musiał odejść.

<sup>15</sup> Cytuję za E. Kosiarem, *Od pierwszej do ostatniej salwy*, s. 22.

<sup>16</sup> E. Kosiaryz, *Obrona Helu*, s. 70-71.

Podoficer ten wykazał niebywałą odwagę i inicjatywę, rzucając się po wybuchu bomb do kotłowni, gdzie odkręcił zawory i wypuścił parę, uniemożliwiając tym samym wybuch kotłów. Mat Bogacewicz, stojąc po kolana w wodzie, wciąż strzelał do samolotów. Dopiero w momencie, gdy okręt przechylił się do tego stopnia, że prowadzenie ognia stało się niemożliwe, załoga zaczęła opuszczać swoje stanowiska bojowe. Wielu marynarzy po zatonięciu okrętu znalazło się w wodzie. Byli wśród nich ranni, między innymi mat Swirbutowicz uratował ciężko rannego ppor. Mamaka, któremu odłamek bomby urwał nogę. A wszystko to odbywało się pod nieustannym ogniem broni pokładowej samolotów, strzelających do pływających i bezbronnych już rozbitków. «Wicher» zatonął, ale załoga jego walczyła nadal na łądzie<sup>17</sup>.

Wściekli Niemcy, ażeby mieć stuprocentową pewność, że polskie okręty już im nie zagrażą, przeprowadzili jeszcze dwa naloty na port helski. Pierwszy nastąpił

o godzinie 16.00, a jego celem były stojące w porcie rybackim, częściowo już rozbrojone — ich działa zdemontowano i przeniesiono na ląd jako zaimprovizowane baterie nadbrzeżne — polskie kanonierki „Generał Haller”

1 „Komendant Piłsudski”. Nalot ten przetrwała w dobrym stanie tylko druga z nich. Następny nalot miał miejsce o godzinie 18.30. Tym razem Luftwaffe dokańczyła „Gryfa”, już poważnie uszkodzonego w porannym ataku. Bomby niemieckie spowodowały teraz wybuch zbiorników paliwa na naszym stawiaczku min. Ogromnego pożaru załoga nie była w stanie ugasić. Trzeba było opuścić wrak, by uratować życie. Wrak „Gryfa” płonął jeszcze przez dwa dni po zatopieniu. Powoli osiadał na dnie, przewracając się dnem do góry, było ono widoczne ponad powierzchnią wody. Ocaleli marynarze zdemontowali

<sup>17</sup> *Tamże*, s. 71-74.

potem to, co się dało z jego dział i karabinów maszynowych, ażeby wzmocnić tym obronę Półwyspu Helskiego na lądzie. Piękny hold ich bohaterstwu w obronie polskiego morza złożył Edmund Kosiarz:

„Zapoczątkowany pięknym sukcesem artylerzystów polskich dzień 3 września miał dramatyczny epilog. Mimo męskiej obrony okręty nawodne uległy przewadze wroga. Tonęły w walce, z podniesionymi biało-czerwonymi banderami, do końca prowadząc ogień. Załogi ich dały z siebie wszystko, przekraczając granice ofiarności”<sup>18</sup>.

W tym tragicznym dniu (3 września) zakończyła się faktyczna obecność polskiej floty wojennej na Morzu Bałtyckim, jeżeli nie liczyć ograniczonych działań naszych trałowców i okrętów podwodnych w następnych dniach i tygodniach. Sprawdziły się najczarniejsze przewidywania Unruqa, który zawczasu wołał odesłać nasze najlepsze kontrtorpedowce: „Burza”, „Grom” i „Błyskawica” do Wielkiej Brytanii, ażeby nie narażać ich na zniszczenie już w pierwszych dniach wojny. Jednakże 3 września mało kto na Helu przejmował się tą tragedią, gdyż Polskie Radio w Warszawie doniosło o przystąpieniu Wielkiej Brytanii i Francji do wojny z Niemcami. Na Helu, w powszechnej euforii, łudzono się, że już niedługo Royal Navy wedrze się z pomocą na Bałtyk, a wtedy przyjdzie czas pomsty na Kriegsmarine za zatopienie „Wichra” i „Gryfa”. Liczono, że razem z Brytyjczykami i Francuzami powrócą na Bałtyk nasze niszczyciele. Wypatrywano tej odsieczy lada dzień.

Kolejne dni upływały w zasadzie pod znakiem nalotów bombowych i ostrzału artyleryjskiego z morza. Niemcy na razie mieli dość pilniejszych problemów na innych frontach tej wojny (na Wybrzeżu główne walki toczyły się w tym czasie o Gdynię i o Westerplatte, a w ogóle to najważniejszym celem wojsk niemieckich była Warszawa, więc Hel,

<sup>18</sup> *Tamże*, s. 74-75.

i tak odcięty od reszty Polski i skazany na zagładę, był dla nich celem marginalnym.

W tym miejscu wypada jeszcze wspomnieć o działaniach polskich okrętów podwodnych, które według planu kontradm. Unruga o kryptonimie „Worek”, miały stanowić ruchomą obronę wód wokół Helu przed atakami niemieckich okrętów nawodnych. Plan „Worek” był opracowany jeszcze przed wojną. Okręty podwodne miały pozostać na Bałtyku i w oparciu o helską bazę wojenną patrolować okolice Helu i zniemacka atakować nieprzyjacielskie jednostki, które zbliżyłyby się do Półwyspu Helskiego. Plan Unruga, teoretycznie dobry i logiczny, miał jednak kilka słabych stron, które zemściły się na polskich marynarzach z okrętów podwodnych już w pierwszych dniach wojny. Kontradmirał, gdy zatwierdzał ten plan w sierpniu 1939 r., najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, na co naraża swoich podwodniaków, każąc im biernie wyczekiwać nieprzyjaciela na z góry wyznaczonych pozycjach wokół Helu.

Bałtyk jest morzem stosunkowo niewielkim i płytkim. Natomiast okręty podwodne, jakie w 1939 r. posiadała Polska Marynarka Wojenna, były za duże, ażeby mogły skutecznie prowadzić działania bojowe na Zatoce Gdańskiej bez obawy wykrycia i zniszczenia przez Luftwaffe i Kriegsmarine. Taki np. ORP „Orzeł”, zbudowany niedługo przed wojną w stoczni holenderskiej, był dużym okrętem podwodnym, nadającym się na Atlantyk lub Morze Północne, lecz na pewno nie na Bałtyk. Ten podwodny krążownik, jak go wtedy nazywano, był po prostu za duży, ażeby mógł bezkarnie działać przeciwko siłom niemieckim na Bałtyku. Szkoda, że kontradm. Unrug nie zastanowił się zawczasu i nie odesłał „Orla” do Wielkiej Brytanii razem z naszymi niszczycielami w ramach operacji „Peking”. Tam nasz okręt po pierwsze, byłby bezpieczny, a po drugie, miałby rzeczywiste pole do działania. Ponieważ tego nie uczyniono,

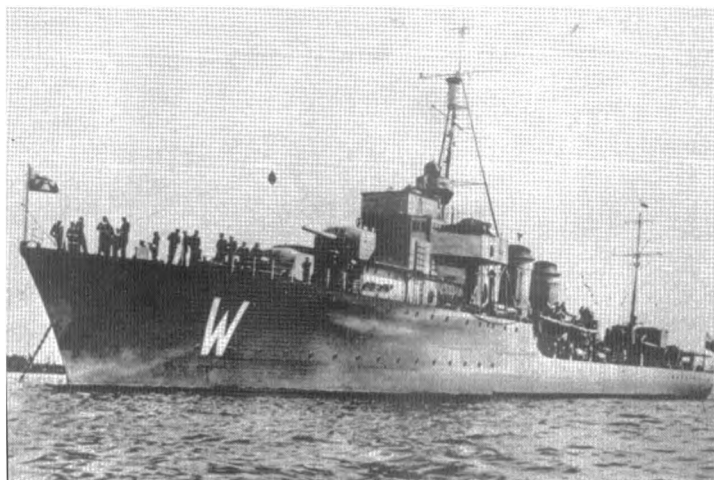
polskie okręty podwodne od początku wojny stały się dla Niemców ściąganą zwierzyną i więcej pozostawały w podwodnym ukryciu niż w akcjach bojowych, które od początku okazały się niewykonalne z powodu miażdżącej przewagi wroga na powierzchni morza i w powietrzu.

Nic dziwnego, że np. kmdr Henryk Kłoczkowski, dowódca ORP „Orzeł”, już 3 września samowolnie opuścił rejon, który miał patrolować, czyli Zatokę Gdańską od Gdyni i Oksywiu do Helu, i, *de facto*, dezercerując z pola walki, poprowadził swój okręt do neutralnej Estonii; tam go internowano, bo po prostu załamał się nerwowo i zwątpił w sens dalszej walki z flotą niemiecką<sup>19</sup>.

Z innymi okrętami podwodnymi było podobnie. Nie zdziały one praktycznie nic poza tym, że postawiły kilka min w okolicach Helu; stale tropione przez Kriegsmarine i Luftwaffe, co wywoływało nawet objawy załamania nerwowego i paniki wśród załogi, jak na ORP „Ryś”, po kolej, na rozkaz Unruga, zawijały po 11 września do neutralnych portów szwedzkich, aby uniknąć zniszczenia. Internowane zostały w ten sposób w Szwecji OORP „Ryś”, „Żbik” i „Sęp”. Z Bałtyku wyrwały się tylko cudem OORP „Wilk” i „Orzeł”, który uciekł z Tallina, lecz bez uzbrojenia. Oba okręty podwodne zdołały, po długich perypetiach, dotrzeć do Wielkiej Brytanii. Po latach czołowi badacze obrony Wybrzeża i działań na Bałtyku we wrześniu 1939 r., zarówno Edmund Kosiarz, jak i Mariusz Borowiak, bardzo krytycznie ocenili plany polskiego dowództwa dotyczące użycia okrętów nawodnych oraz podwodnych w wojnie z Niemcami<sup>20</sup>. Edmund Kosiarz wręcz bez ogródek krytykuje plan użycia okrętów podwodnych w stacjonarnej obronie Helu (operacja „Worek”) jako przestarzały, opierający się na doświadczeniach z początku pierwszej wojny światowej.

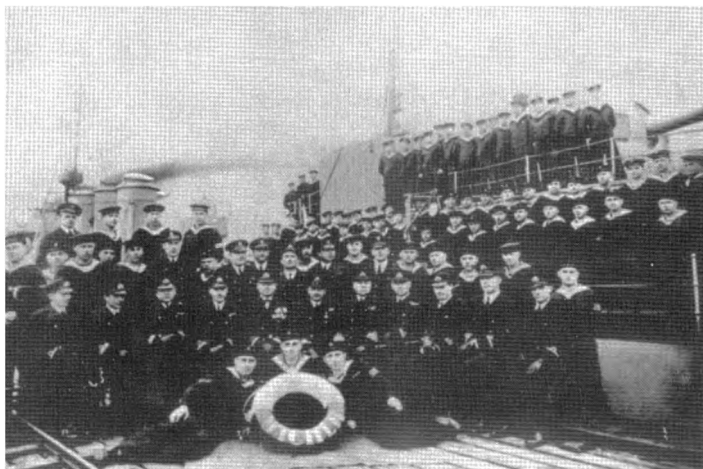
<sup>19</sup> M. Borowiak, *Plamy na banderze*, s. 16-34, 106-129.

<sup>20</sup> *Tamże*, s. 16-34, 235-243; E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 39-51, 75-82.

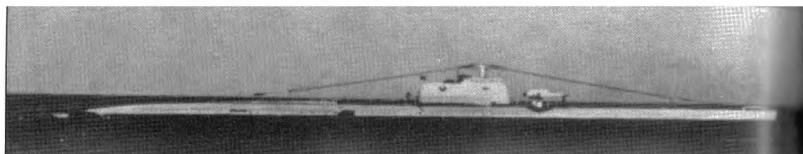


Niszczyciel „Wicher” (wyporność: 1540 ton, uzbrojenie: 4 działa 130 mm)

Załoga niszczyciela „Wicher” przed swoim okrętem

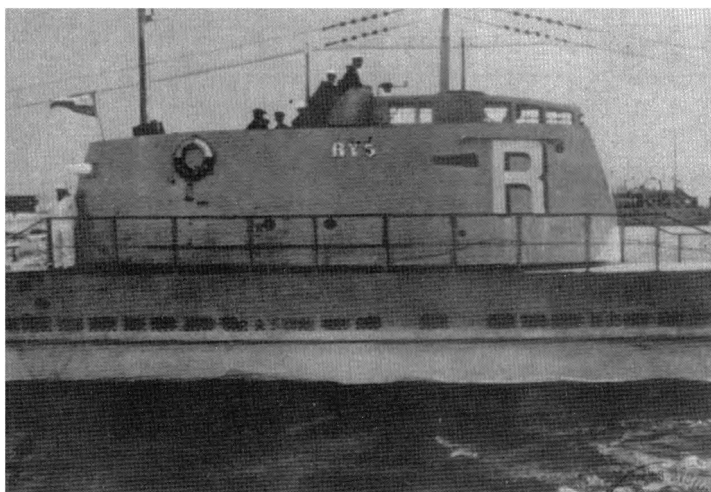


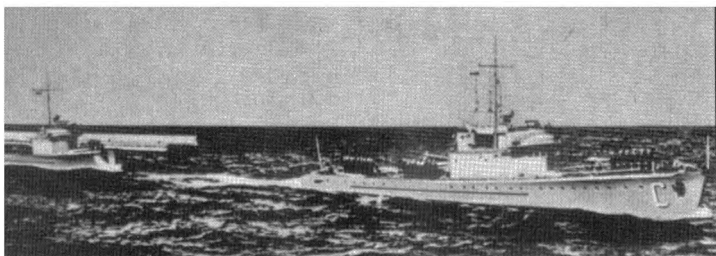




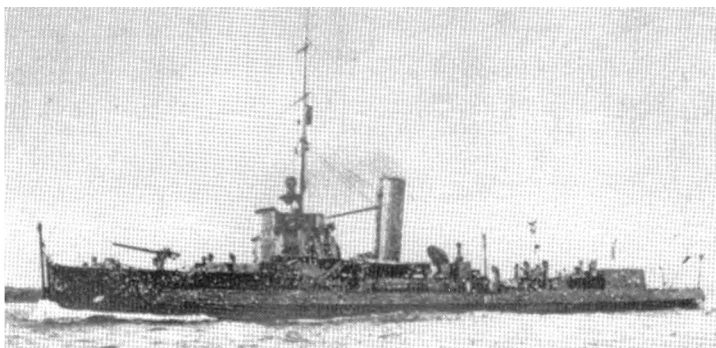
Okręt podwodny „Ryś” 4 września 1939 r. wszedł do portu wojennego Hel w celu naprawienia uszkodzeń (wyporność nawodna: 980 ton, wyporność podwodna: 1250 ton, uzbrojenie: 6 wyrzutni torpedowych, 1 działo 100 mm)

Widok na kiosk „Rysia”



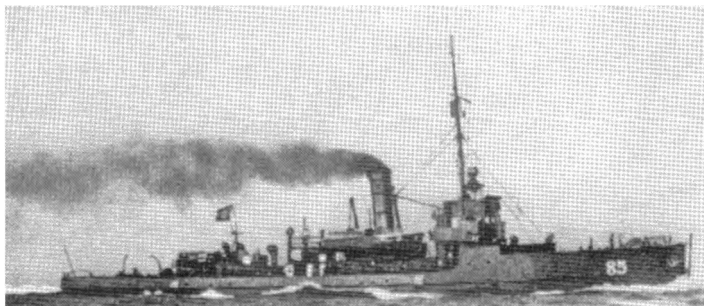


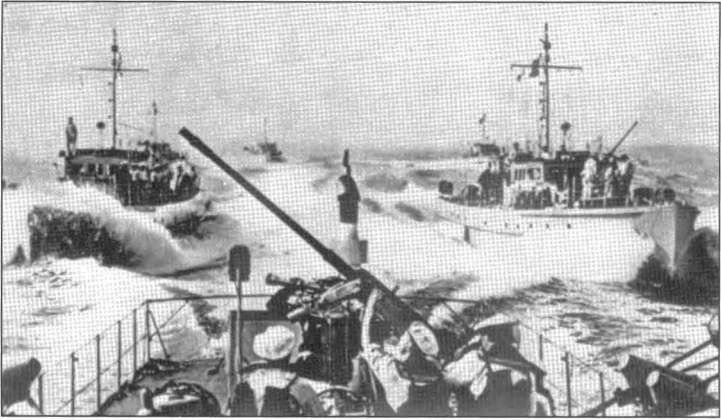
Tralowiec „Czajka” podczas parady morskiej w Gdyni



Tralowiec „Pelikan” (wyporność: 525 t, uzbrojenie: 1 działo 105 mm)

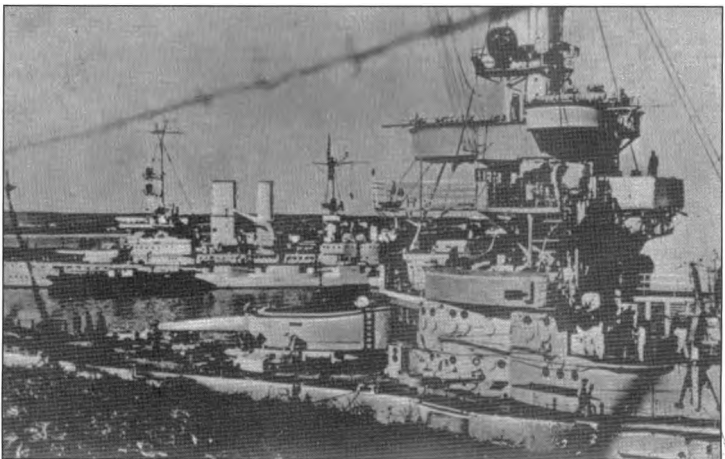
Tralowiec „M-85” zatonął 1 października 1939 r. pod Jastarnią na minie postawionej przez polski okręt podwodny „Żbik”

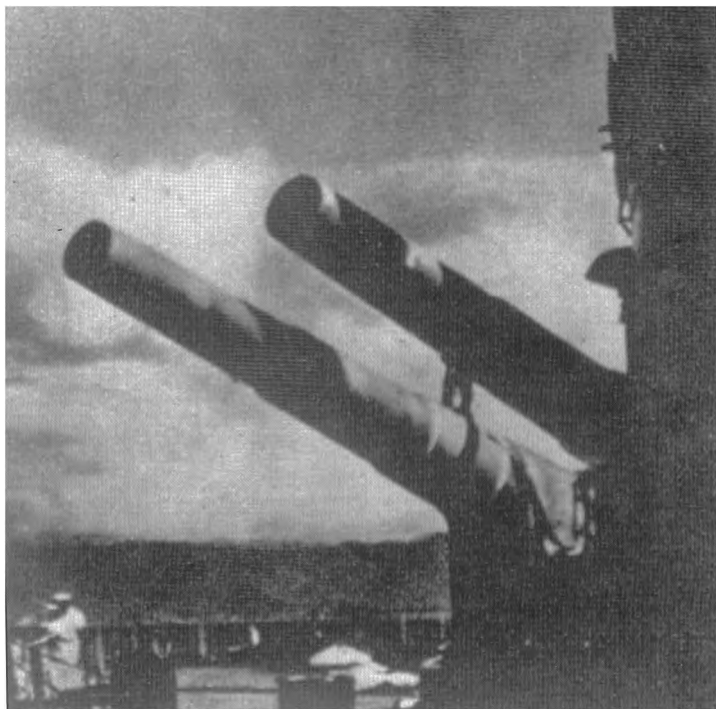




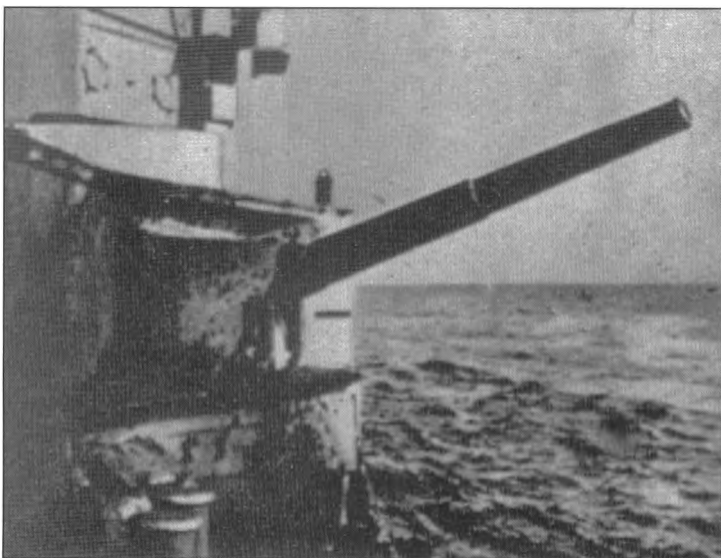
Niemieckie kutry trałowe (Räumboote) w Zatoce Gdańskiej podczas przejścia do rejonu trałowania

Od 20 września 1939 r. w ostrzeliwaniu Helu brały udział oba pancerniki, to jest „Schleswig-Holstein” i „Schlesien”. Na zdjęciu: pancerniki na pozycjach ogniowych w porcie gdańskim (na pierwszym planie „Schleswig-Holstein”)



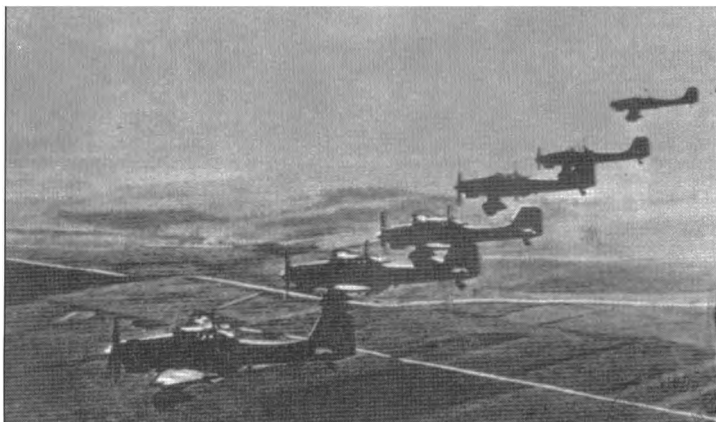


Działa kal. 280 mm wieży dziobowej niemieckiego okrętu liniowego „Schieswig-Hostein”



Ślady trafienia „Schleswiga-Holsteina” pociskiem baterii im. H. Laskowskiego (27 września 1939 r.)

Eskadra niemieckich bombowców nurkowych Junkers Ju 87. Samoloty te były najgroźniejszym wrogiem powietrznym obrońców Helu; kilka z nich zestrzelili artylerzyści z 2. Morskiego Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej





Lej utworzony przez bombę lotniczą dużego kalibru



Dowódca Rejonu Umocnionego Hel kmdr W. Steyer (stoi tyłem) udziela wyjaśnień przedstawicielowi dowództwa niemieckiego. Z prawej strony tłumacz ppor. rez. Alfons Kotowski

Dowódca odcinka „Jastarnia” kpt. mar. Alfred Yougan składa raport o gotowości oddziałów odejścia do niewoli. Oficerem niemieckim jest mjr Gerd-Paul von Bellów, dowódca III batalionu 374. pułku Diechotv



Z racji swojej budowy nie nadawały się one do walki w ograniczonym rejonie.

Polskie okręty podwodne od początku wojny skazane były na ciągłe ukrywanie się i uciekanie przed wrogiem. Wobec przewagi niemieckiej na Bałtyku i braku wsparcia ze strony zachodnich aliantów ich działania bojowe, których po prostu być nie mogło, od początku były pozbawione wszelkiego sensu z wojskowego punktu widzenia. Jedynym logicznym wyjściem z tej sytuacji bez wyjścia byłoby oczywiście wydanie rozkazu ewakuacji okrętów podwodnych w liczbie pięciu do Wielkiej Brytanii, gdyż na Bałtyku mogliśmy je tylko stracić. Taki rozkaz kontradm. Unrug mógł wydać albo w ostatnich dniach przed wybuchem wojny (wtedy nasze okręty podwodne mogłyby odplynać razem ze wszystkimi naszymi niszczycielami i stawiaczem min „Gryfem” w ramach operacji „Peking”), albo w pierwszych dniach wojny, ale nie później niż do 7 września, kiedy Kriegsmarine jeszcze nie w pełni zablokowała Zatokę Gdańską. Dokąd Niemcy byli poważnie zajęci obleganiem Gdyni i Westerplatte, polska eskadra podwodna miałaby dość czasu i paliwa, ażeby przedrzeć się niepostrzeżenie na Morze Północne i dalej do portów brytyjskich, gdzie okręty byłyby bezpieczne i jeszcze by się Polsce w tej wojnie przydały.

Za nieobjęcie planem „Peking” wszystkich naszych niszczycieli oraz okrętów podwodnych i skazanie przez to „Wichra” i „Gryfa” na pewne zniszczenie, a „Sępa”, „Żbika” i „Rysia” na bezsensowne działania na Bałtyku, bezpośrednią winę ponosi marsz. Edward Rydz-Śmigły, który winien był ratować naszą flotę wojenną przed pewną zagładą.

Pośrednio winni są temu kontradmirałowie Jerzy Swirski oraz Józef Unrug. Pierwszy dlatego, że faktycznie zaniedbał przekonanie Rydza o pilnej i bezwzględnej konieczności ewakuacji większości naszej floty wojennej, a następnie



— już podczas wojny — zbyt szybko opuścił Polskę (udał się do Francji), pozostawiając Marynarkę Wojenną na Bałtyku bez jednoznacznych rozkazów i faktycznie własnemu losowi<sup>21</sup>.

Drugi natomiast mógł wydać taki rozkaz na własną rękę już w ostatnich dniach pokoju lub w pierwszych dniach wojny. Fakt, że zrobił to dopiero 11 września, kiedy ewakuacja była już ryzykowna, a dowódcy jednostek załamani, niezbyt dobrze świadczy o rzutkości kontradm. Unruga w podejmowaniu samodzielnych decyzji<sup>22</sup>. On po prostu zbyt długo oglądał się na decyzje Rydza i Swirskiego. Sztywna szkoła pruska, w jakiej został wychowany, nauczyła go tylko ścisłego wykonywania rozkazów przełożonych, nie zaś samodzielnego myślenia, co na wojnie jest zaletą, a nie wadą<sup>23</sup>. Skutkiem tego polski plan obrony morskiej Wybrzeża też był zbyt sztywny, co spowodowało niepotrzebne straty w ludziach i okrętach oraz niewykorzystanie możliwości, które mieliśmy. Na przykład, z winy Becka i Rydza-Smigłego, nie zaminowaliśmy na czas polskich wód przybrzeżnych, a w pierwszych dniach wojny było już na to za późno.

Ograniczone działania na morzu mogły prowadzić już tylko nasze trałowce, które od 3 do 19 września patrolowały

<sup>21</sup> M. B o r o w i a k, *Plamy na banderze*, s. 106-129, 235-252. Faktem jest, że nasza flota wojenna, choćby nie wiem jak sprawnie dowodzona, nie mogła dosłownie niczego dokonać na Zatoce Gdańskiej we wrześniu 1939 r., a więc przetrzymywanie jej na Bałtyku wobec miażdżącej przewagi Kriegsmarine i Luftwaffe należy bezspornie uznać za tragiczny błąd polskiego dowództwa.

<sup>22</sup> *Tamie*, s. 106-129, 235-242.

<sup>23</sup> Niestety pruskiej szkoły wojennej było wpajanie młodym oficerom wyłącznie drylu i ślepego posłuszeństwa przełożonym. Takie wychowanie miało uczynić z pruskich żołnierzy i oficerów automaty wojenne, gotowe wypełnić bez dyskusji nawet najgłupsze rozkazy przełożonych, zgodnie ze znaną maksymą Fryderyka Wielkiego: „Słuchać, a nie rezonować!”. Maksyma to piękna, ale zawodzi w warunkach ekstremalnych, gdy przełożonego nie ma, a tu trzeba szybko podejmować samodzielne decyzje.

okolice Helu, zwalczając niemieckie próby minowania wód wokół Mierzei Helskiej. Wiele uczynić nie mogły, ale trochę niemieckim jednostkom przeszkadzały. Dotkliwie straty wśród okrętów nawodnych skłoniły Unruga do przekształcenia większości sprawnych jeszcze jednostek pływających Polskiej Marynarki Wojennej na Bałtyku w pływające baterie obrony portów w Jastarni i Helu. Okręty częściowo rozbrojono, a ich załogi włączono do lądowej załogi Półwyspu Helskiego. Zdjęte z pokładów działa i karabiny maszynowe ustawiono na brzegu jako wzmocnienie artylerii lądowej (to samo stało się z uzbrojeniem odzyskanym z wraków: „Gryfa”, „Wichra”, „Generała Hallera” i „Mewy”)<sup>24</sup>.

Na morzu Polacy zostali zablokowani już w pierwszych dniach wojny. Niemcy praktycznie nie musieli obawiać się działań naszej floty. Jedynym wyjątkiem były dwie akcje trałowców, wspartych ogniem artylerii nadbrzeżnej; podjęto je 12 i 14 września w celu wsparcia obrony Gdyni i Oksywiu. Pisałem już o tym w rozdziale o walkach w Gdyni i na Oksywiu, ale tu chcę temat nieco rozszerzyć, gdyż był to jedyny przejaw inicjatywy bojowej Polskiej Marynarki Wojennej w tej wojnie. Oto, co pisze na ten temat niezrównany kronikarz walk o polskie morze, Edmund Kosiarz:

„12 września, kiedy niemieckie oddziały zawzięcie nacierały na szosie prowadzącej z Mrzezina do Pierwoszyna, a nieliczni w tym rejonie obrońcy polscy nie mogli powstrzymać wroga, z Jastarni przybyły pod Rewę trzy zdolne jeszcze w tym czasie do walki trałowce: «Jaskółka», «Czajka» i «Rybitwa». Wypad był śmiały i ryzykowny wobec obecności w Zatoce Gdańskiej licznych okrętów przeciwnika, ale zakończył się pełnym sukcesem. Okręty zajęły pozycję w odległości 2500-3000 m od cypla w Rewie

<sup>24</sup> E. Kosiarz, *Obroń Helu*, s. 83.

i ogniem artylerii razily zgrupowanie nieprzyjaciela. (...) Niespodziewany ostrzał wywołał początkowo zamieszanie w szeregach wojsk niemieckich i osłabianie przez nich natarcia. Właściwie o to tylko chodziło. (...)

14 września w godzinach rannych trałowce ponowiły wypad. Był on jeszcze śmielszy i ryzykowniejszy od poprzedniego. (...) Marynarze zaryzykowali, pragnąc przyjść z pomocą pododdziałom 2 morskiego pułku strzelców, prowadzącym zacięte walki o Mechelinki. Miejscowość ta dwukrotnie przechodziła z rąk do rąk. Właśnie do niej zbliżyły się trałowce i ostrzelały pozycje wojsk niemieckich<sup>25</sup>.

Akcje trałowców oraz artylerii nadbrzeżnej z Helu, choć doraźnie wsparły obrońców Gdyni i Kępy Ok-sywskiej, nie były w stanie im wiele pomóc. Przewaga przeciwnika była zbyt wielka. Płk Dąbek docenił i tę skromną pomoc marynarzy z Helu dla swojej załogi i 19 września, podczas ostatniej rozmowy telefonicznej z kontradm. Unrugiem, wyraził mu za to wyrazy podziękowania i najwyższego uznania.

Polskie trałowce postawiły też w nocy z 12 na 13 września zapórę minową na morzu od Jastarni do Helu, liczącą około 60 min, które trochę utrudniły Kriegsmarine podchodzenie w pobliże półwyspu i uniemożliwiły wysadzenie tam desantu. Niemcy szybko zemścili się za to wszystko. Już 14 września około godziny 10.00 rano samoloty Luftwaffe zaatakowały z furią wszystkie polskie trałowce, bazujące w porcie w Jastarni. Szaleńcza obrona przeciwlotnicza i strącenie do morza kilku maszyn wroga nie uchroniły naszych trałowców przed zatopieniem. Ocalały tylko „Czajka” i „Żuraw”. „Rybitwę” udało się prowizorycznie odremontować na tyle, że można ją było holować. Nieco później ocalałe okręty przeholowano z za-

<sup>25</sup> *Tamże*, s. 89-90.

grożonej Jastarni do Helu, a tam je rozbrojono. Ocaleni marynarze z tych trałowców zasilili lądową załogę Helu, a uzbrojenie okrętów wzmocniło obronę helskich plaż.

Od 14 września polska flota wojenna na Bałtyku praktycznie przestała istnieć<sup>26</sup>. Od tej pory Hel mógł się ostrzeliwać przeciwko nieprzyjacielowi już tylko z lądu, a sytuacja obrońców była z dnia na dzień coraz trudniejsza. Od 19 września Hel pozostał jedyną polską redutą na Wybrzeżu, a jako baza Polskiej Marynarki Wojennej stracił znaczenie po wyeliminowaniu z walki wszystkich naszych okrętów wojennych. Na dodatek wyczerpywała się amunicja, zwłaszcza artyleryjska. Dowództwo Marynarki Wojennej na Helu obliczało, że jeżeli szybko nie nadejdzie pomoc z Wielkiej Brytanii, to bronić się będziemy mogli najwyżej do połowy października.

Na razie utrzymywano morale obrońców za pomocą fałszywych informacji (drukowały je lokalne gazety i nadawała helska radiostacja) o szybkiej pomocy z Anglii i o sukcesach naszej armii w walce z Niemcami w głębi kraju. Jednakże te zabiegi nie starczyły na długo. Niemcy uciekli się do podobnych metod walki propagandowej. Po zdobyciu kolejnych polskich radiostacji w Katowicach, Częstochowie, Krakowie, Poznaniu i Toruniu zaczęli nadawać audycje w języku polskim, przeznaczone między innymi dla obrońców Helu, o sukcesach niemieckich na froncie i o bezcelowości dalszej walki. Na Hel leciały z nieba nie tylko bomby, ale i ulotki, w których wzywano obrońców półwyspu do natychmiastowej kapitulacji, bo są rzekomo ostatnimi, którzy jeszcze walczą na ziemiach polskich. Propaganda ta, wbrew wysiłkom polskiej żandarmerii, trafiała do bardzo wielu cywilów oraz żołnierzy i marynarzy na terenie Rejonu Umocnionego Hel. Coraz więcej szeptano o konieczności poddania się<sup>27</sup>. Niemieckie

<sup>26</sup> *Tamże*, s. 105-110.

<sup>27</sup> M. B o r o w i a k, *Plamy na banderze*, s. 262-263.

naloty miały charakter terrorystyczny, gdyż polegały nie tyle na niszczeniu celów wojskowych, co raczej na złamaniu woli walki wśród ludności cywilnej.

Problem tkwił głównie w tym, że większość mieszkańców Helu to byli Kaszubi, którzy nie do końca czuli się Polakami. Niemieckie bomby i pociski niszczyły ich domy i zabijały członków ich rodzin, a Niemcy specjalnie bombardowali skupiska ludności cywilnej, ażeby pozbawić obrońców zaplecza. Kaszubi, zwłaszcza starsi, którzy pamiętali czasy pruskie, nie bardzo chcieli ginąć w bezcelowej wojnie z Niemcami, których uważali za braci. Młodszy marynarze i żołnierze walczyli twardo, ale rezerwiści i cywile w starszym wieku tego entuzjazmu bojowego nie podzielali.

Tymczasem od strony lądu sytuacja Rejonu Umocnionego Hel zaczęła się pogarszać z dnia na dzień. W momencie, kiedy 9 września Niemcom udało się rozciąć połączenie lądowe między Helem a Gdynią, zagrożenie dla Mierzei Helskiej stało się bliskie i realne. Dowództwo hitlerowskie liczyło też na dywersję kaszubską na tyłach polskiej obrony. Jego przewidywania sprawdziły się. Kiedy

11 września pierwsze oddziały niemieckie podeszły od strony lądu do Rejonu Umocnionego Hel i po krótkiej walce wyparły oddziały polskie z rejonu Władysławowa, Wielkiej Wsi oraz Chałup<sup>28</sup>, ludność miejscowa zaczęła wykazywać narastające oznaki buntu. W następnych dniach istotnie doszło do otwartych rebelii przeciwko polskim jednostkom na Mierzei Helskiej.

Problem zaczął się po tym, gdy 23 września Niemcy dokonali bestialskiego bombardowania wsi Kuźnica. Od bomb zginęło wtedy wielu ludzi spośród cywilnych mieszkańców Helu. Dwa dni później kaszubszy rybacy z Chałup, bojąc się losu podobnego do kuźniczan, wywiesili na

<sup>28</sup> E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 118-119.

budynkach oraz na wieży kościelnej białe flagi przeciwko samolotom niemieckim. Kiedy do wioski przybył patrol polskiej żandarmerii i chciał pościągać je, tłum mieszkańców zaatakował go, poturbował oraz rozbroił. Buntownikami dowodził niejaki Antoni Muza, który szybko się ulotnił z pistoletem dowódcy patrolu. Jak się potem okazało, wsiadł do łodzi i popłynął do Rewy, do Niemców. Rybaków przywołał do porządku dopiero przysłany do Chałup pluton żandarmerii, który zagroził pacyfikacją i spalaniem wioski. Spokój nie trwał jednak długo. Kaszubi wciąż szeptali między sobą o konieczności poddania się wobec beznadziejności dalszego oporu i czekali na Niemców<sup>29</sup>.

Można powiedzieć, że po upadku Westerplatte, Gdyni oraz Kępy Oksywskiej i po wyeliminowaniu z walki gros polskich okrętów wojennych, Hel bronił się tylko dla honoru żołnierza i marynarza polskiego. Nie miał już bowiem najmniejszego znaczenia wojskowego, a opór, choć mógł trwać teoretycznie jeszcze wiele tygodni, powiększał tylko straty, zwłaszcza wśród ludności cywilnej, która, jak pisze Edmund Kosiarz, żyła w bardzo trudnych warunkach.

„Mieszkańcy Helu w większości przebywali za dnia w okolicznych lasach, w prowizorycznych schronach. W nocy powracali do domów dla zaopatrzenia się w niezbędne przedmioty i żywność. Z tą ostatnią było z każdym dniem gorzej. Dowództwo polskie od pierwszych dni wojny stanęło przed trudnym problemem zapewnienia aprowizacji nie tylko załozce wojskowej, ale także ludności cywilnej. Już od 1 września żywność zaczęto racjonować”<sup>30</sup>.

Tymczasem z głębi Polski dochodziły coraz gorsze wiadomości. obrońcy Helu doskonale wiedzieli o upadku Poczty Polskiej w Gdańsku i Westerplatte. Sami z przera-

<sup>29</sup> M. Borowiak, *Plamy na banderze*, s. 263-265.

<sup>30</sup> E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 119-120.

żeniem obserwowali upadek Gdyni i Oksywia. Polskie Radio raz po raz donosiło o ciężkich walkach nad Bzurą i pod Warszawą. Z informacji radiowych wynikało niedwuznacznie, że Wojsko Polskie znajduje się w nieustannym odwrocie, że Niemcy przeszli linię Wisły i Sanu. Słyszano o walkach pod Lwowem i Brześciem Litewskim. A zatem praktycznie cała Polska była zagrożona przez wroga i na pomoc nie było co liczyć. Na dodatek dowództwo niemieckie uciekło się do perfidnego zabiegu propagandowego: pozwolono mianowicie uciec na Półwysep Helski sporej grupie cywilów z Gdyni, Pucka, Oksywia, Wejherowa, Kartuz i z wielu okolicznych miejscowości. Ci ludzie snuli przerażające opowieści o bestialstwie niemieckim, jakie miało miejsce po drugiej stronie Zatoki Gdańskiej, a także przekonywali o daremności polskiego oporu. Wszystko to poderwało ducha walki wśród wielu cywilów na Helu oraz rezerwistów<sup>31</sup>.

W dniu 17 września Polskie Radio podało jeszcze straszniejszą wiadomość o wkroczeniu do Polski Armii Czerwonej i o internowaniu rządu polskiego oraz Naczelnego Wodza na terytorium Rumunii, co jeszcze bardziej załamało obrońców Helu. Od tej pory już nie tylko cywile i rezerwiści, ale i żołnierze zaczęli szeptać, a następnie coraz głośniej mówić o beznadziejności swojego położenia i o pilnej konieczności kapitulacji. Rozumiał to doskonale także i sztab kontradm. Unruga. Hel stawał się powoli pułapką, z której nie było możliwości wycofania się gdziekolwiek. Wokół było tylko morze i Kriegsmarine. W powietrzu panowała niepodzielnie Luftwaffe. Ani Royal Navy, ani Royal Air Force nie było widać na horyzoncie. Tymczasem kończył się już wrzesień, a z nim lato. Warunki oblężonych stawały się z dnia na dzień coraz gorsze. Wiadomo było, że już niedługo nadejdą jesienne chłody

<sup>31</sup> M. B o r o w i a k, *Plamy na banderze*, s. 263.

i słoty. Żołnierze jeszcze jakoś to wytrzymają, przynajmniej w październiku, ale co z ludnością cywilną, która z powodu zrujnowania swoich domów nie bardzo *ma się* gdzie podziąć? Póki jest ciepło, kryją się w lasach, ale chłodu i dżdżu jesiennego nie przetrwają w prowizorycznych ziemiankach. Wehrmacht dotychczas blokuje nasadę Mierzei Helskiej, ale wiadomo, że kiedyś ruszy do szturm.

Niemcy tymczasem nie spieszyli się z atakiem na Hel, bo i po co? Ich flota wojenna począwszy od 14 września pływała sobie po całym południowym Bałtyku bez przeszkód. Polska załoga na Helu nie mogła im praktycznie w niczym przeszkodzić, gdyż Polacy nie mieli już okrętów wojennych na Zatoce Gdańskiej. Postawili, co prawda, trochę min wokół Helu, ale niemieckie trałowce szybko sobie z tą przeszkodą poradziły. Między niemieckimi okrętami a polską artylerią nadbrzeżną dochodziło też (co kilka dni) do pojedynków artyleryjskich, w których Polacy potrafili nawet odganiać niemieckie jednostki od plaż helskich, lecz nie miało to większego znaczenia dla ich coraz tragiczniejszej sytuacji. Nawet amunicję artyleryjską musieli oszczędzać, bo coraz mniej jej było w magazynach, podobnie jak medykamentów i żywności.

Tymczasem w Gdańsku przebywał w tym czasie sam Führer III Rzeszy Adolf Hitler, który towarzyszył swoim żołnierzom, obserwując ich zmagania na frontach wojny z Polską. Kilka dni wcześniej był w Pruszkowie pod Warszawą i z kościelnej wieży śledził walki na przedpolach stolicy Polski. Teraz przybył do Gdańska, ażeby objąć w posiadanie to stare, niemieckie miasto w imieniu nowych, Wielkich Niemiec, a także nadzorować dobijanie ostatnich polskich punktów oporu nad Bałtykiem. Po upadku Gdyni i Kępy Oksywskiej, Hitler, który zwiedził miejsca niedawnych walk, był święcie przekonany, iż nie ma sensu marnować krwi żołnierza niemieckiego na zdobywanie Helu za wszelką cenę z lądu lub morza. Westerplatte i Gdynia



kosztowały, jego zdaniem, Wehrmacht zbyt wiele, ażeby bawić się w szturmowanie odciętego od świata i *dość* dobrze bronionego półwyspu, który i tak musi skapitulować.

Hitler miał teraz na głowie inne problemy, jak np. dokończenie rozbijania armii polskiej w głębi kraju, bo odcięte zgrupowania jeszcze stawiały silny opór, a nawet, jak np. Grupa Operacyjna „Polesie”, którą dowodził gen. Franciszek Kleeberg, potrafiły sprawiać Niemcom i Sowietom tęgie lanie, jeśli tylko miały amunicję i wolę walki. Poza tym wciąż niewyjaśniona była sytuacja nad Renem, gdzie, co prawda, walk nie toczono, ale wciąż nie można było wykluczyć, że Francuzi jednak wyjdą z betonowych fortów linii Maginota i zaatakują odsłonięte tyły niemieckie z Zagłębiem Ruhry i Saary. Nie wiadomo było także, co ostatecznie postanowią Brytyjczycy ze swoją flotą na Atlantyku i Morzu Północnym. A nuż Churchill przekona Chamberlaina i Parlament o konieczności przebicia się na Bałtyk, aby zawczasu zniszczyć Kriegsmarine na tym małym akwenie? Tego Adolf Hitler jesienią 1939 r. nie mógł być do końca pewien. Dlatego wołał blokować Hel, aniżeli go zdobywać<sup>32</sup>.

<sup>32</sup> E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 122-124. W tym miejscu dodajmy, że Hitler we wrześniu 1939 r. nie miał jeszcze pojęcia, że oto rozpoczął drugą wojnę światową. W jego mniemaniu była to wojna lokalna (tylko z Polską), do której włączyły się formalnie, bo nie militarnie, Francja i Wielka Brytania. Liczne dokumenty, które poznaliśmy zaraz po wojnie, dobitnie świadczą o tym, że Hitler zamierzał szybko tę wojnę zakończyć, a mianowicie: unicestwić Polskę w sojuszu z ZSSR, następnie powalić na kolana Francję, a na końcu zmusić przerażonych Anglików' do zawarcia korzystnego dla Wielkich Niemiec pokoju, który byłby oparty na nowym podziale świata — Europa dla Niemiec i ich sojuszników (tj. Włoch i Rosji Sowieckiej), dla Wielkiej Brytanii zaś reszta świata. Plan ten prawie się udał w latach 1939-1940. Na przeszkodzie do jego realizacji stanął nieustraszony i równie brutalny w walce jak Hitler Sir Winston Churchill, który skutecznie storpedował niemieckie sny o lokalnej wojnie i szybkim pokoju. To Churchill sprawił, że ta wojna stała się wojną światową i że Hitler ostatecznie ją przegrał.

Führer był zdania, że ludzi kontradm. Unruga lepiej pokonają: głód, bombardowania lotnicze i ciągły ostrzał artyleryjski oraz dywersja propagandowa, prowadząca do buntu ludności kaszubskiej, niż rozpaczliwe ataki niemieckiej piechoty. Nakazywał cierpliwie czekać do momentu, w którym Unrug sam zadzwoni do Gdańska z prośbą o przyjęcie kapitulacji jego załogi. Wszystko to dowodzi, iż wbrew opiniom wielu powojennych historyków i publicystów, Hitler w 1939 r. nie był jeszcze szaleńcem, rzucającym tysiące swoich żołnierzy na bezsensowną śmierć dla idei, jak to było kilka lat później pod Stalingradem, Kurskiem, El-Alamein czy na ulicach konającego Berlina. Na początku wojny Hitler był jeszcze dość trzeźwym politykiem i strategiem, z lekką nutką hazardzisty, aczkolwiek do *geniuszu* Bismarcka bardzo wiele mu brakowało. Objawy choroby psychicznej ujawniły się u Hitlera dopiero po błyskotliwym pokonaniu Francji w 1940 r., kiedy uznał, że już nikt mu się nie oprze i że w ciągu swego życia zdoła zawojować cały świat.

Po kilku naradach odbytych w Gdańsku niemieckie dowództwo zmieniło dotychczasowe plany szybkiego oparowania Helu z marszu. Przeciwko niemu zamierzało wykorzystać wszystkie rodzaje sił — marynarkę wojenną, lotnictwo i wojska lądowe, w czterech fazach. W pierwszej główne zadania przypadły marynarce wojennej, w drugiej wojskom lądowym, wspieranym ogniem artylerii i lotnictwa, w trzeciej planowano wysadzenie dwóch desantów — pozorowanego na cyplu helskim i rzeczywistego w rejonach Jastarni, w czwartej fazie wszystkie zaangażowane siły miały wykonać natarcie w celu złamania oporu Polaków i ostatecznego zakończenia walk na Helu<sup>33</sup>.

Niemcy przystąpili do wykonania powierzonych im przez Hitlera zadań ze zwykłą dla nich precyzją. Już 18 września,

<sup>33</sup> E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 122-124.

a zatem na dzień przed ostatecznym upadkiem Kępy Oksywskiej, pancernik „Schleswig-Holstein”, ukryty w porcie gdańskim, ostrzelał z bezpiecznej odległości baterię cyplową imienia Laskowskiego na Helu. Mimo że wystrzelił około 60 pocisków ze swoich najcięższych dział kalibru 280 mm, straty, jakie zadał Polakom, były znikome. Jeszcze raz, podobnie jak na Westerplatte, okazało się, że ostrzał ze starego pancernika nie powoduje całkowitego zniszczenia nowoczesnych obiektów fortecznych. Poza tym wyszło na jaw, że Niemcy nie bardzo umieli wykorzystać siłę ogniową okrętów liniowych na niewielkim akwenie Zatoki Gdańskiej, gdyż na Westerplatte „Schleswig-Holstein” nie był w stanie strzelać celnie, ponieważ był za blisko i jego pociski przenosiły się ponad pozycjami polskimi, rażąc pozycje niemieckie; natomiast do Helu z Gdańska było nieco za daleko i pociski z pancernika padały w zbyt dużym rozrzucie, rażąc lasy i osiedla na Mierzei Helskiej zamiast baterię Laskowskiego. Polacy nie odpowiadali na ten ogień, bo ich działa nie miały aż tak dalekiego zasięgu, żeby zaszkodzić Niemcom w Gdańsku.

Następnego dnia, 19 września, „Schleswig-Holstein” znowu otworzył ogień do baterii cyplowej na Helu i znowu musiał go przerwać, gdyż nie było widocznych skutków. Wobec tego niemiecka admiralicja postanowiła ściągnąć na pomoc „Schlesiena”, ażeby pancerniki mogły ostrzeliwać polskie pozycje razem i z bliższej odległości, ale to z kolei narażało niemieckie okręty na skuteczny ogień ze strony polskiej artylerii nadbrzeżnej. Ostrzał baterii cyplowej na Helu przez oba pancerniki w dniach 19-23 września nie dał praktycznie nic. Polacy dalej mogli strzelać. W tej sytuacji Niemcy planowali także ściągnąć do Gdyni z Prus Wschodnich dalekosiężne działo kolejowe, ale to okazało się bardzo trudne z powodu zniszczenia przez polskich saperów w pierwszym dniu wojny mostu kolejowego na Wiśle w Tczewie. Ostatecznie zdecydowano się rozebrać

działo na części i Wisłą przewieźć z Tczewa do Gdańska, a potem zmontować wszystko na Oksywiu. To jednak wymagało bardzo długiego czasu i wielu zabiegów. Działo to byłoby gotowe do działań dopiero w końcu września. Do walki z Helem pozostawały zatem na razie tylko działa okrętowe<sup>34</sup>.

25 września adm. Schmunt, dowodzący flotą niemiecką na Zatoce Gdańskiej, podjął jeszcze jedną próbę unieszkodliwienia baterii cyplovej na Helu. W tym celu rozkazał obu pancernikom wyjść z portu gdańskiego i ostrzelać polskie baterie nadbrzeżne z bliższej niż dotychczas odległości. Dawało to obu okrętom liniowym przewagę w pojedynku artyleryjskim z Polakami, gdyż pozwalało na lepsze rozpoznanie naszych pozycji obronnych i celniejszy ogień punktowy, który — jak zakładali niemieccy sztabowcy — miał w krótkim czasie unieszkodliwić polską baterię. Byli oni jednak zbyt pewni swojej przewagi ogniowej nad Polakami, i to ich zgubiło. Kiedy o godzinie 9.00 rano oba okręty liniowe opuściły Nowy Port w Gdańsku i zbliżyły się do baterii cyplovej na Helu na odległość widoczności i strzału, polska załoga już na nie czekała z odpowiednim powitaniem. Dowódca helskiej baterii, kpt. Marynarki Wojennej Zbigniew Przybyszewski, chciał dopuścić nieprzyjaciela jak najbliżej swoich dział, ażeby móc go skutecznie razić. Nie łudził się, że zatopi któryś z niemieckich okrętów liniowych, bo jego bateria była na to za słaba, ale postanowił drogo okupić ewentualne zniszczenie swojego stanowiska bojowego. Nawet uszkodzenie któregoś z pancerników wroga byłoby dla naszej strony sukcesem propagandowo-moralnym, wzmacniającym ducha powoli tracącej zapał do walki załogi Mierzei Helskiej.

Pierwsi około godziny 10.00 otworzyli ogień Niemcy, a konkretnie „Schlesien”, który zarzucił Polaków deszczem

<sup>34</sup> *Tamże*, s. 127-135.

ołowiu. Niczego jednak poważnie uszkodzić nie zdołał. Cztery działa polskiej baterii cypłowej imienia Laskowskiego szybko odpowiedziały salwami na ogień przeciwnika. Polacy szybko wstrzelali się w niemiecki pancernik i zaczęli razić go coraz celniej. Pociski polskie upadały w morze tuż obok burt „Schlesiena”. Tego się Niemcy nie spodziewali. Zaczęło być groźnie. Gdyby tak np. Polacy trafili w magazyn amunicyjny lub w zbiorniki paliwa, „Schlesien” mógłby się zapalić i wybuchnąć, a w rezultacie wylądować razem z załogą na dnie Bałtyku ku hańbie i wstydowi Kriegsmarine. Płynący za nim „Schleswig-Holstein” przezornie wołał na razie nie angażować się w starcie ogniowe z polską baterią, aby przypadkiem nie oberwać. W pewnym momencie „Schlesien” najprawdopodobniej został trafiony, bo nagle postawił zasłonę dymną i wycofał się z walki.

Teraz podjął działania „Schleswig-Holstein”, który zaczął strzelać salwami i szybko nakrył baterię cypłową ogniem. Jego pociski uszkodziły jedno z dział baterii, tak że sprawne pozostały już tylko trzy. Zginął przy tym ranny odłamkami dalmierzysta, starszy marynarz Skiba. Umierał na rękach kolegów ze słowami: „Niech żyje Polska!”. Poległ także marynarz o nazwisku Izydorski, a dziesięciu innych z obsługi baterii cypłowej odniosło rany. Wśród nich był również dowódca stanowiska, kpt. Zbigniew Przybyszewski. Jednakże bateria cypłowa strzelała dalej. W chwilę później zaciął się mechanizm drugiego działa, ale dwa sprawne kontynuowały ogień. W pewnym momencie polski pocisk trafił „Schleswiga-Holsteina” w nadbudówkę. Nastąpił wybuch i panika wśród niemieckich marynarzy. Pancerny kolos wołał nie ryzykować dalszej wymiany ognia z polskimi kanonierami i wycofał się do Gdańska w ślad za uszkodzonym „Schlesieniem”. Walka baterii cypłowej z niemieckimi pancernikami 25 września zakończyła się bezapelacyjnym zwycięstwem polskich marynarzy. Kriegsmarine jeszcze raz połamała zęby u wrót

Helu. Nieujarzmiony półwysep nadal urągał potęgze Wielkich Niemiec.

Polscy inżynierowie i mechanicy z Helu bardzo szybko zdolali naprawić prawie wszystkie uszkodzenia i już następnego dnia cała bateria cypłowa imienia Laskowskiego była na powrót zdolna do walki. Niemieccy sztabowcy w Gdańsku zachodzili w głowę, jak to jest możliwe, a co najgorsze, jak powiedzieć o tym Hitlerowi, żeby nie wpadł w szał. Oblężenie Helu trwało już bardzo długo — zbyt długo jak na wojnę błyskawiczną.

W dwa dni później, 27 września, około godziny 8.00 rano, dwa pancerniki znowu podpłynęły w pobliże Helu, aby na zawsze uciszyć baterię cypłową. Jednak i tym razem nowy jej dowódca, kpt. Bohdan Mańkowski, nie dał się Niemcom zaskoczyć i powitał ich godnie — celnymi salwami ze wszystkich czterech dział, jakie miał do dyspozycji. Ale prawdziwa kanonada zaczęła się dopiero około południa, bo tym razem pancerniki poszukały dla siebie lepszych pozycji niż dwa dni temu i strzelały razem. Deszcz stali i ołowiu spadł na baterię cypłową, a w kierowaniu ogniem pomagał Niemcom dodatkowo samolot zwiadowczy. Także i tym razem ogień niemiecki nie był tak skuteczny, jak się niemieckim marynarzom wydawało. Większość pocisków wpadała w morze lub ryla się w nadmorskich piaskach tuż obok baterii. „Schleswig-Holstein” znowu został trafiony pociskiem. Szybko umknął do Gdańska, aby leczyć rany. „Schlesien” równie szybko podążył za nim.

W tym samym czasie, gdy na cyplu Półwyspu Helskiego bateria imienia Laskowskiego gromiła niemieckie okręty liniowe, inne polskie posterunki artyleryjskie, rozmieszczone wzdłuż plaż Mierzei Helskiej, z dużym powodzeniem odpierały ataki mniejszych niemieckich okrętów<sup>35</sup>. Problem

<sup>35</sup> *Tamże*, s. 126-127.

polegał tylko na tym, że do wszystkich rodzajów dział i karabinów maszynowych kończyła się już amunicja i trzeba było strzelać do nieprzyjaciela rzadko, ale celnie, aby nie marnować pocisków.

Te sukcesy podtrzymywały ducha żołnierzy i marynarzy na pierwszej linii frontu, wśród rezerwistów oraz ludności cywilnej, zwłaszcza kaszubskiego pochodzenia. Przedłużająca się obrona Mierzei Helskiej nie budziła aż takiego entuzjazmu i jak już wspomniałem, coraz częściej tu i tam pojawiały się głosy, że walkę należy zakończyć honorową kapitulacją. I tak np. w Jastarni przyszła do wójta delegacja miejscowych kobiet z prośbą o wyjednanie u władz wojskowych natychmiastowego poddania się, bo ludzie nie mogą tego wszystkiego wytrzymać. Kaszubi mówili między sobą, że jak Niemcy i Rosjanie zabrali całą Polskę, to niech i Hel sobie wezmą, byle tylko ludzie już nie głodowali i od niemieckich nalotów nie ginęli<sup>36</sup>.

O ile postawę cywilów pochodzenia kaszubskiego można było jeszcze usprawiedliwić strachem o własne życie, własne rodziny, własne domy i dobytek, o tyle tego, co się wkrótce zaczęło dziać wśród części żołnierzy, nawet tych z pierwszej linii, nie da się tak prosto i jednoznacznie wytłumaczyć — chyba tylko rozpaczą i beznadzieją dalszej walki w osamotnieniu. A było to tak: Przed samą wojną na Helu znalazła się część rezerwistów z różnych części Polski, ale najczęściej z byłego zaboru pruskiego. Ci ludzie między trzydziestką a pięćdziesiątką doskonale pamiętali Niemców z czasów Wilhelma II i dlatego nie traktowali ich jako śmiertelnych wrogów, z którymi trzeba walczyć do końca, bo kiedy się poddamy, to nas wszystkich natychmiast wymordują. Wielu spośród tych ludzi miało rodziny na terenach już zajętych przez Wehrmacht, więc bali się, co zrozumiałe, o ich los. Dla nich kapitulacja nie była hańbą,

<sup>36</sup> M. Borowiak, *Plamy na banderze*, s. 265-267.

lecz rozsądnym wyjściem z trudnej sytuacji, w jakiej znalazł się Hel w drugiej połowie września 1939 r. Wiadomo im było z radia, z niemieckich ulotek oraz z szeptanych wieści, że poza Warszawą i Lwowem już tylko Hel się broni. To wpływało na ich niskie morale, niezbyt budujące dla młodszych kolegów o mentalności japońskich samurajów, gotowych bić się z najeźdźcą do końca. Rezerwiści z byłego zaboru pruskiego ginąć nie zamierzali, gdyż mieli dla kogo żyć<sup>37</sup>. Upór kontradm. Józefa Unruga i jego sztabu co do trwania w obronie uważali oni za przejaw romantycznej głupoty i otwarcie kwestionowali taką postawę w obecności swoich oficerów. Dla nich Polska była „państwem sezonowym” i póki była, póty jej służyli. Teraz, gdy istnieć przestała, oni na powrót poczuli się Niemcami, lojalnymi wobec legalnie wybranego w demokratycznych wyborach kanclerza Adolfa Hitlera<sup>38</sup>. Dla

<sup>37</sup> *Tamże*, s. 263-264.

<sup>38</sup> *Tamże*. Autor w pełni zdaje sobie sprawę, że to, o czym w tej chwili pisze, niewątpliwie wywoła szok u większości Czytelników, przyzwyczajonych przez kilkadziesiąt powojennych lat do obrazu Polski jednolitej i bohaterskiej wobec hitlerowskiego najazdu. Taki obraz propagandowy lansowali przez lata historycy krajowi oraz emigracyjni. Jednakże źródła i wspomnienia z tego okresu jaskrawię przeczą temu idealnemu obrazowi polskiego społeczeństwa we wrześniu 1939 r. jako monolitu zjednoczonego w oporze przeciwko wrogom. Prawda była bardziej ludzka i nieco mniej patetyczna. Polska istniała zaledwie od niecałych dwudziestu lat i nie wszyscy jej obywatele w jednakowym stopniu czuli się Polakami. Co do młodszego pokolenia, wychowanego w polskich szkołach, to tak. Jednakże pokolenie starsze utożsamiało się równie często z państwami zaborczymi, gdzie się od maleńkości wychowało. Paradoks polegał na tym, że nawet starsi Wielkopolanie, a nie tylko Kaszubi i Ślązacy, z nostalgią wspominali kajzerowskie czasy, w których panował porządek i dostatek oraz nie było bezrobocia. Można było mówić po polsku i czuć się bardziej Niemcem niż Polakiem. To samo było zresztą w byłym zaborze rosyjskim, gdzie białoruscy chłopcy i Żydzi tęsknili do cara i chętnie kumali się z bolszewikami, a z kolei w byłej Galicji Wschodniej ukraińscy nacjonaliści spod znaku OUN wypatrywali Niemców jako wyzwolicieli spod „polskiej okupacji”. Upadek Polski spowodował wyjście na jaw licznych, dotąd



przeciętnego Kaszuba to po prostu „nasi”, czyli Niemcy, wracali po dwudziestoletniej przerwie na Pomorze. Wierność Polsce, która właśnie upadała pod ciosami tychże „naszych” i Sowietów, była w tym momencie samobójczą głupotą.

A zatem w dniach 25-30 września doszło w kilku miejscach Półwyspu Helskiego do otwartych rebelii żołnierzy i marynarzy miejscowego pochodzenia, którzy mieli już dość bombardowań, braku snu, niedożywienia i wszy w okopach. W kilku bateriach przeciwlotniczych od Chałup i Kuźnicy do Jastarni podjęto próby porzucenia stanowisk bojowych i przedostania się łodziami na niemiecką stronę, aby się poddać. I tak np. 28 września marynarze z 13. kompanii przeciwdesantowej, którzy dostali na kolację do picia kawę zaprawioną odrobiną wódki, zaczęli głośno mówić między sobą o bezcelowości dalszego oporu, skoro cała Polska padła. Następnie rozbroili swoich oficerów i z bronią w rękę pomaszerowali plażą, strzelając przy tym w powietrze i niosąc białe koszule na kijach. Zmierzali w kierunku portu handlowego w Helu, aby tam zdobyć łodzie lub motorówki i odpłynąć do Niemców w celu bezzwłocznego poddania się. Było tych rebeliantów około stu pięćdziesięciu. Po drodze żandarmom udało się ich zatrzymać i rozbroić.

Marynarzy przyprowadzono do portu w Helu, gdzie przemówił do nich sam dowódca Rejonu Umocnionego, kmdr Włodzimierz Steyer. Na pytanie, dlaczego opuścili bez rozkazu swoje stanowiska bojowe, odpowiedział mu jeden z szeregowców, Kaszub z Pomorza. W twardej

ukrytych, czynników odśrodkowych. Na tej zasadzie wielu Polaków, którzy dotychczas oficjalnie byli endekami lub socjalistami, raptem zapalało wielką miłością do komunizmu i ZSSR. Wypadki buntów na Helu nie były więc żadnym ewenementem. Szybka katastrofa państwowości polskiej dla wszystkich była Szokiem i nie wszyscy potrafili znieść to spokojnie i z godnością.

słowach przedstawił komandorowi beznadziejność dalszej walki w osamotnieniu i kategorycznie stwierdził, że nikt już nie chce ginąć za przegraną sprawę, gdy po tamtej stronie Zatoki Gdańskiej czekają w domach żony i dzieci, którym może teraz grozi niebezpieczeństwo od gestapo. Pomocy z Anglii nie widać i raczej jej nie będzie. Nie ma już co jeść. Ludzie są u granic wytrzymałości fizycznej i nerwowej. Na to komandor zaczął mówić o honorze żołnierza polskiego, o konieczności dotrzymania przysięgi żołnierskiej itp., ale chyba sam nie bardzo już wierzył w to, co mówił. Na razie buntowników osadzono w areszcie lub odesłano z powrotem na front, ale wiadomo było, że nie jest to ostatni bunt.

Na potwierdzenie tych słów anonimowego szeregowca z Kaszub przytoczę fragment wspomnień innego obrońcy Helu, marynarza z ORP „Wicher”, Witolda Huberta, który po zatopieniu przez Niemców jego okrętu walczył jako szeregowy piechur w okopach pod Chałupami. Tak oto opisuje on sytuację w drugiej połowie września:

„Poza artyleryjskim ostrzałem od strony morza i od Zatoki Puckiej oraz atakami samolotów hitlerowskich bombardujących naszą linię, a także prążących nas ogniem broni pokładowej, należy doliczyć ataki od strony lądu, dywersję bezpośrednią, dywersję psychologiczną przy pomocy zrzuconych z samolotów wroga ulotek oraz wszy, które w tym wypadku przypuszczalnie były również na żołdzie hitlerowców, gdyż cięły nas i gryzły niemiłosiernie, a ukazały się już po dziesięciodniowym pobycie na linii. (...) Żołnierze byli coraz bardziej zdenerwowani, nie było już godzin odpoczynku na odwodzie... Kuchnia zastopowała całkowicie. Byliśmy już na pół głodni, żyjąc tylko chlebem, sucharami i czasem konserwą. Parokrotne ataki co dnia, raz przy pomocy artylerii, to przez bombardowanie z góry, to znów ogień karabinowy z okopów wroga, nie pozwalały nawet na kilkugodzinny chociażby sen. Byliśmy niewyspani, brudni i zawszeni. Z drzew pozostały tylko kikuty

— nawet ptaki opuściły te nieprzytulne miejsca... Myśmy trwali...”<sup>39</sup>.

Czy można się zatem dziwić, że nawet żołnierze z pierwszej linii mieli już dość beznadziejnej walki i buntowali się? W związku z tym sztab kontradm. Józefa Unruga zmuszony był albo skapitulować, albo wprowadzić na Helu terror i walczyć nadal. Aby podjąć właściwą decyzję, wieczorem 28 września zwołano w Helu pierwszą naradę sztabową, na której poważnie rozważano alternatywę: kapitulować czy walczyć dalej za wszelką cenę i wbrew nadziei? Zdania były podzielone, ponieważ wszyscy oficerowie Polskiej Marynarki Wojennej doskonale zdawali sobie sprawę z dramatycznej sytuacji osamotnionej załogi. Amunicji starczało jeszcze tylko na dwa tygodnie, a i to przy dużych oszczędnościach. Z lekami i żywnością było jeszcze gorzej. Royal Navy na Bałtyku nie było i wypatrywanie pomocy znad Tamizy było szaleństwem. Niemcy za to byli wszędzie dookoła i wiadomo było, że lada dzień ruszą do szturmów od strony lądu. Jeżeli ich atak wspomogłaby kaszubska rebelia i dywersja na tyłach wojsk polskich, to Hel upadłby w ciągu kilku godzin, gdyż trzy tysiące obrońców nie przeciwstawiłoby się takiej sile wroga. Na dodatek tej samej nocy Polskie Radio w Warszawie podało wiadomość o kapitulacji stolicy. W centralnej Polsce walczył jeszcze tylko Modlin, a o Grupie Operacyjnej „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga nic na Helu nie wiadziało<sup>40</sup>. Przeważało w końcu zdanie zaciętego kmr. Steyera, który z ipsis ułańskim temperamentem stwierdził, że wszyscy kapitulują we wrześniu, to Hel poczeka z tym do października. Na tym narada się skończyła. Obrona miała trwać jeszcze kilka dni.

Następnego dnia, 29 września, niemieckie dowództwo poinformowało kontradm. Unruga o kapitulacji Warszawy,

<sup>39</sup> Cytuję za E. Kosiarzem, *Obrona Helu*, s. 125-126.

<sup>40</sup> *Tamże*, s. 136-138.

Lwowa i całej Polski. Wobec tego faktu hitlerowska admiralica uznała dalszą walkę Helu za bezsensowną i zaproponowała dawnemu koledze z cesarskiej floty kapitulację na honorowych warunkach. Jednocześnie Niemcy zastrzegli, że jeżeli strona polska będzie trwać dalej w nierozsądnym oporze, to następne warunki kapitulacji mogą być dla niej znacznie mniej korzystne, bo cierpliwość Hitlera powoli się kończy i nie ma on zamiaru czekać w Gdańsku do zimy na kapitulację Helu. Polacy nic na to nie odpowiedzieli<sup>41</sup>.

Tegoż dnia, czyli 29 września, doszło do drugiego buntu żołnierzy. Oto 12. kompania przeciwdesantowa, stacjonująca w rejonie Jastami-Bór, w godzinach rannych porzuciła swoje stanowiska bojowe. Około stu żołnierzy i marynarzy wywiesiło białe flagi, po czym ruszyło bezładną kupą do portu w Jastarni, śpiewając po drodze pieśni kościelne i modląc się. Dowodził nimi pewien podoficer-rezerwista w stopniu sierżanta. Ich celem było opanowanie portu i przeprowienie się na łodziach rybackich do Rewy, gdzie byli już Niemcy. W Jastarni zastąpił im drogę patrol polskiej żandarmerii w sile zaledwie dwóch ludzi, którzy usiłowali ich rozbroić lub przekonać do przerwania buntu i powrotu na stanowiska bojowe. Jednakże buntownicy nie przystali na to, rozbroili żandarmów i podążyli do portu. Żandarmi uciekli; na swój posterunek wrócili bez broni i w bieliźnie. Donieśli o buncie do Helu, skąd natychmiast wysłano oddział KOP dla opanowania sytuacji w Jastarni, ale i to było za mało. Żołnierzy KOP musieli jeszcze wesprzeć dodatkowo marynarze z Helu. W końcu udało się otoczyć i rozbroić rebeliantów, których tymczasowo zamknięto w piwnicy posterunku wojskowego w Jastarni, bo nie było dla nich innego miejsca internowania. Dowództwo Rejonu Umocnionego Hel szykowało się do przeprowadzenia procesu polowego i rozstrzelania części buntowników,

<sup>41</sup> *Tamże.*

ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że to nic nie da. Ludzie byli wymęczeni do ostatnich granic. Drastyczne środki mogłyby, co prawda, przywrócić spokój w szeregach na jeden, dwa, może kilka dni. Ale co potem?

Kontrwywiad Polskiej Marynarki Wojennej wciąż donosił kontradm. Unrugowi o niepokojach w oddziałach frontowych. Oznaczało to kolejne bunty na innych odcinkach w najbliższych dniach. Rozstrzelanie tych z Jastarni mogło tylko dolać oliwy do ognia. Tego by tylko brakowało, żeby obrońcy Helu zaczęli strzelać nie do Niemców, lecz do siebie nawzajem — i to w obliczu spodziewanego z dnia na dzień natarcia nieprzyjaciela od strony łądu. Sztabowcy Unruga bali się tego i dlatego odstąpili od wyciągania wobec rebeliantów jakichkolwiek konsekwencji karnych. Stwierdzili, że na ich osądzenie i ukaranie przyjdzie czas po wojnie, a poza tym, jaki to ma sens, skoro i tak za kilka dni wszyscy obrońcy Rejonu Umocnionego Hel pójdą do niemieckiej niewoli? W trudnej sytuacji lepiej było nie jątrzyć i tak napiętych stosunków międzyludzkich w poszczególnych oddziałach. Wróg stał już u bram Rejonu Umocnionego i nic nie mogło odwrócić klęski<sup>42</sup>.

Wczesnym rankiem 30 września od strony Chałup i Kuźnicy ruszyło od dawna przygotowywane wielkie niemieckie natarcie łądowe na Hel. Wsparte artylerią i lotnictwem oddziały piechoty niemieckiej, po ciężkich walkach, często na bagnety, zepchnęły oddziały KOP i marynarzy polskich na drugą linię obrony, pod Jastarnię<sup>43</sup>. Polacy nie mieli już czym strzelać do nieprzyjaciela. Oto, jak wspomina ten atak marynarz Witold Hubert:

<sup>42</sup> J. Unrug, *Kampania wrześniowa*, w: *Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach*, pod red. M. Cieplewicza i E. Kozłowskiego, Warszawa 1989, s. 239-240. Na ten temat patrz również znacznie szerzej: M. Borowiak, *Plamy na banderze*, s. 267-269.

<sup>43</sup> E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 139.

„I nagle (...) z całej linii okopów niemieckich rozpoczął się ogień moździerzowy, artylerii lekkiej, a równocześnie z odległości około 7 km ogień artylerii ciężkiej, znajdującej się w rejonie Władysławowa na torach kolejowych...

Momentalnie linie naszych okopów, przedpole, czyli ziemia niczyja, oraz zaplecze zostały objęte ogniem napastników. Pociski wybuchały w rozmaitych punktach na całej linii, ryły ziemię, przewracały i tak okaleczone już drzewa (...).

Artyleria przeniosła ogień na dalsze pozycje, a teraz cała linia naszych okopów była zalewana pociskami cekaemów, ręcznej broni maszynowej i karabinowej. Miny znajdujące się na przedpolu zostały widocznie porozrywane ogniem moździerzy, gdyż wojska niemieckie szły całą szerokością frontu... Niemcy atakowali skokami (...) Ręka automatycznie ładowała karabin, naciskałem cyngiel, pocisk szedł do skaczącego celu, nie sprawdzałem skutków. Koniec amunicji (...). Cofamy się (...). Błyskawiczny wyskok wszystkich ze schronów i zniknięcie za kikutami drzew. Cofałem się, machinalnie odwracałem, zatrzymywałem przy drzewach... Niemcy byli coraz bliżej. I ten ich ciągły wrzask, świdrujący uszy... Załoga lewego odcinka oraz część załogi z prawego odcinka okopów, widocznie zaskoczone, nie zdążyły wycofać się i zostały wzięte do niewoli, oprócz tych, co zginęli w bezpośrednim starciu...”<sup>44</sup>.

Wieczorem 30 września sytuacja obrońców Rejonu Umocnionego Hel stała się już krytyczna. Wprawdzie udało się Polakom planowo wycofać na drugą (pośrednią) pozycję obronną w rejonie Jastarni i częściowo wysadzić w powietrze zaminowany teren przed tymi umocnieniami, co zamieniło Hel w wyspę, gdyż rów po zaporze minowej szybko wypełnił się wodą morską i od tej pory zdobycie Helu od strony lądu było poważnie utrudnione — ale

<sup>44</sup> Cytuję za E. Kosiarzem, *Obrona Helu*, s. 140-141.

nastroje wśród żołnierzy i marynarzy broniących Mierzei Helskiej były coraz gorsze. Amunicji strzeleckiej i artyleryjskiej wystarczało jeszcze najwyżej na dziesięć dni walki. Brakowało lekarstw dla rannych, żywności, a przede wszystkim nadziei. Samoloty Luftwaffe latały nad głowami obrońców bezkarnie, sypiąc bombami i strzelając nawet do pojedynczych ludzi. Prawie wszystkie wsie i miasteczka na Helu płonęły i stanowiły kupę gruzów. Nie było schronienia nawet w lasach.

Tymczasem nadchodziła jesień, która mogła oznaczać szarugi, słoty i zimno. Obrońcom Helu oraz ludności cywilnej zaczynała grozić w tych warunkach jakaś epidemia, a wtedy nikt nie zdołałby już powstrzymać buntu<sup>45</sup>. Na dodatek Kriegsmarine zaczęła krążyć wokół półwyspu, co oznaczało przygotowania do desantu. Polacy mogli tylko bezradnie śledzić te poczynania wroga, coraz rzadziej odpowiadając ogniem na próby trałowania wód przybrzeżnych, bo trzeba było oszczędzać amunicję.

Późnym wieczorem 30 września kontradm. Unrug ponownie zwołał w Helu generalną radę swoich oficerów, ażeby podjąć ostateczną decyzję. Dyskusja przeciągnęła się do rana 1 października. Tym razem nastroje były dużo bardziej ponure niż dwa dni wcześniej. W zasadzie dla wszystkich sztabowców było jasne, że dalsza obrona nie ma już sensu. Oznaczałaby tylko niepotrzebny rozlew krwi żołnierskiej i cierpienia ludności cywilnej. Nic już nie mogło uratować Helu przed kapitulacją. Wszystko się kończyło. Szeregi obrońców topniały z każdym dniem, a ci, którzy zostali, byli coraz bardziej zdemoralizowani i skorzy do buntu, którego nie powstrzymałby już nikt.

Cała Polska była już zajęta przez Niemców i Sowieców. Warszawa i Modlin padły. Jakieś odizolowane oddziały polskie walczyły zapewne jeszcze gdzieś tam, ale na Helu nikt o tym nic nie wiedział i nie miało to już żadnego

<sup>45</sup> *Tamże*, s. 141-143; M. Borowiak, *Plamy na banderze*, s. 268-269.

znaczenia dla obrońców Wybrzeża. Niemcy lada dzień mieli zamiar wysadzić desant na Mierzei Helskiej. Czy niecałe trzy tysiące obrońców miały jakiegokolwiek szanse, aby się temu skutecznie przeciwstawić? Polskiej floty wojennej na Bałtyku już dawno nie było, a zatem i obrona Helu, jako bazy Polskiej Marynarki Wojennej, nie miała już najmniejszego sensu. Przewaga nieprzyjaciela na lądzie, morzu i w powietrzu była przygniatająca. Przedłużanie oporu nie mogło tu niczego zmienić<sup>46</sup>.

Atmosfera tej nocnej narady była pełna rezygnacji i beznadziei, gdyż nawet ci nieliczni, którzy chcieli nadal walczyć, jak np. szef sztabu kontradm. Unruga, kmdr Majewski, nie potrafili znaleźć logicznego wyjścia z tej sytuacji, bo nie było już kim ani czym walczyć. Po dłuższej dyskusji kontradmirał stwierdził, że obrońcy Helu wypełnili już dawno swoje zadanie z honorem i nie ma sensu kontynuować beznadziejnej walki.

„Oświadczyłem, że w takich warunkach jestem zmuszony do kapitulacji. (...) Na koniec podkreśliłem, że odpowiedzialność za kapitulację spoczywa wyłącznie na mnie. Po naradzie kazałem nadać odpowiedni sygnał radiem do dowódcy niemieckich sił w języku polskim. Po pewnym czasie odebrana została odpowiedź dowódcy niemieckiego, że kapitulację przyjmuje, a krótko potem propozycje co do zawieszenia działań wojennych o godz. 14.00 oraz szczegóły dotyczące spotkania się delegacji obu stron, celem omówienia warunków kapitulacyjnych, na co wyraziłem zgodę”<sup>47</sup>.

Rano 1 października 1939 r. żołnierzom i marynarzom na Helu odczytano rozkaz kontradmirała o zaprzestaniu dalszej walki. Treść tego rozkazu brzmiała następująco:

„W dniu dzisiejszym o godz. 8 rano zwróciłem się przez radio do prowadzącego przeciwko nam działania wojenne

<sup>46</sup> E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 142-143.

<sup>47</sup> J. Unrug, *Kampania wrześniowa*, s. 241; E. Kosiarz, *Obrona Helu*, s. 143-144.



admirała niemieckiego z propozycją zaprzestania walki i porozumienia się przez parlamentariuszy.

Żołnierze! W tej decydującej chwili wzywam Was do zachowania karności i spokoju oraz bezwzględnego wykonania rozkazów Waszych przełożonych<sup>48</sup>.

Zgodnie z warunkami kapitulacji, które ustalono drogą radiową w nocy z 30 września na 1 października, delegacja polska w składzie dwóch oficerów Marynarki Wojennej udała się na kutrze rybackim do Sopotu, gdzie w Grand Hotelu odbyły się rozmowy na temat warunków poddania Rejonu Umocnionego Hel. Niemieckie dowództwo gwarantowało Polakom honorowe traktowanie w niewoli, łącznie z prawem oficerów do zachowania białej broni w uznaniu ich męstwa. Półwysep Helski miał być przekazany garnizonowi niemieckiemu do 2 października do godziny 11.00. Przez czas potrzebny na rozbrojenie załogi miało obowiązywać zawieszenie broni<sup>49</sup>.

Od tego momentu rozpoczęło się na Helu niszczenie broni i wszelkich akt dotyczących spraw wojskowych na terenie Rejonu Umocnionego. Ocalałe okręty zatopiono. Działa uszkodzono, amunicję zatopiono w morzu lub zakopano. W nocy część obrońców usiłowała jeszcze uciec do Szwecji na kilku ścigaczach i motorówkach, ale wskutek szczelnej blokady niemieckiej udało się to tylko nielicznym. Sam kontradm. Unrug wraz ze swoim sztabem kategorycznie wykluczył możliwość ucieczki do Szwecji, pomimo że teoretycznie była taka możliwość.

W dniu następnym na Hel wkroczyli Niemcy. Obrońcy półwyspu zostali odesłani do Wejherowa i Pucka, a następnie w głąb Niemiec do obozów jenieckich. Admiralicja hitlerowska usiłowała nakłonić kontradm. Unruga — Niemca, kuzyna rodziny cesarskiej — do powrotu do Kriegsmarine. On jednak pozostał wierny Polsce i z niemieckimi

<sup>48</sup> Cytuję za E. Kosiarzem, *Obrona Helu*, s. 144.

<sup>49</sup> *Tamże*, s. 144-146.

oficerami w oflagu rozmawiał tylko po polsku lub po angielsku, pomimo że niemiecki był jego językiem ojczystym.

Bilans obrony Helu przedstawia się następująco: Rejon Umocniony Hel walczył w 1939 r. aż trzydzieści jeden dni i poddał się jako jedna z ostatnich polskich redut tej wojny. Dłużej walczyli tylko żołnierze Grupy Operacyjnej „Polesie” pod Kockiem. Pomimo że obrona Helu nie miała najmniejszego znaczenia militarnego dla działań Wojska Polskiego w tej kampanii, ponieważ Wybrzeże od pierwszych dni wojny było izolowane od reszty kraju, to jednak obrońcy Helu zdołali związać przeważające siły niemieckie przez tak długi czas i stanowili kość w gardle hitlerowskich wojsk nad Bałtykiem. Zdołali uszkodzić lub zniszczyć kilka okrętów nieprzyjaciela z pancernikami i niszczycielami na czele. Stracili 36 samolotów wroga. A wszystkiego tego dokonało zaledwie trzy tysiące żołnierzy i marynarzy, mających przeciwko sobie wielokrotnie silniejszego przeciwnika. Jeżeli dodamy do tego, że na cmentarzu w Helu spoczywa dziś zaledwie dwustu poległych obrońców, to zaiste jest kompromitacja dla Wehrmachtu i Kriegsmarine, że tak długo nie mogły dać sobie rady z tak małą polską załogą<sup>50</sup>. Obrońcy Helu razem ze swoimi kolegami na Westerplatte, w Gdyni i na Okcywiu do końca wypełnili swój żołnierski obowiązek, pomimo że obrona polskiego Wybrzeża miała od początku kampanii wrześniowej 1939 r. nikiel szanse powodzenia i jej charakter był czysto symboliczny.

Jakże inaczej mogłaby ona wyglądać, gdyby władze II Rzeczypospolitej zawczasu zadbały o należyte umocnienie polskiego pasa Wybrzeża. Duża wina leży też po stronie Brytyjczyków, którzy nie udzielili nam, chociaż mogli, należytej pomocy wojskowej. Tu już nawet nie chodzi

<sup>50</sup> *Tamże*, s. 145-151.

O działa okrętowe czy stare okręty wojenne, które mogłyby posłużyć Polakom do umocnienia obrony naszych plaż. Jeżeli Royal Navy była w stanie zaryzykować o wiele bardziej karkołomną niż ewentualna pomoc dla Polski wyprawę na pomoc Norwegii, to nikt nie jest w stanie przekonać piszącego te słowa, że to, co było możliwe pod Narwikiem w kwietniu i w maju 1940 r., czyli desant wojsk brytyjskich, wspartych ogniem floty i lotnictwa morskiego, nie było możliwe w Gdyni i na Helu we wrześniu 1939 r.<sup>51</sup> To prawda, że taki desant Polski by nie uratował, ale z pewnością narobiłby wiele zamieszania Niemcom na Bałtyku i pomógłby w ewakuacji do Anglii polskich obrońców Wybrzeża. Nikt nie żądał wtedy od brytyjskiej admiralicji cudów, ale to leżało w jej możliwościach. Niemieckie miny w cieśninach duńskich można było, przy odrobinie dobrej woli, usunąć, bo trałowców mieli Anglicy pod dostatkiem. Niemców też nie musieli się bać, bo to Niemcy bali się Royal Navy. W ten sposób mogli wykonać swoje zobowiązania sojusznicze, bo polscy obrońcy Wybrzeża czekali na nich od pierwszego dnia wojny. Samo pojawienie się brytyjskich okrętów i lotnictwa morskiego na Bałtyku bez wątpienia zmroziłoby i Hitlera, I Stalina, a Polska nie miałaby poczucia, że walczy osamotniona.

<sup>51</sup> Na temat operacji norweskiej w 1940 r. patrz szerzej: J. O d z i e m - k o w s k i, *Narwik 1940*, Warszawa 1988.

## BILANS OBRONY WYBRZEŻA

---

W dniu 2 października 1939 r. ostatnia twierdza polskiego Wybrzeża — Hel — poddała się Niemcom. Bohaterska epopeja obrońców polskiego morza zakończyła się. Pora w tym momencie postawić zasadnicze pytania o sposób walki polskich oddziałów nad Bałtykiem, a także najważniejsze — o jej sens.

Większość obrońców Poczty Polskiej w Gdańsku oraz Gdyni i Oksywiu przypłaciła swoją walkę życiem. Poległ sam płk Stanisław Dąbek, komendant wojenny Gdyni. Tylko obrońcy Westerplatte i Helu mieli więcej szczęścia, bo zginęło ich stosunkowo niewiele i, po zadaniu sporych strat nieprzyjacielowi, poszli do niewoli. Należy w tym momencie zapytać, po co właściwie we wrześniu 1939 r. polskie dowództwo w Warszawie zdecydowało się na obronę Wybrzeża za cenę tych ogromnych strat?

Już od początku II Rzeczypospolitej, od roku 1921, kiedy ostatecznie ustaliły się granice odrodzonego państwa polskiego, każdy, kto spojrział na mapę, natychmiast zdawał sobie sprawę z faktu, że obrona polskiego korytarza pomorskiego, wciśniętego wąskim przesmykiem pomiędzy niemieckie Pomorze Zachodnie a Prusy Wschodnie, jest praktycznie niemożliwa. Zwracali na to uwagę praktycznie

wszyscy wojskowi i politycy doby dwudziestolecia (wspomnijmy tylko generałów Władysława Sikorskiego i Tadeusza Kutrzebę oraz Stanisława Mackiewicza-Cata). Dlatego dziwić może takie, a nie inne rozplanowanie obrony Wybrzeża przez marsz. Edwarda Rydza-Smigłego i jego sztabowców. Jeżeli w Warszawie widziano obronę twierdz morskich tylko jako zbrojną demonstrację przynależności Pomorza do Polski, to dlaczego nie ewakuowano Gdańska (tj. polskich władz i urzędników) do Polski oraz nie wycofano załogi Westerplatte do Gdyni, kiedy był jeszcze na to czas, czyli latem 1939 r.? Przecież wiadano, że Wolne Miasto Gdańsk to pozycja stracona, gdzie od dawna rządzi Niemcy. Podkomendni mjr. Henryka Sucharskiego i kpt. Franciszka Dąbrowskiego, zamiast krwawić w okrążeniu na Westerplatte, mogliby wydatnie wzmocnić załogę płk. Stanisława Dąbka w Gdyni, gdzie przydaliby się z pewnością o wiele bardziej niż w Gdańsku. Jeżeli miało się tak mizerne siły, to należało je skupiać do obrony najważniejszych pozycji Wybrzeża, a nie rozpraszać.

Następne pytania: skoro konflikt z Niemcami był od przewidzenia już od początku lat trzydziestych, to dlaczego nie uczyniono nic dla ufortyfikowania Pomorza, a przynajmniej rejonu Gdyni i Pucka? Przecież wiadano, że właśnie tam przyjdzie nam bronić polskiego morza. Fortyfikację rejonu Gdyni postulowano już od 1926 r., gdy powstało miasto i port. Dlaczego zatem decyzję o budowie umocnień wokół Gdyni i na Oksywiu podjęto dopiero latem 1939 r., kiedy na to było już za późno? Dlaczego wreszcie nie udzielono dowództwu Polskiej Marynarki Wojennej odpowiednich funduszy na należyte przygotowanie rejonu Helu i Gdyni do długotrwałej obrony w odcięciu od reszty Polski i dlaczego nie przydzielono kontradm. Józefowi Unrugowi i płk. Stanisławowi Dąbkowi daleko większego wsparcia w ludziach i sprzęcie bojowym? Takich pytań można zadać jeszcze wiele — z tym najważniejszym:

dlaczego tak bardzo upierano się w Warszawie przy utrzymaniu niepewnych pozycji w Gdańsku, który i tak wtedy był niemiecki, zamiast skupić się na obronie polskiej Gdyni wszystkimi siłami (wszak Westerplatte dawno już przestało pełnić funkcję polskiego portu tranzytowego)?

Najbardziej jednak razić nas może niezrozumiały cynizm władz wojskowych w Warszawie, które z pełną świadomością oszukały obrońców Wybrzeża, zwłaszcza tych w Gdańsku, obiecując im szybką pomoc w postaci zajęcia Gdańska przez korpus gen. Stanisława Skwarczyńskiego, podczas gdy już w sierpniu 1939 r. ów korpus rozformowano, o czym nie powiadomiono ani załogi Westerplatte, ani gdańskich pocztowców. Podwładni ppor. Konrada Guderskiego i mjr. Henryka Sucharskiego podjęli walkę z Niemcami tylko dlatego, że obiecano im rychłą odsiecz... Stanisława Skwarczyńskiego. Oni walczyli i krwawili, a tymczasem nikt nie zamierzał im pomóc. Przecież sztabowcy Edwarda Rydza-Smigłego nie mogli nie zdawać sobie sprawy, że tym samym skazują rodaków na pewną śmierć. I tak się rzeczywiście stało z nieszczęsnymi pocztowcami, którzy po kapitulacji trafili w ręce SS.

To wszystko można i trzeba było przewidzieć, jeżeli już od marca 1939 r. czyniło się przygotowania do wojny z Niemcami. Polaków można było ewakuować z Gdańska jeszcze przed wojną. Niemcy by na pewno w tym nie przeszkadzali, a nawet przyjęli to z euforią. Wielu rodaków by dzięki temu przeżyło. Chodzi mi przede wszystkim o cywilów. Natomiast żołnierze mjr. Sucharskiego i kpt. Dąbrowskiego równie zaszczytnie mogliby spełnić swój żołnierski obowiązek w obronie Gdyni lub Helu albo nawet nad Bzurą czy w obronie Warszawy. Tak powinni myśleć prawdziwi dowódcy wojskowi, odpowiedzialni za życie ludzi ich pieczy powierzonych. Bardzo źle to świadczy o Rydzu i jego sztabie. Stanisław Mackiewicz-Cat podsumował to po latach następująco, gdy porównywał postawę

gen. Józefa Chłopickiego w powstaniu listopadowym i marsz. Edwarda Rydza-Smigłego w 1939 r.:

„Kiedy (...) miałem lat czternaście, pisałem referaty potępiające Chłopickiego za małoduszność. Dziś po makabrze generałów o duszach i gestach patetycznych aktorów, którzy sprawili, że Ojczyzna ma jest w niewoli, lepiej rozumiem tego wodza powstania 1830 r. (...) Chłopicki jako naprawdę dobry i odpowiedzialny wojskowy, od razu oświadczył, że wojnę z Moskałami przegramy i wziął dyktaturę, aby wojnie zapobiec. Gdy na skutek wygórowanych żądań cesarza Mikołaja I, układy pomiędzy nim a Chłopickim musiały ulec zerwaniu, Chłopicki uznał, że nie może być wodzem wojny, którą przegra, bo byłoby to bałamuceniem nadziei narodu, niegodnym jego honoru wojskowego. Skoro jednak jego naród będzie się bić, więc i on będzie walczył jako obywatel, ale nie jako generał. Stąd znalazł się pod Olszynką Grochowską konno, w surducie cywilnym i bitwą wspaniale kierował. Pojmowanie honoru wojskowego przez Chłopickiego było więc diametralnie przeciwstawne od pojmowania tegoż honoru przez Rydza i jego kompanów. Marszałek Rydz uważał, że jego honor wojskowy każe mu wszystkich oszukiwać, że jesteśmy gotowi. Chłopicki — odwrotnie — uważał, że honor nie pozwalał mu na podejmowanie się prowadzenia wojny, której wygrać nie jest w stanie”<sup>1</sup>.

Reasumując — mjr Henryk Sucharski i kpt. Franciszek Dąbrowski na Westerplatte, ppor. Konrad Guderski i podreferendarz Alfons Flisykowski na Poczcie Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku, płk Stanisław Dąbek w Gdyni i na Oksywiu oraz kontradm. Józef Unrug na Helu spełnili swój żołnierski obowiązek wzorowo i z honorem, zaświadczając krwawą pieczęcią Rzeczypospolitej polskość Pomorza. Zawiedli marsz. Edward Rydz-Smigły i gen. Waław

<sup>1</sup> S. Mackiewicz-Cat, *Lata nadziei 17 września 1939 r. 5 lipca 1945 r.*, Warszawa 1990. s. 6-7.

Stachiewicz, którzy najpierw postawili przed nimi zadania niewykonalne z wojskowego punktu widzenia, a następnie pozostawili ich bez pomocy wobec miażdżącej przewagi wroga. Ci bohaterowie robili, co mogli, ażeby swoje pozycje obronić, ale cudotwórcami nie byli i w efekcie zapłacili własną krwią i cierpieniem bez sensu za krótkowzroczność generałów z Warszawy. Zawiedli również nasi brytyjscy „sojusznicy”, którzy obiecali nam pomoc i pozostawili nas samych sobie wobec przewagi niemieckiej. Zatem cześć i chwała obrońcom polskiego Wybrzeża, którzy podjęli nierówną walkę w obronie polskiego stanu posiadania nad Bałtykiem, wiedząc, że przegrają i zapłacą za to cenę najwyższą. Niech ta książka będzie hołdem ich pamięci.



## BIBLIOGRAFIA

---

### ŹRÓDŁA

- K u t r z e b a Tadeusz, M o s s o r Stefan, *Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom*, oprac. Marek J a b l o n o w s k i i Piotr S t a w e c k i, Warszawa 1987.
- Wojna obronna Polski. Wybór źródeł*, Warszawa 1968.

### RELACJE I WSPOMNIENIA

- D ą b r o w s k i Franciszek, *Wspomnienia z obrony Westerplatte (Wspomnienia i dokumenty)*, wstęp historyczny skreślił i załączniki opracował Marian P e l c z a r , Gdańsk 1 IX 1957.
- D m o w s k i Roman, *Polityka polska i odbudowanie państwa*, t. I-II, Warszawa 1988.
- J a k l i c z Józef, *Plan operacyjny Naczelnego Wodza*, w: *Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach*, Warszawa 1989.
- J a ł o w i e c k i Mieczysław, *Wolne Miasto*, Warszawa 2002.
- Ostatnia reduta. Sprawozdania z walk i relacje obrońców Helu*. Wyboru dokonał, opracował i wstępem opatrzył Rafał W i t k o w s k i , Gdańsk 1973.
- S t a c h i e w i c z Waław, *Pisma*, t. I, *Przygotowania wojenne w Polsce 1935-1939* w: „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1977, z. 40.

- Stachiewicz Waław, *Wierności dochować żołnierskiej. Przygotowania wojenne w Polsce 1935-1939 oraz kampania 1939 w relacjach i rozważaniach szefa Sztabu Głównego i szefa Sztabu Naczelnego Wodza*, Warszawa 1998.
- Sucharski Henryk, *Przebieg działań na Westerplatte (Gdańsk)*, (Londyn) „Bellona” 1957, z. II.
- Westerplatte wspomnienia, relacje, dokumenty*, zebrał, opracował i wstępem opatrzył Z. Flisowski, Warszawa 1959.
- Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach*, pod red. Mieczysława Cieplewicz i Eugeniusza Kozłowskiego, Warszawa 1989.
- Z walk o Wybrzeże w 1939 roku. Westerplatte*, oprac. Franciszek Dąbrowski, kpt., Stanisław Gródecki, por., Gdynia, wrzesień 1947.

## REPORTAŻE

- Flisowski Zbigniew, *Pomorze — reportaż z pola walki*, Warszawa 1973.
- Strumph-Wojtkiewicz Stanisław, *Alarm dla Gdyni*, Warszawa 1982.
- Wańkiewicz Melchior, *Na tropach Smetka*, Kraków 1988.
- Wańkiewicz Melchior, *Pierwsze trzy dni wojny w Gdańsku*, w: *Wrzesień żagwiący*, Warszawa 1990.
- Wańkiewicz Melchior, *Westerplatte*, w: *Wrzesień żagwiący*, Warszawa 1990.

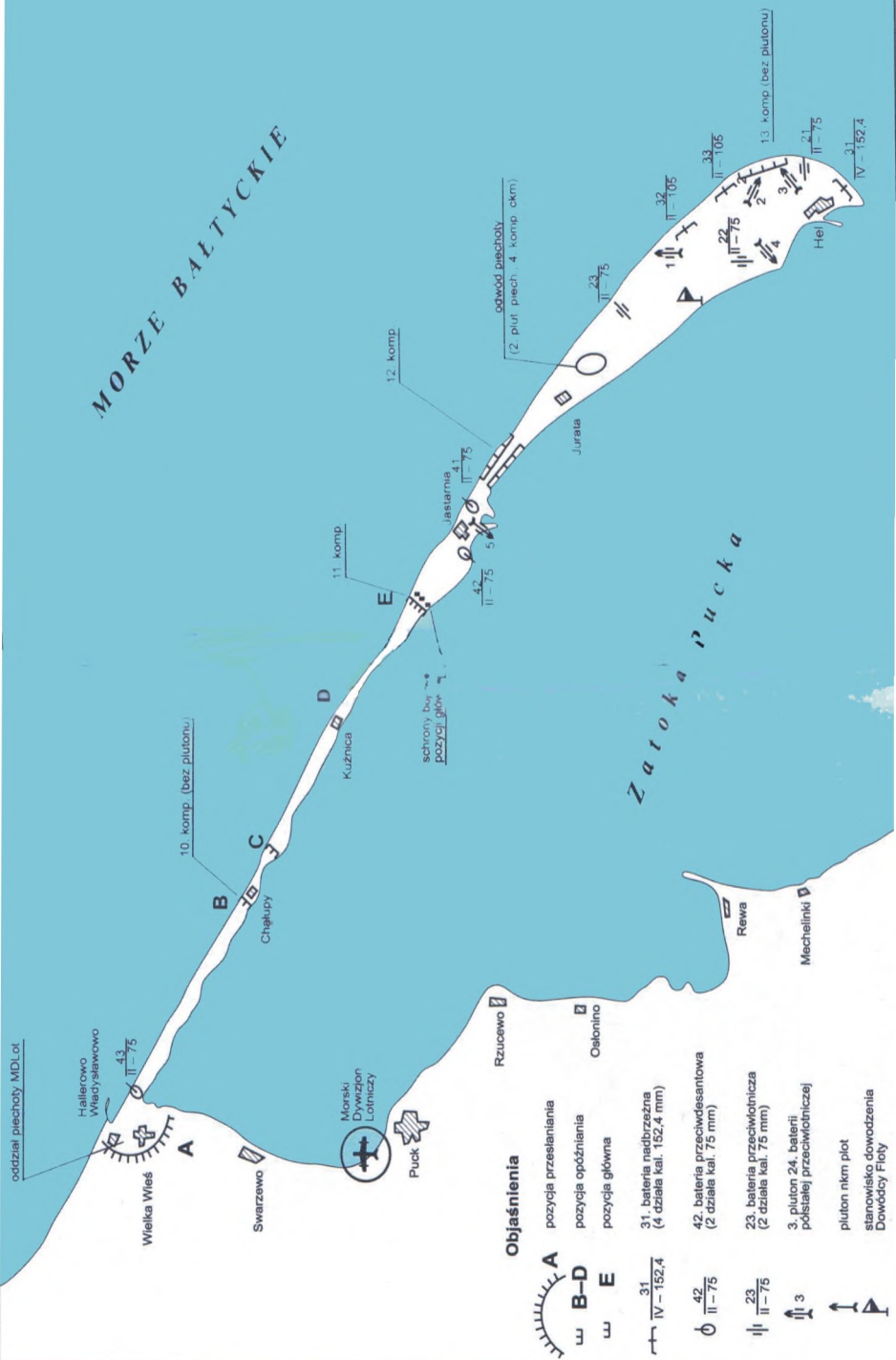
## OPRACOWANIA

- Azembski Mirosław, *Krzyże i korona*, Warszawa 1956.
- Borowiak Mariusz, *Plamy na banderze*, Warszawa 2008.
- Borowiak Mariusz, *Westerplatte — w obronie prawdy*, Warszawa 2008.
- Chorzępa Jarosław, *Fortyfikacje*, Warszawa 2007.
- Ciechanowski Konrad, *Armia „Pomorze” 1939*, Warszawa 1983.
- Cieślak Edmund, Biernat Czesław, *Dzieje Gdańska*, Gdańsk 1975.

- Cz arn e c k i Bogdan, *Fali Weiss*, Warszawa 1961.
- F l i s o w s k i Zbigniew, *Tu, na Westerplatte*, Warszawa 1974.
- G ł a b i s z Karol, *Laboratorium*, „Niepodległość” 1958, t. VI.
- J u r g a Tadeusz, *Obrona Polski 1939*, Warszawa 1990.
- J u r g a Tadeusz, *Wrzesień 1939*, Warszawa 1970.
- K a m i ń s k i Marek K., Z a c h a r i a s Michał J., *W cieniu zagrożenia. Polityka zagraniczna RP 1918-1939*, Warszawa 1998.
- K o s i a r z Edmund, *Druga wojna światowa na Bałtyku*, Gdańsk 1988.
- K o s i a r z Edmund, *Obrona Gdyni 1939*, Warszawa 1976.
- K o s i a r z Edmund, *Obrona Helu w 1939 r.*, Warszawa 1971.
- K o s i a r z Edmund, *Obrona Kępy Oksywskiej 1939*, Warszawa 1984.
- K o s i a r z Edmund, *Od pierwszej do ostatniej salwy*, Warszawa 1973.
- K o s i a r z Edmund, *Salwy nad zatoką*, Gdańsk 1980.
- K o s i a r z Edmund, R a d z i s z e w s k i Włodzimierz, W i t k o w s k i Rafał, *Westerplatte*, Gdynia 1968.
- K o s i a r z Edmund, *Wojna na Bałtyku 1939*, Gdańsk 1988.
- K r y s k a - K a r s k i Tadeusz, Ż u r a k o w s k i Stanisław, *Generalowie Polski Niepodległej*, Warszawa 1991.
- K u t r z e b a Stanisław, *Polska Odrodzona 1914-1939*, Kraków 1988.
- Ł o j e k Jerzy (Leopold Jerzewski), *Agresja 17 września 1939. Studium aspektów politycznych*, Warszawa 1990.
- M a c k i e w i c z-C a t Stanisław, *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.*, Warszawa 1989.
- M a c k i e w i c z-C a t Stanisław, *Lata nadziei 17 września 1939 r. 5 lipca 1945 r.*, Warszawa 1990.
- M a s s o n Philippe, *Historia Wehrmachtu 1939-1945*, Warszawa 1995.
- M o c z u l s k i Leszek, *Wojna polska. Rozgrywka dyplomatyczna w przededniu wojny i działania obronne we wrześniu-październiku 1939*, Warszawa 1990.
- O d z i e m k o w s k i Janusz, *Narwik 1940*, Warszawa 1988.
- P a w l i k o w s k i Stanisław, *Przyczynki do historii kapitulacji Helu*, „Dziennik Bałtycki” nr 252 z 23-24 X 1966.

- Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej, t. I, Kampania wrześniowa 1939, cz. pierwsza*, Londyn 1951.
- R a i n a Peter, *Stosunki polsko-niemieckie 1937-1939. Prawdziwy charakter polityki zagranicznej Józefa Becka. Geneza wybuchu II wojny światowej*, Warszawa 1999.
- R z e p n i e w s k i Andrzej, *Obrona Wybrzeża w 1939 r.*, Warszawa 1979.
- R z e p n i e w s k i Andrzej, *Obrona Wybrzeża w 1939 r. Załączniki*, Warszawa 1979.
- S o w a Andrzej Leon, *U progu wojny. Z dziejów spraw wewnętrznych i polityki zagranicznej II Rzeczypospolitej*, Kraków 1997.
- Ś n i e ż k o Aleksander, *Poczta Polska w Wolnym Mieście Gdańsku. Zarys historyczny*, Wrocław 1964.
- W i e c z o r k i e w i c z Paweł Piotr, *Historia polityczna Polski 1935-1945*, Warszawa 2005.
- W i e c z o r k i e w i c z Paweł Piotr, *Kampania 1939 roku*, Warszawa 2001.
- Z a r e m b a Paweł, *Historia dwudziestolecia (1918-1939), t. I-II*, Warszawa 1983.
- Ż e b r o w s k i Jacek, *Zanim poddał się Hel. Niemiecki dokument z 1939 r.*, Łódź 2003.
- Ż o c h o w s k i Stanisław, *Czy Polska mogła uniknąć klęski?*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1966, z. 9.

MORZE BALTYCKIE



**Objaśnienia**

- A pozycja przesłaniania
- B-D pozycja opóźniania
- E pozycja główna
- 31 bateria nadbrzeżna (4 dział kal. 152,4 mm)
- 42 bateria przeciwdesantowa (2 dział kal. 75 mm)
- 23 bateria przeciwlotnicza (2 dział kal. 75 mm)
- 3 pluton 24, baterii półstacjonarnej przeciwlotniczej
- pluton nkm pilot
- stanowisko dowodzenia Dowódcy Floty



MORZE BAŁTYCKIE

WESTERPLATTE

Marja Wisła

NOWY PORT  
Leifahrtwasser

PLAN SYTUACJI BOJOWEJ  
NA WESTERPLATTE

- Las
- Drzewa pojedyncze
- Koleje
- Drogi
- Drut kolczasty
- Mur
- Stępca
- Wiel
- Pozycje polskie
- Sektor ognia broni maszynowej
- Item lub item
- dm
- Pozycje niemieckie
- Ogólny artylerijski
- A Strzela nabieżna
- B Strzela czarna
- C Strzela żelazna



Miło wrota

Miło żurawie

Ref. 1:10 000

210 mm

100 mm

150 mm

100 mm

150 mm

100 mm

150 mm

100 mm

150 mm

## WYKAZ ILUSTRACJI

---

Brama wejściowa na Westerplatte, ok. 1933 r.

Załoga Westerplatte, 1935 r.

Od lewej: sierż. Ozimek, kpt. Dąbrowski, por. Pająk, chor.  
Gryczman

Defilada w Kielcach oddziałów 2. DP. Na czele kompanii por.  
Leon Pająk, 1938 r.

Westerplatte 1939 r. Przeglądu dokonuje pplk Sobociński. W szeregu pierwszy od lewej chor. Gryczman, trzeci — plut. Buder

Elektrownia na Westerplatte

Generator, który służył do przetaczania pociągów

25 sierpnia 1939 r. — dwa gdańskie holowniki podprowadzają  
pancernik „Schleswig-Holstein” do kanału portowego

Pancernik za chwilę zacumuje naprzeciw wartowni nr 2. Po drugiej stronie widać mur okalający

Żołnierze „Landespolizeiregiments I”, którego pododdziały walczyły na Westerplatte

Gdańskie oddziały SA

Wręczenie mjr. Sucharskiemu szabli przez dowódcę niemieckiego Niszczyciel „Wicher” (wyporność: 1540 ton, uzbrojenie: 4 działa 130 mm)

Załoga niszczyciela „Wicher” przed swoim okrętem

Okręt podwodny „Ryś” 4 września 1939 r. wszedł do portu wojennego Hel w celu naprawienia uszkodzeń (wyporność nawodna: 980 ton, wyporność podwodna: 1250 ton, uzbrojenie: 6 wyrzutni torpedowych, 1 działo 100 mm)

**Widok na kiosk „Rysia”**

**Tralowiec „Czajka” podczas parady morskiej w Gdyni**

**Tralowiec „Pelikan” (wyporność: 525 t, uzbrojenie: 1 działo 105 mm)**

**Tralowiec „M-85” zatonął 1 października 1939 r. pod Jastarnią na minie postawionej przez polski okręt podwodny „Żbik”**

**Niemieckie kutry tralowe (Räumboote) w Zatoce Gdańskiej podczas przejścia do rejonu tralowania**

**Od 20 września 1939 r. w ostrzeliwaniu Helu brały udział oba pancerniki, to jest „Schleswig-Holstein” i „Schlesien”. Na zdjęciu: pancerniki niemieckie na pozycjach ogniowych w porcie gdańskim (na pierwszym planie „Schleswig-Holstein”)**

**Działa kal. 280 mm wieży dziobowej niemieckiego okrętu liniowego „Schleswig-Holstein”**

**Ślady trafienia „Schleswiga-Holsteina” pociskiem baterii im. H. Laskowskiego (27 września 1939 r.)**

**Eskadra niemieckich bombowców nurkowych Junkers Ju 87.**

**Samoloty te były najgroźniejszym wrogiem powietrznym obrońców Helu; kilka z nich zestrzelili artylerzyści z 2. Morskiego Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej**

**Lej utworzony przez bombę lotniczą dużego kalibru**

**Dowódca Rejonu Umocnionego Hel kmdr W. Steyer (stoi tyłem) udziela wyjaśnień przedstawicielowi dowództwa niemieckiego.**

**Z prawej strony tłumacz ppor. rez. Alfons Kotowski**

**Dowódca odcinka „Jastarnia” kpt. mar. Alfred Yougan składa raport o gotowości oddziałów odejścia do niewoli. Oficerem niemieckim jest mjr Gerd-Paul von Bellów, dowódca III batalionu 374. pulku piechoty**



## SPIS TREŚCI

---

Wstęp .....	5
Polskie Wybrzeże w latach 1919-1939 .....	12
Wolne Miasto Gdańsk a Polska .....	22
Polska Składnica Tranzytowa na Westerplatte .....	32
Gdynia i Oksywie .....	44
Twierdza morska Hel .....	49
Bohaterski epizod — Poczta Polska w Gdańsku (1 września) ..	61
Westerplatte broni się (1-7 września) .....	72
Samotny bój Gdyni i Oksywie (1-19 września) .....	108
Hel walczy do końca (1 września-2 października) .....	145
Bilans obrony Wybrzeża .....	189
Bibliografia .....	194
Wykaz ilustracji .....	202

W popularnonaukowej serii pt. „Historyczne bitwy” ukazały się dotychczas:

Z. Stapor, BERLIN 1945 • L. Podhorodecki, WIEN 1683 • W. Majewski, GROCHÓW 1831 • K. Kaczmarek, BUDZISZYN 1945 • W. A. Serczyk, POŁTAWA 1709 • A. Wolny, OKI NAWA 1945 • A. Karpiński, KURSK 1943 • K. Sobczak, LENINO 1943 • T. Malarski, WATERLOO 1815 • T. Jurga, BZURA 1939 • I. Rusinowa, SARATOGA-YORKTOWN 1777-1781 • J. Sikorski, KANNY 216 p.n.e. • R. Tomicki, TENOCHTITLAN 1521 • R. Dzieszyński, LENINGRAD 1941-1944» E. Potkowski, CRECY-ORLEAN 1346-1429 • K. Kaczmarek, STALINGRAD 1942-1943 • L. Podhorodecki, KULIKOWE POLE 1380 • B. Brodecki, SZYPKA I PLEWNA 1877 • A. Murawski, AKCJUM 31 p.n.e. • L. Wyszczelski, MADRYT 1936-1937 • J.W. Dyskant, ZATOKA ŚWIEŻA 1463 • H. Wisner, KIRCHOLM 1605 • W. Biegański, BOLONIA 1945 • W. Wróblewski, MOSKWA 1941 • T. Konecki, SEWASTOPOL 1941-1942, 1944 • A. Toczewski, KOSTRZYŃ 1945 • L. Podhorodecki, CHOCIM 1621 • E. Dąbrowa, GAUGAMELA 331 p.n.e. • J. Odziemkowski, NARWIK 1940 • R. Bielecki, SOMOSIERRA 1808 • B. Brodecki, DIEN BIEN PHU 1954 • J.W. Dyskant, CUSZIMA 1905 • J. Nadziejka, LIPSK 1813 • R. Bielecki, BEREZYNA 1812 • M. Nagielski, WARSZAWA 1656 • S. Leśniewski, MARENGO 1800 • J. Wojtasik, PODHAJCE 1698 • B. Borucki, VALMY 1792 • W. Mięka, MACIEJOWICE 1794 • E. Potkowski, WARNA 1444 . w. Król, WIELKA BRYTANIA 1940 • G. Swoboda, GETTYSBURG 1863 • R. Bielecki, BASTYLIA 1789 • R. Bielecki, NORMANDIA 1944 • L. Wyszczelski, NIEMEN 1920 • M. Klimecki, GORLICE 1915 • M. Borkowski, MIDWAY 1942 • P. Olender, LISSA 1866 • L. Podhorodecki, LEPANTO 1571 • A. Nadolski, GRUNWALD 1410 • R. Bielecki, AUSTERLITZ 1805 • Z. Kwiecień, TOBRUK 1941-1942 • S. Leśniewski, WAGRAM 1809 • Z. Flisowski, BITWA JUTLANDZKA 1916 • R. Romański, BERESTECZKO 1651 • J. Nadziejka, ZAMOŚĆ 1813 • M. Wagner, KLISZÓW 1702 • Z. Flisowski, LEYTE 1944 • M. Plewczyński, OBERTYN 1531 • R. Kulesza, MARATON 490 p.n.e. • W.J. Długolecki, BATOŃ 1652 • T. M. Gelewski, JALU 1894 • J. Namięć, SYCYLIA 1943 • L. Wyszczelski, WARSZAWA 1920 • S. Leśniewski, JEROZOLIMA 1099 •

M. Winid, SANTIAGO 1898 • R. Romański, CUDNÓW 1660 • J. Maroń, LEGNICA 1241 • J.W. Dyskant, PORT ARTUR 1905 • J. Wojtczak, ALAMO-SAN JACINTO 1836 • S. Czmur, EL A LAM EI N 1942 • M. G. Przeździecki, KUNERSDORF 1759 • R. Romański, RASZYN 1809 • R. Kulesza, ATENY-SPARTA 431-404 p.n.e. • G. Swoboda, LITTLE BIG HORN 1876 • M. Klimecki, LWÓW 1918-1919 • J. Wojtczak, MEKSYK 1847 • T. Strzeżek, WARSZAWA 1831 • J.W. Dyskant, KO CHANG 1941 • L. Wyszczelski, KIJÓW 1920 • T. Rogacki, EGIPST 1798-1801 • K. Olejnik, GŁOGÓW 1109 • T. Strzeżek, IGANIE 1831 • P. Szabó, ŁUK DONU 1942-1943 • J. Wojtczak, NASEBY 1645 • P. Derdej, ZIELEŃCE, MIR, DUBIENKA 1792 • P. Drożdż, ORSZA 1514 • M. Klimecki, CZORTKÓW 1919 • J. Wojtczak, QUEBEC 1759 • R. Kłosowicz, NOWY ORLEAN 1815 • W. Włodarkiewicz PRZEDMOŚCIE RUMUŃSKIE 1939 • D. Kupisz, SMOLEŃSK 1632-1634» S. Augustowicz, PROSTKI 1656 • C. Grzelak, SZACK-WYTYCZNO 1939 • R. Kisiel, STRZEGOM, DOBROMIERZ 1745 • K. Kęciek, BENEWENT 275 p.n.e. • M. Sowa, BUDAPESZT 1944-1945« E. Koczorowski, OLIVA 1627 • C. Grzelak, WILNO-GRODNO-KODZIEWICE 1939 • K. Kęciek, KYNOSKEFALAJ 197 p.n.e. • J. Wojtczak, BIG HOLE 1877 • S. Czerep, ŁUCK 1916 • P. Rochala, CEDYNIA 972 • J.W. Dyskant, TRAFALGAR 1805 • P. Drożdż, BORODINO 1812 • J. Wojtczak, BANNOCKBURN 1314 • W. Włodarkiewicz, LWÓW 1939 • R. Romański, FARSALOS 48 p.n.e. • K. Kęciek, MAGNEZJA 190 p.n.e. • G. Swoboda, BATOCHÉ 1885 • A. Dmochowski, WIETNAM 1962-1975 • J. Soszyński, HASTINGS 1066 • J. Nadziejka, FALAISE 1944 • R. Kisiel, PRAGA 1757 • D. Kupisz, POŁOCK 1579 • P. Skworoda, WARKA-GNIEZNO 1656 • R. Szcześniak, KŁUSZYN 1610 • P. Biziuk, HATTIN 1187 • W. Biernacki, ŻÓŁTE WODY-KORSUŃ 1648 • T. Rogacki, PRUSKA IŁAWA 1807 • N. Bączyk, ARDENY 1944-1945 • P. Rochala, NIEMCZA 1017 • A. Dusiewicz, TARUTINO 1812 • D. Gazda, POWSTANIE MAHDIEGO 1881-1899 • P. Derdej, KORONOWO 1410 • J. Wojtczak, VICKSBURG 1862-1863 • A. Zieliński, MALTA 1565 • T. Bohun, MOSKWA 1612 • M. Klimecki, GALICJA WSCHODNIA 1920 • R. Kłosowicz, INCZHON-SEUL 1950 • P. Biziuk, BABILON 729-648 p.n.e. • D. Gazda, POLA KATALAUNJSKIE 451 • P. Rochala, LAS TEUTOBURSKI 9 r. n.e.

• R. Dzieszyński, MAGENTA I SOLFERINO 1859 • M. Gawęda, POŁONKA-BASIA 1660 • M. Sowa, SIEDMIOGRÓD 1944 • K. Śledziński, ZBARAŻ 1649 • P. Szlanta, TANNENBERG 1914 • A. Sudak, DETROIT 1757 • P. Skworoda, HAMMERSTEIN 1627 • G. Swoboda, DUBLIN 1916 • A. Tarczyński, CAJAMARCA 1532 • J. Szkudliński, CHANCELLORSVILLE 1863 • A. Borcz, PRZEMYŚL 1656-1657 • P. Rozwadowski, WARSZAWA 1944-1945 • M. Klimecki, KRYM 1854-1855 • T. Romanowski, ALEZJA 52 p.n.e. • A.A. Majewski, MOSKWA 1617-1618 • D. Kupisz, PSKÓW 1581-1582 • M. Witasek, CIVITA CASTELLANA 1798 • K. Kubiak, FALKLAND Y-PORT STANLEY 1982 • A. Dusiewicz, SMOLEŃSK 1812 • A. Bojarski, NAVARINO 1827 • J. Wojtczak, SAND CREEK 1864 • K. Śledziński, CECORA 1620 • D. Gazda, ADRIANOPOL 378, RZEKA FRIGIDUS 394 • G. Lach, WYPRAWA SYCYLIJSKA 415-413 p.n.e. • Ł. Przybyło, CHARKÓW-DONBAS 1943 • R. Dzieszyński, SADOWA 1866 • D. Orłowski, CHOCIM 1673 • P. Brudek, AFRYKA WSCHODNIA 1914-1918 • M. Witasek, KONSTANTYNOPOL 1453 • R. Kowalczyk, MAŁOJAROSŁAWIEC 1812 • B. Nowaczyk, POWSTANIE SPARTAKUSA 73-71 p.n.e. • R. Radziwonka, BLENHEIM-HÓCHSTADT 1704 • J. Wojtczak, BOYNE 1690 • L. Wyszczelski, WILNO 1919-1920» K. Mazowski, FUENGIROLA 1810 • B. Nowaczyk, KARTAGINA 149-146p.n.e. • M. Klimecki, PEKIN-SZANGHAJ-NANKIN 1937-1945 • P. Derdej, KAMIENIEC PODOLSKI 1672 • S. Kosim, MIŃSK BIAŁORUSKI 1941 • R. Dzieszyński, SEDAN 1870 • Z. Wawer, MONTE CASSINO 1944 • J. Wojtczak, WOJNA MEKSYKAŃSKA 1861-1867» J. Centek, VERDUN 1916 • B. Nowaczyk, MASADA 66-73 n.e.

W przygotowaniu: L. Wyszczelski, WARSZAWA 1939

## HISTORYCZNE BITWY

Podziwiać należy bohaterstwo żołnierzy i marynarzy mjr. Henryka Sucharskiego i kpt. Franciszka Dąbrowskiego na Westerplatte, płk. Stanisława Dąbka w Gdyni i na Oksywiu oraz kontradm. Józefa Unruga na Helu, którzy pomimo klęski i odwrotu wojsk gen. Władysława Bortnowskiego w głąb kraju podjęli wbrew logice wojskowej samotną obronę w izolacji od siebie. Każdy z nich walczył na własną rękę z przytłaczającą przewagą niemiecką. Oni wszyscy, może z wyjątkiem obrońców Helu, którzy do końca liczyli na odsiecz floty brytyjskiej, doskonale zdawali sobie sprawę, że mogą zginąć. Los pocztowców polskich z Gdańska, którzy ośmielili się przez kilka godzin ostrzeliwać Niemców, a po poddaniu się wszyscy zostali rozstrzelani, stanowił groźne memento dla wszystkich obrońców polskiego brzegu Bałtyku.

ISBN 978-83-11-11585-9

Scan - lesiojot



9 788311 115859 >

<http://ksiegarnia.bellona.pl/>



Patronat medialny

**MÓWIA  
WIEKI**